

1904. A. 7.

KALENDARZ POLSKI

(POWIEŚCIOWY)

NA ROK

1 8 7 8.

Cena 40 ct.

L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. H. RICHTERA.

Z Drukarni Ludowej, pod zarządem Stan. Baylega.

Kaleni

NOWSZE NAKŁADY

księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie

(w hotelu Europejskim).

Biblioteka historycznych romansów polskich w zeszytach po 25 ct. z premiami. Dotychczas wyszło:

Bernatowicz, Pojata, córka Lizdejki.

— Nałęcz.

Bronikowski, Mysza wieża wśród jeziora Gopla.

Zbiór powieści tanich w zeszytach tygodniowych po 25 ct. z premiami bezpłatnemi i za dopłatą. Dotychczas wyszło 34 zeszytów

Boccaccio. Dekameron. Sto nowelli. Z oryginału włoskiego przez

Władysława Ordoną. 2 tomy. (Tylko dla dorosłych) zlr. 5 — ct.

Dzierzkowski, powieści. I zupełne wyd. 8 tomów . . . 14 — "

Encyklopedia podręczna powszechna. Warszawa. . . 18 — "

3 tomy zlr. 15. w oprawie . . . 8 — "

Kaczkowski, Nauka homeopatii. II wydanie 2 tomy . . . 3 — "

Lam, Głowy do pośloty. Powieść . . . 3 60 "

— Idealiści, 2 tomy . . . 3 — "

Pol Wincenty. Dzieła. Pierwsze zupełne wydanie

w 10 tomach po . . . 3 — "

Wyszło dotąd 8 tomów.

— Mohort, rapsod rycerski, z podania . . . 2 — "

— Pachole hetmańskie, dyaryusz Walentego Rożanki . . . 3 — "

— Pamiętniki JMCi Pana Benedykta Winnickiego

w trzech częściach . . . 2 — "

— Północny wschód Europy i hydrografia polska . . . 4 — "

— Powódź, dramat w 3 częściach . . . 1 50 "

— Wit Stwosż, poemat z pomników historycznych

XV wieku . . . 1 20 "

— Z wyprawy wiedeńskiej, rapsod rycerski . . . 1 — "

— Pieśni Janusza, 3 tomy w jednym. Cena zniżona . . . 1 50 "

Brafmann. Żydzi i kahały, 3 wydanie . . . 1 — "

Frenkel, Talmud i jego zasady . . . — 40 "

Masłowski W. Szkice Kaukazu, z życia czeczeńców . . . w druku.

KALENDARZ POLSKI

(Z POWIEŚCIAMI)

na rok

1 8 7 8.

Biblioteka Jagiellońska



1002026679

Cena **40** centów.



L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. H. RICHTERA.

Z Drukarni Ludowej, pod zarządem Stanisława Baylego.

1877.

Louis Krzyżanowski

6219
11



Okresy roczne.

Według kalendarza nowego	starego
Rok 1877 ma: Liczbę złotą 17	17
Epakte XXVI	VII
Okrąg słońca (Cyclus sol.) 11	11
Literę niedzielną F	A

Suchednie:

W Środę, w Piątek i w Sobotę, to jest:
 dnia 21, 23 i 24 lutego,
 „ 23, 25 i 26 maja,
 „ 19, 21 i 22 września,
 „ 19, 21 i 22 grudnia.

Wigilie z postem ścisłym:

Do uroczystości Zielonych Świąt, — do śś. Apostołów Piotra i Pawła, — do Wniebowstąpienia N. P. Maryi, — do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi P., — do Bożego Narodzenia.

Nota. Jeżeli która z tych wigilij przypada w Niedzielę, wtedy przenosi się na Sobotę poprzedzającą, a jeżeli uroczystość Bożego Narodzenia przypadnie w Piątek lub Sobotę, wtedy postu niema żadnego.

Dnie krzyżowe:

W Poniedziałek, Wtorek i Środę przed Wniebowstąpieniem Pańskim, t. j. 27, 28 i 29 Maja.

Święta ruchome:

według kalendarza rzymskiego.

Popielec.	6 marca,
Wielkanoc	21 kwietnia,
Wniebowstąpienie Pańskie	30 maja,
Zielone święta	9 czerwca,
Niedziela św. Trójcy	16 czerwca,
Boże Ciało	20 czerwca,
Pierwsza Niedziela Adwentu	1 grudnia.

Święta ruchome:

według kalendarza grec.-katol.

Nedila miasopustna	19 Fewruar,
Nedila syropustna	26 Fewruar,
Woskresenie Chrysta	16 Aprilj,
Woznesienie Hospoda	25 Maja,
Soszezstwie św. Ducha	4 Junji

Posty ruskie nakazane:

Pist wełkyi od Nedili syropustnoj do Woskreszenja.
 Pist przed śś. Petrom i Pawłom od perwej Nedili po Soszezstwie św. Ducha czerez 2 nedil i 3 dny.
 Pist do uspenja Bohorodycy od 2 do 15 Awhusta.
 Pist przed Rodzestwom Chrystowom, od 15 Now. do 24 Dek.

Zaćmienia słońca i księżyca w r. 1878.

W roku 1878 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca, z których tylko drugie zaćmienie księżyca u nas widzialne będzie.

I. Zaćmienie słońca 2 lutego zaczyna się o godz. 7 min. 15 rano, a kończy się o godz. 0 min. 18 popołudniu. Ponieważ zaćmienie to ogranicza się tylko na południowym oceanie, zatem tylko częściowo w nowej Holandyi widziane będzie.

II. Zaćmienie księżyca dnia 17 Lutego zaczyna się o godz. 11 min. 16 rano, a kończy się o godz. 2 min. 12 popołudniu. Zaćmienie to widziane będzie tylko częściowo w południowej i północnej Ameryce, Australii, i w wschodniej połowie Azji.

III. Zaćmienie słońca dnia 29 lipca, zaczyna się o godz. 8 min. 45 wieczór, a kończy się o godz. 1 min. 43 rano. Zaćmienie to widziane będzie przeto w północno-wschodniej Azji a szczególnie w północnej Ameryce.

IV. Zaćmienie księżyca dnia 13 Sierpnia, zaczyna się o godz. 0 min. 15 rano, a kończy się o godz. 3 min. 7. Zaćmienie to widziane będzie w Europie, Afryce, południowej Ameryce, także w zachodniej połowie Azji i w wschodniej połowie Ameryki północnej.

Panującym planetą w r. 1878 jest Wenus.

Wenus, Wenera, gwiazda, którą jutrzenką (Lucifer) lub wieczorną (Hesperus) gwiazdą nazywamy, jest od ziemi 5—36 milion. mil oddaloną. Pozorna średnica Wenus wynosi 17.134' z czego obliczono średnicę jej rzeczywistą na 1.650 mil, gęstość jej nie wiele jest większą od ziemi, obraca się około swej osi w 29 godzinach i 21 min. a około słońca w 224 dniach i 16 godzinach. Najsilniej świeci wszakże nie w połączeniu górnem, gdzie przedstawia się jako pełna tarcza, ani też w największem odstąpieniu od słońca, gdzie występuje jako półkoło, gdyż wtedy jest zbyt oddaloną od ziemi, ale co 35 dni przed lub po połączeniu dolnem. Największa siła jej światła przypada co 8 lat, a wtedy może być nawet w dzień widzialna.

Rok 1878 jest w ogólności więcej wilgotny jak suchy, także parny i dosyć ciepły.

O roku 1878 przepowiadają, że w nim będzie: **Wiosna** późna zwykle umiarkowana i na owoce bardzo korzystna. — **Lato** ciepłe i parne. — **Jesień** piękna i ciepła ale nie długa. — **Zima** z początku sucha, potem od 12 Lut. aż do końca wilgotna z wielkimi ulewami.

Sposób odgadywania zmiany powietrza

(podług wskazówek Herschla).

Wiadomą jest rzecz, że stan powietrza zawisł od bardzo wielu okoliczności i rozmaitych wpływów, żąd wszelkie przepowiednie naprzód, jakim ten stan w tym lub owym dniu być może, nie są nigdy pewne; a choć się czasem zdarza, że one się sprawdzają, to jednak zupełnie wierzyć im nie można. Żąd bardzo naturalnie, że i przepowiednie kalendarzowe bardzo często rozmiągają się z prawdą. Ale nie dodawać ich w kalendarzu weale, byłoby rzeczą przeciwną przyjętym od wieku zwyczajom, i z pewnością taki kalendarz nie mile byłby widzianym w chacie gospodarza. Dlatego też i my w naszym kalendarzu podajemy przepowiednie zmiany powietrza, ale nie gniewajcie się, jeżeli one Was, Sz. Czytelnicy, czasem zawiodą. Natomiast tym, którzy mają cierpliwość i lubią czynić doświadczenia, podajemy tu sposób, za pomocą którego prawie zawsze na pewno można będzie z góry wiedzieć o stanie powietrza. Wynalazł go astronom (zajmujący się nauką o gwiazdach) Herschel, a Towarzystwo gospodarcze w Wiedniu przekonało się, że w ciągu całego roku 1838 na 78 przepowiedni, za pomocą tego sposobu uczynionych, sprawdziło się najzupełniej 57. W tym celu podajemy tu tabelkę, podzieloną na dwie części, jedna pod nazwą lato zawiera przeciąg czasu od 15 kwietnia do 15 października; druga pod nazwą zima od 15 października do 15 kwietnia. Do czego ta tabelka służy, objaśnimy zaraz. Chcemy naprzykład wiedzieć, jaka będzie pogoda w dniu 20 stycznia. Zaglądamy więc najprzód do kalendarza, aby się dowiedzieć, o której godzinie miała miejsce, czy w tym dniu, czy nieco przedtem (ale nie później), zmiana księżyca i dowiadujemy się, że na ten czas (t. j. 19 stycznia) była pełnia o godzinie 1 minut 44 rano, następnie patrzymy w tabelkę pod rubryką zima tam, gdzie napisano od 12—2 rano (czas zmiany księżyca) i znajdujemy obok napis: zimno, przy południowym wietrze zamieć śnieżna. Tak z każdym innym dniem; trzeba tylko głównie zważyć, o której godzinie wtedy zmiana księżyca, najbliższa przed tym dniem nastąpiła.

Wyjaśnienie wskazówek Herschla.

W lecie (od 15 kwietnia do 15 paźdź).

Od 12 godz. w południe	do 2 godz. popołudniu:	dżdżysto.
" 2 "	" 4 "	zmiennie.
" 4 "	" 6 "	pogodnie.
" 6 "	" 8 "	wieczór pogodnie, przy północnym lub też
		wschodnim wietrze; deszcz przy
		południowym albo zach. wietrze.
		(taksamo).
" 8 "	" 10 "	" pogodnie.
" 10 "	" 12 "	" pogodnie.
" 12 "	" 2 "	w rano pogodnie.
" 2 "	" 4 "	" deszcz — zimno.
" 4 "	" 6 "	" deszcz.
" 6 "	" 8 "	" deszcz i wiatr.
" 8 "	" 10 "	" zmiennie.
" 10 "	" 12 "	" dżdżysto.

W zimie (od 15 października do 15 kwietnia).

Od 12 godz. w południe	do 2 godz. popołudniu:	deszcz i śnieg.
" 2 "	" 4 "	" powietrze czyste i łagodne.
" 4 "	" 6 "	" pogodnie.
" 6 "	" 8 "	wieczór deszcz z śniegiem przy południo-
		wym albo zachodnim wietrze.
		(taksamo).
" 8 "	" 10 "	" pogodnie.
" 10 "	" 12 "	" w rano zimno, przy południowym wietrze
" 12 "	" 2 "	" zamieć śnieżna.
" 2 "	" 4 "	" burza z śnieżycą.
" 4 "	" 6 "	" (taksamo).
" 6 "	" 8 "	" burza z deszczem przy wietrze
		północno-zachodnim.
" 8 "	" 10 "	" śnieg z wiatrem wschodnim.
" 10 "	" 12 "	" mroźno i wietrzno.

Styczeń — Januarij

ma dni 31.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycy		Księżycy odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol. (Dekemwryj 1877)	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 W	Nowy Rok	20 Ilnatyja ep.	7 58	4 10	rano	wiecz	 Nów dnia 3 o go- dzinie 3 minut 36 wiczór. Pogoda przy łagodnem powietrzu.
2 S.	Makarego opata	21 Julianny m.	7 58	4 11	9 20	2 57	
3 C.	Genowefy p.	22 Anastazyi	7 58	4 12	9 51	4 6	
4 P.	Tytusa b.	23 10 Mucz. w K.	7 58	4 13	8 12	5 21	
5 S.	Telesfora m.	24 Ewhenyi	7 58	4 14	8 28	6 38	
1. 0	Ewang. u Mat. ś. w r. 2. O mędrach ze wschodu.	0 przyszwii Wołchwow do Wetlejem. Mat. 2.					 Pierwsza kwadra dnia 11 o godzinie 8 min. 20 wieczór. Silne wiatry i śnieżyca
6 N.	Trzech Króli	25 N. 32 Rozd. Ch.	7 58	4 16	10 39	7 53	
7 P.	Walentego b.	26 Sobor. P. Boh.	7 58	4 17	10 49	9 5	
8 W	Seweryna op.	27 Stefana mucz.	7 58	4 18	10 59	10 16	
9 Ś.	Marcyanny	28 2000 mucz.	7 57	4 19	11 8	11 26	
10 C.	Pawła pust.	29 SS. Mład. 1400	7 55	4 20	11 18	r. 37	 Pełnia dnia 19 o godzinie 1 minut 44 rano. Ostre mrozy.
11 P.	Higiniusza p. m.	30 Anysyi m.	7 54	4 22	11 31	1 50	
12 S.	Honoraty p.	31 Melanyi Rym.	7 54	4 23	11 47	3 7	
2. 0	Ewang. u Łuk. ś. w r. 2. O Chrystusie w 12 latach.	Isus wchodyt do Ehypta. Mat. 2.					
13 N.	F. 1. po 3 Kr. Hilar.	1 Januar 1878.	7 54	4 24	wieczór	4 26	
14 P.	Feliksa z Noli m.	2 Sylwestra	7 53	4 26	— 10	5 45	 Ostatnia kwadra dnia 25 o godzinie 5 min. 22 wieczór. Odwilż.
15 W	Maura op.	3 Małachyja pr.	7 52	4 27	— 43	6 58	
16 Ś.	Marcelego m. i pap.	4 Sobor 70 ap.	7 52	4 29	1 33	7 57	
17 C.	Antoniego op.	5 Teopempta	7 52	4 30	2 43	8 39	
18 P.	Pryski p.	6 Bohoj. Hosp.	7 51	4 31	4 9	9 8	
19 S.	Kanuta m.	7 Sobor s. Joan.	7 50	4 33	5 43	9 29	 W Styczeniu ro- śnie dzień o 1 go- dzinę. — Długość dnia w przecięciu 9 godzin. Księżyc oddala się od ziemi dnia 8 a przybliża się dnia 29.
3. 0	Ewang. u Jana ś. w r. 2. O godach w Kanie Galilej.	Isus poczynaje uczyty. Mat. 4.					
20 N.	F. 2 po 3 Kr. Im. Jez.	8 N. 1 po Boh. HI.	7 49	4 34	7 18	9 45	
21 P.	Agnieszki p. m.	9 Polyjewkta	7 49	4 35	8 50	9 58	
22 W	Winc. i Anast. mm.	10 Hryhoria pr.	7 48	4 37	10 20	10 11	
23 Ś.	Zaślubienie NMP.	11 Teodosya Pecz.	7 47	4 39	11 48	10 23	 Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Styczeń. Z po- czatku silne mro- zy 8 śnieg, 9 do 15 zimno, potem deszcz z śniegiem aż do 23, ku koń- cu powietrze nie- stałe.
24 C.	Tymoteusza	12 Tatiany	7 46	4 40	rano	10 38	
25 P.	Nawrócenie ś. Pawła	13 Ermyła i Str.	7 45	4 42	2 42	10 57	
26 S.	Polikarpa b.	14 SS. Otec w S.	7 44	4 44	4 7	11 23	
4. 0	Ewang. u Mat. ś. w rat. 8. O uzdrowieniu trędow.	0 prośzeniu bohat. Isusa. Łuk. 18.					
27 N.	F. 3 po 3 Kr. Jana Ch.	15 N. 2 po Boh.	7 43	4 46	5 25	11 59	 Styczeń. Z po- czatku silne mro- zy 8 śnieg, 9 do 15 zimno, potem deszcz z śniegiem aż do 23, ku koń- cu powietrze nie- stałe.
28 P.	Karola W.	16 Petra W.	7 42	4 47	6 30	wieczór	
29 W	Franciszka Salez.	17 Antonia wel.	7 41	4 48	7 19	— 49	
30 Ś.	Martyny p.	18 Atanazyja	7 40	4 49	7 54	1 53	
31 C.	Piotra Nol.	19 Makarya pr.	7 39	4 50	8 18	3 6	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

15 Stycznia 1 Szebat 5637.

Luty — Fewruarij

ma dni 28.

Dnio w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycza		Księżycza odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 P. Ignacego b. m.		20 Ewtymia	7 37	4 52	rano	wiec.	 Nów d. 2 o g. 9 minut 50 rano. Dészcz i zimno przy silnym wie- trze.
2 S. NPM. Gromniczej		21 Maksyma ep.	7 35	4 54	8 35	5 38	
5. Ewang. u Mat. w rozdz. 8. O łożce Chrystusa.		O śliporozdzenom w Jerycho. Łuk. 18.					
3 N. F. 4 po 3 Kr. Błażeja		22 N. 3 po Boh.	7 33	4 56	8 58	6 52	
4 P. Andrzeja Kors.		23 Klymenta	7 32	4 57	9 8	8 3	
5 W. Agaty p. m.		24 Kseni prep.	7 31	4 59	9 17	9 13	 Pierwsza kwadra d. 10 o godzinie 2 minut 50 rano. Pogoda przy łą- godnem powie- trzu.
6 S. Doroty p. m.		25 Hryhorja	7 30	5 1	9 27	10 23	
7 C. Romualda op.		26 Ksenofonta	7 28	5 3	9 38	11 34	
8 P. Jana z Maty		27 Joanna Złat.	7 26	5 4	9 52	r. 48	
9 S. Apolonii p. m.		28 Efrema	7 25	5 7	10 10	2 5	
6. Ewang. u Mat. ś. w r. 8. O dobrem nasieniu.		O Zachei. Łuk. 19.					 Pełnia d. 17 o go- dzinie 0 minut 50 wieczór. Śnieg i dészcz.
10 N. F. 5 po 3 Kr. Scholast.		29 N. 4 po Boh.	7 23	5 9	10 38	3 22	
11 P. Luciusza b.		30 Trech Świat.	7 22	5 10	11 19	4 36	
12 W. Eulalii p. m.		31 Kyra i Joan.	7 20	5 11	wiec.	5 41	
13 S. Katarzyny p.		1 Fewr. Tryfona	7 18	5 12	— 16	6 31	
14 C. Walentego p.		2 Sritenje H.	7 17	5 13	1 33	7 6	 Ostatnia kwadra dnia 24 o godzinie 4 min. 45 rano. Śnieg i wichor
15 P. Faustyna i Jowity m.		3 Sym. i Anny	7 15	5 15	3 3	7 3	
16 S. Juliana m.		4 Izydora Pył.	7 13	5 16	4 39	7 49	
7. Ewang. u Mat. ś. w r. 20. O robotnikach w winnicy.		O Mytary i farysei. Łuk. 18.					
17 N. F. Starozap. Konst.		5 N. o M. i F. H.	7 12	5 18	6 14	8 4	
18 P. Flawiana m.		6 Wukoła	7 10	5 20	7 48	8 17	W lutym rośnie dzień o 1 godzinę i minut 27. Długość dnia w przecięciu 10 godzin 10 minut. Księżyc oddala się od ziemi dnia 5 a przybliża się dnia 18.
19 W. Konrada pust.		7 Partenryja ep.	7 8	5 22	9 20	8 29	
20 S. Nicefora m.		8 Teodora	7 6	5 23	10 51	8 44	
21 C. Eleonory kr.		9 Nykyfora m.	7 5	5 24	r. 22	9 2	
22 P. Piotra Katedry		10 Charlampija	7 3	5 26	1 51	9 25	
23 S. Piotra Dam.		11 Własia m.	7 2	5 28	3 13	9 58	Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Luty. Na po- czatku pośnie. 5 pięknie, potem silne mrozy aż do dnia 12, 13 łągo- dnie, poczem do 27go dészcz z śniegiem, ostat- ni dzień nieprzy- jemny.
8. Ewang. u Łuk. ś. w r. 8. Onasien. i wielorakiejroli.		O obłudnom syni. Łuk. 15.					
24 N. F. Miesopust. Maciej.		12 N. oobl. syn H. 6	7 0	5 29	4 24	10 45	
25 P. Anastazyi		13 Martyniana	6 58	5 31	5 19	11 45	
26 W. Wiktora z Ar.		14 Awxentya	6 56	5 33	5 57	wiec.	
27 Ś. Aleksandra b.		15 Onysyma	6 54	5 34	6 23	— 55	
28 C. Leandra b.		16 Pamfila	6 52	5 35	6 42	2 10	

KALENDARZ ZYDOWSKI.

14 lutego	1 Adar	
26 "	13 "	Post Estery
27 "	14 "	Purim czyli Hamar
28 "	15 "	Szuszan Purim.

Marzec — Mart

ma dni 31.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycy		Księżycy odm. i domyslny stan powietrza
	rzymsko-katol.	greeko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 P.	Albina b.	17 Teodora m.	6 51	5 36	rano	wiec.	 Nów d. 4 o g. 5 minut 51 rano. Wilgotne i ostre powietrze.  Pierwsza kwadra d. 12 o godz. 10 min. 44 wieczór. Zawieruchy śnieżne.  Pełnia dnia 18 o godzinie 10 minut 44 rano. Pogodnie i zimno.  Ostatnia kwadra d. 25 o godzinie 6 minut 23 wieczór. Silne wiatry. W Marcu rośnie dzień o 1 godzinę i minut 47. Długość dnia w przecięciu 11 godzin. Księżyc oddala się od ziemi d. 4 a przybliża się 18.
2 S.	Symplicyusza	18 Lwa pap. rym.	6 49	5 38	7 7	4 40	
9.	Ewang. u Łuk. ś. wroz. 18. O uzdrowieniu ślepego.	O strasznom sudi. Mat. 25.					
3 N.	F. Zanustna. Kuneg.	19 N. Miasop. H. 7	6 47	5 40	7 17	5 51	
4 P.	Kazimierza kr.	20 Leona ep.	6 45	5 42	7 26	7 2	
5 W.	Fryderyka	21 Tymoteja	6 42	5 44	7 36	8 12	
6 S.	Popielec. Kolety p. †	22 SS. Mucz. w E.	6 40	5 45	7 47	9 23	
7 C.	Tomasza z Akw.	23 Polykarpa	6 38	5 47	8 0	10 36	
8 P.	Jana Bożego	24 Ob. hlaw. Joan.	6 36	5 48	8 16	11 51	
9 S.	Cyryla i Metod.	25 Tarasia Arch.	6 33	5 50	8 40	r 1 7	
10.	Ewang. u Mat. ś. wroz. 4 O czarciu kuszącym Jez.	O posti i myłostyni Mat. 6.					 Nów d. 4 o g. 5 minut 51 rano. Wilgotne i ostre powietrze.  Pierwsza kwadra d. 12 o godz. 10 min. 44 wieczór. Zawieruchy śnieżne.  Pełnia dnia 18 o godzinie 10 minut 44 rano. Pogodnie i zimno.  Ostatnia kwadra d. 25 o godzinie 6 minut 23 wieczór. Silne wiatry. W Marcu rośnie dzień o 1 godzinę i minut 47. Długość dnia w przecięciu 11 godzin. Księżyc oddala się od ziemi d. 4 a przybliża się 18.
10 N.	F. 1 Wstenna 40 Mecz.	26 N. Syron H. 8	6 31	5 51	9 14	2 21	
11 P.	Anieli i Konstantego	27 Prokopia	6 30	5 53	10 3	3 28	
12 W.	Grzegorza W. pap.	28 Wasylja ep.	6 28	5 54	11 9	4 22	
13 S.	Such. Rozyny p. †	1 Mart. Eudoksii	6 25	5 56	wiec.	5 2	
14 C.	Matyldy p.	2 Teodota	6 23	5 57	— 30	5 31	
15 P.	Such. Longina m. †	3 Ewtropia	6 22	5 58	2 1	5 51	
16 S.	Such. Lubina m. †	4 Harasima	6 20	5 59	3 34	6 7	
11.	Ewang. u Mat. ś. w r. 17 O przeżnieniu Pańsk.	O Natanaili. Joan 1.					
17 N.	F. 2 Sucha Gertrudy	5 N. 1 Post H. 1	6 18	6 0	5 8	6 21	
18 P.	Edwarda kr.	6 SS. 42 Mucz.	6 16	6 1	6 41	6 35	
19 W.	Józefa Oblubieńca	7 Wasylja m.	6 13	6 3	8 14	6 48	
20 S.	Eufemii i Teodoz.	8 Teofylakta	6 12	6 5	9 48	7 5	
21 C.	Benedykta op.	9 40 Mucz. z S.	6 9	6 6	10 22	7 27	
22 P.	Oktawiana	10 Kodrata m.	6 7	6 7	r. 51	7 57	
23 S.	Ottona żol. i Wiktora	11 Sofronya p.	6 5	6 9	2 10	8 39	
12.	Ewang. u Łuk. ś. w r. 8. O wyrzuceniu dyabłów.	O razstablennom w Kafarnaum. Mark. 2.					 Nów d. 4 o g. 5 minut 51 rano. Wilgotne i ostre powietrze.  Pierwsza kwadra d. 12 o godz. 10 min. 44 wieczór. Zawieruchy śnieżne.  Pełnia dnia 18 o godzinie 10 minut 44 rano. Pogodnie i zimno.  Ostatnia kwadra d. 25 o godzinie 6 minut 23 wieczór. Silne wiatry. W Marcu rośnie dzień o 1 godzinę i minut 47. Długość dnia w przecięciu 11 godzin. Księżyc oddala się od ziemi d. 4 a przybliża się 18.
24 N.	F. 3 Głucha Gabryela	12 N. 2 Post H. 2	6 3	6 10	3 12	9 36	
25 P.	Zwiastowanie NPM.	13 Nykyfora	6 1	6 11	3 57	10 45	
26 W.	Emanuela	14 Wenedykta	5 59	6 13	4 27	11 59	
27 S.	Ruprechta	15 Ahapya m.	5 56	6 15	4 48	wiec.	
28 C.	Syksta pap.	16 Sawyna	5 54	6 16	5 4	1 15	
29 P.	Eustachego	17 Aleksia p.	5 52	6 18	5 16	2 29	
30 S.	Kwiryna m.	18 Kiryla	5 50	6 20	5 26	3 41	
13.	Ewang. u Jana ś. w r. 6. O nakarmieniu 5000 lud.	O hriadenii po Christi. Mark. 8.					
31 N.	F. 4 Srodonost Balb.	19 N. 3 Post H. 3	5 48	6 21	5 36	4 52	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

15 marca 1 Nisan

29 " 15 " Początek Wielkanocy.

30 " 16 " Drugie święto Wielkan.

ma dni 30.

4 kwietnia (18 Nisan) Siódme św. Wielkan.
5 " (22 " Koniec Wielkan.
14 " (1 Ijar).

Maj — Maj

ma dni 31.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycy		Księżycy odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 S.	Filipa i Jakóba	19 Joannâ Weł.	4 49	7 6	rano	wiecz.	 Nów dnia 2 o g. 2 min. 23 wieczór. Powietrze zmienne.
2 C.	Zygmunta kr.	20 Teodora Trich.	4 47	7 8	4 51	8 42	
3 P.	Znalezienie ś. krzyża	21 Januaria	4 45	7 9	5 19	9 59	
4 S.	Floryana m.	22 Feodora Syk.	4 43	7 11	5 59	11 10	
18.	Ewang. u Jana ś. w r. 10. OChr. dobrym pasterzu.	O niewirom Tomi. Joan 20.					 Pierwsza kwadra dnia 10 o godz. 0 min. 6 rano. Powietrze przy- jemne.
5 N.	F. 2 po Wielk. Piusa V	23 N. 1. Ant. H.	4 42	7 13	6 54	rano	
6 P.	Jana w Oleju	24 Sawwy	4 40	7 14	8 4	— 54	
7 W.	Domiceli p.	25 Marka Ew.	4 38	7 15	9 24	1 33	
8 Ś.	Stanisława b. m.	26 Wasylja	4 37	7 17	10 50	1 58	 Ostatnia kwadra d. 24 o godzinie 3 minut 15 rano. Chłodno i bardzo dżdżysto.
9 C.	Grzegorza b.	27 Symeona	4 35	7 19	wiecz.	2 17	
10 P.	Izydora or.	28 Jasona A.	4 33	7 20	— 17	2 32	
11 S.	Beatryksy p.	29 Dewiat mucz.	4 32	7 21	1 44	2 45	
19.	Ewang. u Jana ś. w r. 16. O odejściu Chr. do Ojca.	O myronosyech. Mark. 5.					 Pełnia d. 16 o go- dzinie 4 minut 4 wieczór. Pogoda stała.
12 N.	F. 3 po Wielk. Pankr.	30 N. 2 Myron. H.	4 31	7 22	3 11	2 58	
13 P.	Serwazego b.	1 Mai Jeremi	4 30	7 24	4 40	3 12	
14 W.	Bonifacego b.	2 Borysa	4 29	7 25	6 11	3 29	
15 Ś.	Zofii i 3 córek	3 Tymoteja	4 28	7 27	7 43	3 51	 W Maju rośnie dzień o 1 godzinę i minut 15. Długość dnia w przecięciu 15 godzin. Księżycy przy- bliża się do ziemi dnia 14 a oddala się dnia 25.
16 C.	Jana Nepom.	4 Pełahyi p.	4 27	7 28	9 13	4 24	
17 P.	Paschalisa w.	5 Iryny M.	4 25	7 29	10 34	5 9	
18 S.	Wenantego m.	6 Jowa Mnoh.	4 24	7 30	11 37	6 10	
20.	Ewang. u Jana ś. w r. 16. O przyez. odejścia Chr.	O razstablennom. Joan 5.					 Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Maj. Z początku piękny i ciepły. 7 grzmoty i deszcz aż do 17, potem wiatr i powietrze łagodne. 23 nie- przyjemnie, ku końcu pogodnie i ciepło.
19 N.	F. 4 po Wielk. Piot. C.	7 N. 3. Rozs. H.	4 23	7 32	rano	7 24	
20 P.	Bernarda	8 Joanna Boh.	4 22	7 33	— 52	8 42	
21 W.	Heleny kr.	9 Isaji pr.	4 21	7 33	1 13	9 59	
22 Ś.	Julii p. m.	10 Symona	4 20	7 34	1 29	11 14	 Maj. Z początku piękny i ciepły. 7 grzmoty i deszcz aż do 17, potem wiatr i powietrze łagodne. 23 nie- przyjemnie, ku końcu pogodnie i ciepło.
23 C.	Dezyderiusza b.	11 Mokija	4 19	7 35	1 41	wiecz.	
24 P.	Joanny wdowy	12 Epifanya ep.	4 18	7 36	1 51	— 26	
25 S.	Urbana pap.	13 Hłykeryi m.	4 17	7 38	2 1	1 36	
21.	Ewang. u Jana ś. w r. 16. O skutku proś. w Im. Jez.	O Samarianyni. Joan 4.					 Maj. Z początku piękny i ciepły. 7 grzmoty i deszcz aż do 17, potem wiatr i powietrze łagodne. 23 nie- przyjemnie, ku końcu pogodnie i ciepło.
26 N.	F. 5 po Wielk. Filipa	14 N. 4. Samar. H.	4 16	7 39	2 11	2 46	
27 P.	Jana pap.	15 Pachomya	4 15	7 40	2 22	3 57	
28 W.	Wilhelma	16 Teodora ośw.	4 14	7 41	2 36	5 10	
29 Ś.	Maksyma	17 Andronika	4 14	7 42	2 54	6 26	 Maj. Z początku piękny i ciepły. 7 grzmoty i deszcz aż do 17, potem wiatr i powietrze łagodne. 23 nie- przyjemnie, ku końcu pogodnie i ciepło.
30 C.	Wniebowstąpienie	18 Fteodota	4 13	7 43	3 19	7 42	
31 P.	Petroneli	19 Patrykia ep.	4 12	7 44	3 56	8 57	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

- 1 Maja (18 Ijar) Lag-Boemer szkolne święto.
 13 " (1 Siwan)
 18 " (18 ") Zielone Święta.
 19 " (7 ") Drugie Zielone Święta.

Czerwiec — Junij

ma dni 30.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycza		Księżycza odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 S.	Nikodema m.	20 Tałaleja	4 11	7 45	rano	wiec.	
22.	Ew. u Jana ś.w.r. 15 i 16 O przyj. pociesz. Ducha.	O śliporożdenom. Joan 9.					 Nów dnia 1 o go- dzinie 3 min. 21 rano. Pospęno i dżdży- sto.
2 N.	F. 6 po Wielk. Eraz.	21 N. 5. Slipor.	4 10	7 46	5 53	10 56	
3 P.	Klotyldy	22 Wasyliska	4 9	7 47	7 12	11 35	
4 W.	Kwiryna	23 Mychaila	4 8	7 47	8 38	r. 2	
5 S.	Bonifacego	24 Symeona	4 8	7 48	10 5	— 22	
6 C.	Norberta	25 Woznes. Hosp.	4 8	7 49	11 31	— 38	
7 P.	Roberta b. męcz.	26 Karpa ap.	4 7	7 50	wiec.	— 51	 Pierwsza kwadra dnia 8 o godzinie 1 min. 14 rano. D ę s z c z.
8 S.	Wig. z p. Medarda b.	27 Teraponta	4 7	7 50	— 56	1 5	
23.	Ewan. u Jana ś.w.r. 14. O zesłaniu Ducha św.	O prośławieny Jsusa. Joan 17.					
9 N.	Zielone święta	28 N. 6 SS. Otec.	4 6	7 51	2 22	1 18	
10 P.	Poniedz. Zielon. św.	29 Teodosyi	4 6	7 52	3 40	1 33	
11 W.	Barnaby ap.	30 Izaakya	4 6	7 53	5 18	1 53	 Pełnia dnia 15 o godz. 1 min. 24 rano. Piękna pogoda.
12 S.	Onufrego wyzn.	31 Ermia	4 6	7 53	6 48	2 20	
13 C.	Antoniego z Pad.	1 Junij Justyna	4 6	7 54	8 12	2 59	
14 P.	Bazylego b.	2 Nykyfora m.	4 5	7 55	9 25	3 53	
15 S.	Wita i Modesta	3 Subota zadusz.	4 5	7 56	10 15	5 2	 Ostatnia kwadra dnia 12 o godzin. 8 min. 48 rano. Wietrzno przytem pogodnie.
24.	Ewang. u Mat. ś.w.r. 28. O władzy Chrystusa.	O soszest. ś. Ducha. Joan 7.					
16 N.	F. 1 Św. Trójcy	4 Sosz. S. Ducha	4 5	7 57	10 52	6 19	
17 P.	Adolfa b.	5 Pon. Sosz. ś. D.	4 5	7 57	11 16	7 39	
18 W.	Marka i Marcelina	6 Wysariona	4 5	7 57	11 33	8 56	
19 S.	Gerwazego i Prot.	7 Teodota m.	4 5	7 58	11 46	10 10	
20 C.	Boże Ciało.	8 Teodora Str.	4 5	7 58	11 58	11 21	
21 P.	Alojzego	9 Kyrila Aleks.	4 5	7 58	r. 8	wiec.	 Nów dnia 30 o go- dzinie 2 minut 4 wieczór. Pow. zmienne.
22 S.	Paulina b.	10 Tymoteja	4 5	7 58	— 18	— 31	
25.	Ewan. u Łuk. ś.w.r. 14. O wezwaniu na wieczer.	O ispowidanyju Jsusa Chr. Mat. 10.					 W Czerwcu ro- śnie dzień do 20 o minut 19 a po 20 spada o minut 5. Długość dnia w przecięciu 16 godzin. Księżyc przy- bliża się do ziemi dn. 9 a oddala się dnia 22.
23 N.	F. 2 po Św. Zenona	11 N. 1 W. SS. H. 8	4 5	7 58	— 29	1 41	
24 P.	Jana Chrzciela	12 Onufrya prep.	4 5	7 58	— 41	2 53	
25 W.	Wilhelma	13 Akylyny	4 6	7 58	— 57	4 7	
26 S.	Jana i Pawła	14 Eliseja	4 7	7 58	1 19	5 23	
27 C.	Władysława kr.	15 Amosa pr.	4 7	7 58	1 50	6 39	
28 P.	Wig. z p. Leona	16 Tychona	4 8	7 57	2 35	7 49	
29 S.	Piotra i Pawła ap.	17 Manuila m.	4 8	7 57	3 37	8 48	
26.	Ewang. u Łuk. ś.w.r. 15. O zgrab. owcy i groszu.	Petro ide wo ślid Jisusa. Mat. 4.					 Przepowiedn. według kalend. 100-letniego.
30 N.	F. 3 po Św. Wspom. ś.	18 N. 2 Tł. Chr.	4 9	7 57	4 54	9 33	Czerwiec. Z po- czatku pięknie i ciepło aż do 21, poczem aż do koń- ca nieprzyjemne powietrze.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

12 czerwea 1 Tamuz

25 „ 17 „ Pst zdobyte świątyni.

Lipiec — Julyj

ma dni 31.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycza		Księżycza odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 P.	Teobalda	19 Judy ap.	4 10 7 56		rano	wiecz	 Pierwsza kwadra dnia 7 o godz. 9 min. 53 wieczór. Powietrze zmien.
2 W	Nawiedzenie NMP.	20 Metodya	4 11 7 56		7 49	10 28	
3 S.	Heliodora	21 Julyana m.	4 12 7 56		9 17	10 45	
4 C.	Józefa Kal.	22 Ewsewya	4 12 7 56		10 43	11 0	
5 P.	Filomeny p.	23 Ahripiny	4 13 7 55		wiecz.	11 13	
6 S.	Izajasza pr.	24 Rozd. S. Joanna	4 14 7 54		— 10	11 25	
27.	Ewang. u Mat. ś. w. r. 5. O obfit. połowie ryb Piot.	Nykto ne może dwom hosp. rab. Mat. 6.					 Pełnia d. 14 o go- dzinie 0 min. 28 wieczór. Bardzo dżdżysto.  Ostatnia kwadra dnia 22 o godz. 1 minut 49 wieczór Wietrzno przy- tem dęszcz.
7 N.	F. 4 po Sw.	25 N. 3 po Sosz.	4 14 7 53		1 36	11 40	
8 P.	Elżbiety	26 Dawyda Ftes.	4 15 7 53		3 3	11 58	
9 W	Amalii p.	27 Sampsona	4 16 7 53		4 31	r. 21	
10 S.	7 Braci i Rufiny	28 Kyra i Joan. †	4 16 7 52		5 55	— 55	
11 C.	Pelagii m.	29 Petra i Pawła	4 17 7 51		7 10	1 42	
12 P.	Henryka	30 Sob. SS. 12 Ap.	4 18 7 50		8 8	2 45	 Nów dnia 29 o go- dzinie 11 min. 13 wieczór. Pogoda i wielkie upały. W Lipcu ubywa dnia od 1 do 31 o minut 57. Długość dnia w przecięciu 15 godz. i min. 26. Księżyc przy- bliża się do ziemi dnia 5 i 31 a od- dala się dnia 27.
13 S.	Małgorzaty	1 Julyi Kos. i D.	4 19 7 49		8 49	3 54	
28.	Ewang. u Łuk. ś. w. r. 5. O sprawiedliwości.	O sotnyku. Mat. 8.					
14 N.	F. 5 po Sw. Bonawen.	2 N. 4 po Sosz.	4 20 7 48		9 18	5 18	
15 P.	Rozesłanie Apostołów.	3 Anatolia	4 21 7 47		9 38	6 36	
16 W	NMP. Szkaplerznej	4 Andreja kryt.	4 22 7 46		9 53	7 52	
17 S.	Aleksego w.	5 Atanasya at.	4 23 7 45		10 5	9 5	Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Lipiec. Z począt- ku piękne powie- trze aż do 11 od 15 do 17 pogodnie lecz chłodno; po- tem pochmurno dęszcz grzmoty aż do 25, ku końcu pięknie i ponuro.
18 C.	Szymona z Lipn.	6 Sisoa wel.	4 24 7 44		10 15	10 15	
19 P.	Wincentego z Pauli	7 Tomy p.	4 25 7 43		10 25	11 25	
20 S.	Czesława w.	8 Prokop. w.	4 26 7 42		10 35	wiecz	
29.	Ewan. u Marka ś. w. r. 8. O nakarmieniu 4000 lud.	O dwóch bisnuszyczach. Mat. 8.					
21 N.	F. 6 po Sw. Praksedy	9 N. 5 po Sosz.	4 27 7 41		10 47	— 36	
22 P.	Maryi Magdaleny	10 SS. 45 mucz.	4 28 7 40		11 1	1 49	Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Lipiec. Z począt- ku piękne powie- trze aż do 11 od 15 do 17 pogodnie lecz chłodno; po- tem pochmurno dęszcz grzmoty aż do 25, ku końcu pięknie i ponuro.
23 W	Apolinarego	11 Ewfymii	4 29 7 39		11 20	3 3	
24 S.	Krystyna i Włodz.	12 Prokla	4 30 7 38		11 46	4 18	
25 C.	Jakóba apost.	13 Sobor ś. Haw.	4 31 7 37		r. 24	5 31	
26 P.	Anny, matki NPM.	14 Akily	4 32 7 36		1 18	6 35	
27 S.	Natalii p.	15 Władymira	4 34 7 35		2 28	7 26	
30.	Ewang. u Mat. ś. w. r. 7. O fałszywych prorok.	O rozstąpieniu żyłamy. Mat. 9.					Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Lipiec. Z począt- ku piękne powie- trze aż do 11 od 15 do 17 pogodnie lecz chłodno; po- tem pochmurno dęszcz grzmoty aż do 25, ku końcu pięknie i ponuro.
28 N.	F. 7 po Sw. Natalii	16 N. 6 po Sosz.	4 35 7 34		3 51	8 4	
29 P.	Marty p.	17 Maryny wel.	4 37 7 33		5 22	8 30	
30 W	Abdona i Senn.	18 Emylyana m.	4 39 7 32		6 53	8 50	
31 S.	Ignacego Loj.	19 Makryny	4 40 7 31		8 23	9 6	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

11 Lipca 1 Abh

19 " 9 " Post, spalanie świątyni.

Sierpień — Awhust

ma dni 30.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycyca		Księżycyca odm. i domyślny stan powietrza.
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 C.	Piotra w Okowach	20 Ilyi pror.	4 41	7 29	rano	wiecz	
2 P.	<i>NPM. Anielskiej</i>	21 Simeona prep.	4 43	7 28	11 20	9 33	
3 S.	Znal. ś. Szczepana	22 Maryi Mahdał.	4 45	7 26	wiecz	9 47	
31.	Ewang. u Mat. ś. wr. 16. O niespraw. szafarzu.	O dwóch ślipseach. Mat. 9.					Pierwsza kwadra dnia 5 o godz. 2 min. 21 wieczór. Powietrze zmien.
4 N.	<i>F. 8 po Sw. Dominika</i>	23 <i>N. 7 po Sos. H. 9</i>	4 46	7 25	— 49	10 4	
5 P.	<i>NPM. Snieżnej.</i>	24 Chrystyny m.	4 47	7 24	2 18	10 25	
6 W.	Przeminienie Pań.	25 Uspen ś. Anny	4 48	7 22	3 44	10 54	
7 Ś.	Kajetana w.	26 Ermolaja	4 50	7 20	5 1	11 36	
8 C.	Cyryaka m.	27 Pantalejmona	4 52	7 18	6 4	r. 35	
9 P.	Romana m.	28 Prochora	4 53	7 15	6 50	1 45	Pełnia dn. 13 o g. 1 minut 49 rano. Powietrze pogod.
10 S.	Wawrzyńca m.	29 Kałinika	4 54	7 13	7 22	3 2	
32.	Ewang. u Łuk. ś. wr. 19. O zburzeniu Jerozol.	O piaty chlibach i dwoju rybi Mat. 14.					
11 N.	<i>F. 9 po Sw. Zuzanny</i>	30 <i>N. 8 po Sos. H. 7</i>	4 55	7 11	7 44	4 20	Ostatnia kwadra dnia 21 o godz. 5 minut 41 rano. Dészcz.
12 P.	Klary p.	31 Ewdokima	4 57	7 9	8 0	5 36	
13 W.	Hipolita m.	1 Awh, Proisch.	4 59	7 8	8 13	6 50	
14 Ś.	<i>Wig. z p. Euzebiusza</i>	2 Stefana	5 07	6	8 24	8 1	
15 C.	<i>Wniebowz. NMP.</i>	3 Isaakija	5 17	4	8 34	9 11	
16 P.	Rocha wyz.	4 7. OtrokwEfez.	5 37	3	8 44	10 21	
17 S.	Anastazego b.	5 Ewsychnia	5 47	1	8 55	11 33	Nów d. 28 o g. 7 minut 33 rano. Wietrzno przytem dészcz.
33.	Ewang. u Łuk. ś. wr. 18. O faryzeuszu i celniku.	O małowirstwii Petrowom. Mat. 14.					
18 N.	<i>F. 10 po Sw. Heleny</i>	6 <i>N. 9 Preob. H.</i>	5 53	59	9 8	wiec.	
19 P.	Benigny	7 Dometya pr.	5 66	58	9 24	— 46	W Sierpniu uby- wa dnia o 1 godz. i minut 33.
20 W.	Bernarda	8 Emlyana ev.	5 76	56	9 46	2 0	Dług. dn. w prze- cięciu 14 godzin 12 minut.
21 Ś.	Joanny Fr. de Chant.	9 Mateja ap.	5 96	54	10 18	3 13	
22 C.	Jacka	10 Ławrentya ep.	5 11	6 52	11 3	4 20	Księżyc oddal. się od ziemi dnia 17 a przybliża się 29.
23 P.	Filipa b. i Joach.	11 Ewpla	5 12	6 50	r. 4	5 16	
24 S.	<i>Bartłomieja ap.</i>	12 Fotya mucz.	5 13	6 48	1 21	5 59	
34.	Ewang. u Mar. ś. wr. 7. O uzdrowieniu głuchon.	O bisnoju szczemsia na nowom misiacy. Mat.					Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Sierpień. Z po- czatku dnia pię- kne aż do 10, po- tem dżdżysto i nieprzyjemnie do 17, poczem znnowu pięknie, 25 dészcz ulewny i powie- trze niepewne do końca.
25 N.	<i>F. 11 po Sw. Ludw.</i>	13 <i>N. 10 po Sosz.</i>	5 15	6 46	2 48	6 30	
26 P.	Zefirynty p.	14 Michea p.	5 16	6 44	4 19	6 53	
27 W.	Przenies. ś. Kaźm.	15 <i>Uspen. Bohor.</i>	5 17	6 42	5 51	7 11	
28 Ś.	Augustyna	16 Nerukot obr.	5 19	6 40	7 23	7 26	
29 C.	Ścięcie ś. Jana Chrz.	17 Myrona m.	5 21	6 39	8 55	7 40	
30 P.	Róży z Limy	18 Flora i Lawra	5 22	6 38	10 27	7 54	
31 S.	Raymunda w.	19 Andrea m.	5 23	6 37	11 59	8 10	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

21 Sierpnia (Elul).

ma dni 30.

Ś w i ę t a		Śłońce		Księżyc		Księżyca				
rymsko-katol.		grecko-katol.		wsch. zach.		wsch. zach.				
35. Ewang. u Łuk. s. wr. 14. O miłosierdziu Smarty.		O dwóch dołżnykach. Mat. 18.		wiecz		wiecz				
1 N. F. 12 po Sw. Izabeli	20 N. 11 po Sosz.	5 23 6 35	— —	8 30	 Pierwsza kwadra dnia 3 o godz. 9 min. 59 wieczór. Powietrze pogod.					
2 P. Szczepana	21 Tadeja ap.	5 25 6 33	1 28	8 58						
3 W. Bronisławy	22 Ahatonika	5 27 6 31	2 50	9 36						
4 Ś. Rozalii p.	23 Łuppa	5 28 6 29	3 59	10 29						
5 C. Wawrzyńca b.	24 Ewtychia m.	5 29 6 27	4 50	11 35						
6 P. Zacharyasza pr.	24 Wartłomeja	5 31 6 25	5 25	r. 50	 Pełnia 2. 11 o g. 5 min. 23 wieczór. Powietrze pogod. i ciepło.					
7 S. Reginy p.	26 Adryana	5 32 6 22	5 50	2 8						
36. Ewang. u Łuk. s. wr. 17. O uzdrowieniu 10 tręd.		O Junoszi bohatim. Mat. 19.		wiecz				wiecz		
8 N. F. 13 po Sw. Nar. NP.	27 N. 12 po Sosz.	5 34 6 20	6 8	3 24				 Ostatnia kwadra d. 19 o g. 8 m. 3 w. Powietrze posęp.		
9 P. Gorgoniusza	28 Mojsea mur.	5 35 6 18	6 21	4 37						
10 W. Mikołaja z Tolent.	29 Usik. hł. Joana.	5 36 6 16	6 33	5 49						
11 Ś. Jacka i Prota.	30 Aleksandra	5 38 6 14	6 43	7 0						
12 C. Gwidona	31 Pol. Poj. P. B.	5 40 6 12	6 53	8 10						
13 P. Tobiasza wyz.	1 Sep. Symeona	3 41 6 10	7 4	9 20	 Now dnia 26 o g. 3 min. 43 wieczór. Powietrze zmien.					
14 S. Podwyższenieś. Krz.	2 Mamanta mucz	5 42 6 8	7 16	10 32						
37. Ewan. u Mat. s. w roz. 6. O służeńiu Bogu i mam.		O złyeh dilatelach w wynohradi. Mat. 22.		wiecz				wiecz		
15 N. F. 14 po Sw. Im. PM.	3 N. 14 po Sosz.	5 44 6 6	7 31	11 45				 W wrześniu oby- wa dnia o godzinę i minut 39. Drug. dn. w prze- cięciu 12 g. m. 39. Księżyco oddal. się od ziemi dn. 13 a przybliża się 26.		
16 P. Ludmili m.	4 Wawyl	5 45 6 4	7 51	— 58						
17 W. Lambert a b.	5 Zacharyi pr.	5 46 6 2	8 19	— 58						
18 Ś. Such. Tomasz z W. +	6 Cz. Michaila.	5 48 5 59	8 57	2 6						
19 C. Januaryusza m.	7 Sozonta m.	5 49 5 57	9 50	3 5						
20 P. Such. Eustachiusza +	8 Rozd. Bohor.	5 50 5 56	10 58	3 53	 Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Wrzesień. Z po- czątku pięknie i jesienne powie- trze do 12, od 17 aż do 25 po więk- szej części chłod- no i dżdżysto, potem do końca znów w powietrze piękne.					
21 Ś. Such. Mateusza ap. +	9 Joak. i Anny	5 52 5 54	r. 18	4 28						
38. Ewang. u Łuk. s. w r. 7. O wskrzes. syna w Naim.		O zwannych na braki. Mat. 21.		wiecz				wiecz		
22 N. F. 15 po Sw. Mauryc.	10 N. 14 po S. H. 5	5 53 5 52	1 45	4 54						
23 P. Tekli p. m.	11 Teodory	5 54 5 49	3 15	5 13						
24 W. Gerarda b. m.	12 Awtomona	5 56 5 47	4 46	5 29	 W rześniu oby- wa dnia o godzinę i minut 39. Drug. dn. w prze- cięciu 12 g. m. 39. Księżyco oddal. się od ziemi dn. 13 a przybliża się 26.					
25 Ś. Kleofaza m.	13 Kornyliya Sot.	5 57 5 46	6 18	5 44						
26 C. Cypryana i Justyny	14 Wożd. cz. Kr.	5 58 5 43	7 52	5 58						
27 P. Kosmy i Damiana	15 Nikyty wel.	6 0 5 41	9 26	6 14						
28 S. Wacława kr.	17 Josafi i Ewfym.	6 1 5 39	11 1	6 33						
39. Ewang. u Łuk. s. w r. 14. O uzdrow. opuchłego.		O myłosti Boha i blyźniaho Mat. 22.		wiecz		wiecz				
29 N. F. 16 po Sw. Michała	17 N. 15 po S. H. 6	6 3 5 37	— 30	7 33	 Nowy Rok 5639 Drugie św. N. R. Post Gedalia Święto pojedn. 30 Września 23 Tiszri Radość z prawa.					
30 P. Hieronima wyz.	18 Ewmenia	6 4 5 35	— 30	7 33						
KALENDARZ ŻYDOWSKI.		8 Września 1 Tiszri		22 Września 15 Tiszri				I. Św. Kuczek.		
9 " 2 "		23 " 16 "		II. " "				Palmowe Święto		
10 " 3 "		24 " 17 "		Zgr. kon. Kuczek						

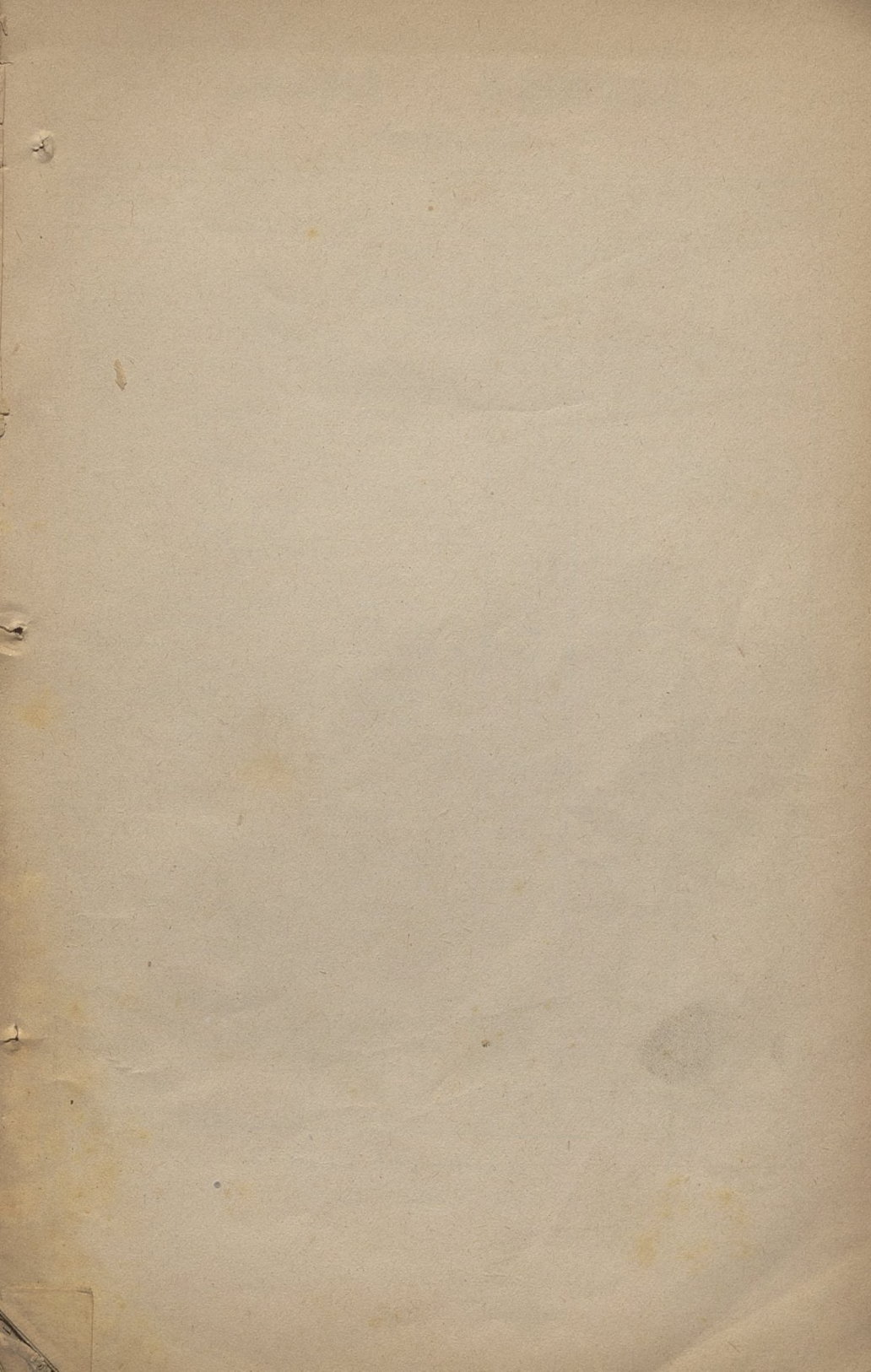
Październik — Oktowrij

ma dni 31.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycy		Księżycy odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	greeko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 W	Remigiusza	19 Trofyma mucz.	6 5 5 33	wiecz	wiecz		Pierwsza kwadra dnia 3 o godz. 8 minut 34 rano. Powietrze zmien.
2 S.	Aniołów stróżów	20 Eustatia	6 6 5 33	2 45	9 26		
3 C.	Kandyda m.	21 Kodrata ap.	6 8 5 28	3 26	10 40		
4 P.	Franciszka Seraf.	22 Foky m.	6 9 5 26	3 54	11 57		
5 S.	Placyda m.	23 Zacz. ś. Joan.	6 11 5 24	4 14	r. 13		
40.	Ewang. u Mat. ś.w.r. 22. O miłości Boga i bliźn.	O rozdzieleniu tałantiw. Mat. 15.					Pełnia d. 11 o g. 10 min. 28 rano. Częste ulewy.
6 N.	F. 17 po Św. PM. Róż.	24 N. 16 po Ś. H. 7	6 13 5 22	4 29	2 27		
7 P.	Justyny p. m.	25 Ewfrosynii	6 15 5 20	4 41	3 39		
8 W	Brygidy	26 Joana Ew.	6 16 5 18	4 52	4 49		
9 S.	Wincentego Kadł.	27 Kalistrata	6 17 5 16	5 2	5 59		
10 C.	Franciszka Borg.	28 Charytona p.	6 18 5 14	5 13	7 9		Ostatnia kwadra dnia 19 o godz. 8 min. 44 rano. Wilgotne i dosyć dotkliwie zimne powietrze.
11 P.	Placydy p.	29 Kyriaka	6 19 5 12	5 25	8 21		
12 S.	Maksymiliana b.	30 Hryhorya m.	6 21 5 10	5 39	9 34		
41.	Ewang. u Mat. ś.w.r. 22. O uzdrowieniu paralit	O żeni chananejskoj. Mat. 15.					
13 N.	F. 18 po Św. Edwarda	1 Okt. N. 17 po Ś.	6 22 5 8	5 58	10 46		
14 P.	Kaliksta	2 Kipryana ep.	6 23 5 6	6 23	11 56		Nów d. 12 o godz. 0 min. 44 rano. W Październiku ubywa dnia o go- dzinę minut. 44.
15 W	Teresy p.	3 Dyonyisia	6 25 5 4	6 58	wiecz		
16 S.	Gawła op.	4 Jeroteja	6 27 4 2	7 45	— 58		
17 C.	Lucyny	5 Charityny m.	6 28 4 0	8 47	1 48		
18 P.	Łukasza Ew.	6 Tomy ap.	6 30 4 59	10 1	2 26		
19 S.	Piotra z Al.	7 Serhya m.	6 31 4 57	11 22	2 54		Długość dnia w przecięciu 10 g. i 48 minut. Księżyc przybliża się do ziemi dnia 10 a oddala się dnia 17.
42.	Ewang. u Mat. ś.w.r. 22. O wezwaniu na gody.	O łotwi ryb. Łuk. 5.					
20 N.	F. 19 po Św. Poś. Kośc.	8 N. 18 po Ś. H. 1	6 32 4 56	r. 47	3 16		
21 P.	Urszuli p. m.	9 Jakowa ap.	6 33 4 53	2 15	3 33		
22 W	Korduli p. m.	10 Ewłampia	6 35 4 51	3 43	3 48		
23 S.	Jana Kapistr.	11 Filipa	6 36 4 49	5 13	4 2		Przepowiedn. według kalend. 100-letniego. Październik. 1 i 2 pięknie, śgrzmoty błyskawica i ule- wny deszcz, po- tem nieprzyjem- nie do 9, 10 pię- aż do 29, 30 śnieg.
24 C.	Rafała Arch.	12 Prowa m.	6 38 4 47	6 47	4 17		
25 P.	Chryzanta i Daryi	13 Karpa m.	6 40 4 46	8 22	4 34		
26 S.	Ewarysta pap.	14 Nazaria	6 41 4 44	9 56	4 56		
43.	Ewang. u Jana ś. w.r. 4. O chorym synie królew.	O łubwi wrahow Łuk. 6					
27 N.	F. 20 po Św. Sabiny	15 N. 19 po Ś. H. 2	6 43 4 42	11 22	5 27		
28 P.	Szymona i Judy	16 Łonhyna	6 45 4 40	wiecz	6 11		
29 W	Narcyza b.	17 Osii	6 47 4 38	— 31	7 11		
30 S.	Klaudjusza	18 Łuki ap.	6 50 4 37	1 21	8 23		
31 C.	Wig. z p. Wolfganga	19 Joila pror.	6 51 4 35	1 55	9 42		

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

8 Października 1 Marcheswan.



Listopad — Nojemwrij

ma dni 30.

Dnie w tygo- dniu	Ś w i ę t a		Słońca		Księżycy		Księżycy odm. i domyślny stan powietrza
	rzymsko-katol.	grecko-katol.	wsch.	zach.	wsch.	zach.	
1 P.	Wszystkich Święt.	20 Artemija	6 52	4 35	wiecz	wiecz	○
2 S.	<i>Dzień zaduszny</i>	21 Ilariona	6 54	4 33	2 35	— 16	
44.	Ewan. u Mat. ś. w r. 18. O dłuż. i złośliw. słudze.	O woskreszeni syna wdowy w Naim. Łuk. 7.					○
3 N.	F. 21 po Św. Huberta	22 N. 20 po S. H. 3	6 56	4 30	2 49	1 29	
4 P.	Karola Bor.	23 Jakowa ap.	6 58	4 29	3 0	2 39	Pierwsza kwadra dnia 1 o godz. 11 minut 24 wieczór. Pogodnie i zimno.
5 W.	Elżbiety	24 Arety m.	7 0	4 28	3 10	3 48	
6 S.	Leonarda w.	25 Markiana	7 1	4 26	3 21	4 58	Płnina d. 10 o g. 4 min. 7 rano. Śnieg i wichur.
7 C.	Adolfa b.	26 Dymytريا	7 3	4 25	3 33	6 9	
8 P.	4 Koronatów	27 Nestora	7 5	4 24	3 46	7 22	C
9 S.	Teodora m.	28 Paraskewy	7 6	4 22	4 4	8 35	
45.	Ewang. u Mat. ś. w r. 22. O oddaw. monety czyn.	O rozsijanyi simene. Łuk. 8.					C
10 N.	F. 22 po Św. Op. PM.	29 N. 21 po S. H. 4	7 7	4 21	4 27	9 46	
11 P.	Marcina b. w.	30 Zynowia	7 9	4 20	4 59	10 51	Ostatnia kwadra dnia 17 o godzini 7 minut 31 wieczór. Śnieg i deszcz.
12 W.	Marcina p. i Józafata	31 Stachya	7 10	4 18	5 43	11 44	
13 S.	Eugeniusza	1 Noj. Kos. i D.	7 12	4 17	6 41	wiecz.	N
14 C.	Serafina	2 Akindyna m.	7 13	4 16	7 51	— 26	
15 P.	Leopolda w.	3 Anepsima	7 15	4 15	9 10	— 57	Nów dnia 24 o g. 10 min. 44 rano. Pogodne jednak ostre powietrze.
16 S.	Otmara op.	4 Joanikia ep.	7 16	4 14	10 32	1 20	
46.	Ewan. u Mat. ś. w r. 24. O wskrzesz. córki księć.	O bohatim i Łazari. Łuk. 12.					W Listopadzie u- bywa dnia o go- dzini i minut 11. Długość dnia w przecięciu 9 g. i 17 minut.
17 N.	F. 23 po Św. Stan. K.	5 N. 22 po S. H. 5	7 18	4 13	11 55	1 38	
18 P.	Otmara Op.	6 Pawła	7 19	4 12	rano	1 53	Księżyc oddala się od ziemi dnia 6 a przybliża się 22.
19 W.	Elżbiety kr.	7 Jerona m.	7 20	4 11	2 45	2 6	
20 S.	Feliksa de Wal.	8 Mychaila Ar.	7 22	4 10	4 14	2 20	Przepowiedn. według kalend. 100-letniego.
21 C.	<i>Ofiarowanie NPM.</i>	9 Onysifora	7 24	4 10	5 46	2 36	
22 P.	Cecylii p. m.	10 Erasta ap.	7 25	4 9	7 19	2 55	Listopad. Z po- czatku posępno i wiatr nieprzyjem- ny, 6 i 7 pięknie, potem dżdżysto, od 18 aż do końca śnieg i mróz.
23 S.	Klemensa pap.	11 Myny m.	7 26	4 8	8 49	3 21	
47.	Ew. u Mat. ś. w roz. 24. O okropności spustosz.	Isus ishaniajet bisy. Łuk. 8.					100-letniego.
24 N.	F. 24 po Św. Emili	12 N. 23 po S. H. 6	7 27	4 8	10 8	3 59	
25 P.	Katarzyny p. m.	13 Joanna Złat.	7 28	4 7	11 9	4 51	Listopad. Z po- czatku posępno i wiatr nieprzyjem- ny, 6 i 7 pięknie, potem dżdżysto, od 18 aż do końca śnieg i mróz.
26 W.	Konrada	14 Fylypa ap.	7 29	4 5	11 50	6 0	
27 S.	Waleryana b. i Wirg.	15 Hurya muez.	7 31	4 5	wiecz	7 19	100-letniego.
28 C.	Krescentego	16 Mateja ap.	7 32	4 4	— 19	8 40	
29 P.	Saturnina m.	17 Hryhorya ep.	7 33	4 4	— 39	9 58	100-letniego.
30 S.	<i>Andrzeja ap.</i>	18 Platona m.	7 34	4 3	— 54	11 14	

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

7 Listopada 1 Kislew.

ma dni 31.

1 Grudnia (25 Kislew). Pośw. Świąt. Chanuka.
7 " (1 Thebeth).
6 " (16 " Post. Obłęż. Jerozol.

REZYDENT.

(Pierw. wyd. 1843.)

Jaki pan taki kram! mówi przysłowie dziwnie stosujące się do przedmiotu, o którym pisać zamyślam. Niestało u nas panów prawdziwych, niestało też i rezydentów prawdziwych, którym tak lubo, tak swobodnie było błogie pędzić życie w owych starych zamczyskach jakimi zewnątrz i wewnątrz, jakby sercem i piersią ze stali bronią ojczyzna nasza, zasłużyła na nazwę przedmurza chrześcijańskiego. W owych obszernych budowlach, w które zlewały się dochody stu wiosek okolicznych, miło było a przestronie dla rezydenta; tam on mógł spędzić żywot szczęśliwy od kolebki, chrzestnym darem wojewody odznaczony, aż do trumny, uświetnionej łąką wojewodzicą, jakby klejnotem orderowym za wierność danym. Pies, powiadają, jest przyjacielem człowieka, a kot przyjacielem domu; dawny rezydent łączył oba te uczucia w sercu swoim, i wierny bywał w tej podwójnej przyjaźni; jedno bowiem i stałe pomieszkawie należy koniecznie do idei rezydenta. To też w owych tylko czasach, kiedy życie, jakkolwiek rozmaitsze może od naszego, było więcej odosobnione, odgraniczone i tyle różne od gmatwanin arabeskowych dzisiejszego życia, które z krzyżujących się drożyn ludzkich tworzą labirynt, Arjadny nicią niezbadany; w owych tylko czasach mógł żyć rezydent jakby w żywiole swoim. Nie trzeba przeto myśleć, że rezydent był wiecznie gnuśnym domu stróżem! O nie! ależbo dawniej całym domem odbywały się podróże panów; a choć mury zostawały, całym domem bankietowano u krewniaka kasztelana, całym domem radzono na sejmiku, całym domem harcowano po stepie ukraińskim, po borach wołoskich i wszędzie jednakie były wystawy, jednakie wygodki, bez których rezydent obejść się nie może; a jeżeli gdzie na czatach zabrakło przypadkiem szafranu lub imbiru do skromnej strawy z pryncypałem wojewodzicem, umiał rezydent znieść i niedostatek. Złoty to był wiek dla rezydentów!...

Lecz czasu olbrzymy zgarbiały pomału w karłów! w środku ruin zamkowych za obszernych dla nowego pokolenia, ciaśniejsze już wznosiły się pałace, w których ustrojeniu tak zewnętrznem jak i wewnętrznem przodował coraz więcej gust francuzki; i tam jeszcze

znalazła się skromna izdebka dla rezydenta, którą musiał się nieraz dzielić z kamerdynerem Francuzem. Choć mozolne mu było nauczanie się manieri francuskiej, choć mu ciasniej było w haftowanym statsklejdzie, a niżeli w szerokim żupanie, a nawet niżeli w zbroi stalowej, swobodnie pędził jeszcze chwile; do kuchni francuskiej przyzwyczaił się pomału, a żylastą dłonią, która mu z dawien dawna pozostała, nie mogąc dźwigać oręza, pieścił się tymczasem z kielichem. Lecz i pałace roznieśli pomału na dwory i dworki okolicznych wiosek; ciasne z gankiem i bez ganka, ciasne z wystawą kolumnadową i bez niej, ledwie starczyły na nowe do życia potrzebne sprzęty, które przerabiając się rozmaicie ze srebrnych niegdyś roztruchanów, z jakich niedzisiejszym haustem pili dziadowie nasi, zasypali ciasne kąty domów naszych mnóstwem drobnych, dętych, krajanych, wyrzynanych świecidełek, o których słusznie powiedzieć można, że nie stanie skórka za wyprawę. W takim składzie rzeczy nikł powoli stary rezydent, jędrnego życia dawnego i korzennych potraw pozabawiony, prawdziwie jak kamfora bez pieprzu!.. Jeszcze jakiś zdybwać można było po dworkach polskich rodzaj podobny do dawnych rezydentów, ale się ten nie umył do nich. Byli to przybysze szukający dachu; obdarzyła nas nimi rewolucja francuska i znaleźli schronienie; lecz prócz mogił tu i owdzie rozspanych po ziemi naszej przeszli bez pamiętki!..

Złe dziś czasy dla rezydenta! gdzież bowiem pomieścić człowieka lubiącego szerokie a wygodne miejsce; ciasno w domu, ciasniej w podróży, gdzie się ledwie znajdzie miejsce w nowożytnym powoziku dla kamerdynera, rzadko dla sekretarza; a przy table d'hôte któżby płacił za dwóch? dosyć dla nas jeżeli mecenasujem małym kosztem na ulicy!.. I nie łatwo być dzisiaj rezydentem! dawniej rezydent pełnił doskonale powinność dworską, jeżeli podpierał orężem sławę domu, językiem splendor rodu pańskiego, a żołądkiem doskonałość kuchni pańskiej; dziś niech kto będzie mądry i dogodzi zmieniającym się widzimisiom, które jak gdyby po deszczu wyrastają niespodzianie: rezydent dworak nie tylko potakiwać, ale zgadywać powinien; zgadnijże biedny pasiebrzuchu, że twój pryncypał, wczorajszy urzędnik spokojny, rozum biurowy przemienił dzisiaj na rozum autora; chwaliłeś referaty, chwalić będziesz uczone rozprawy! mniej-sza o to!.., lecz czyż to strawności biednego rezydenta nie przeskodzi, a psując żołądek nie zabije pomału; o prawdziwie czego prosić się pytać każdego lekarza, jeżeli będzie musiał przepisywać długie a nudne ramoty!.. Ba, raptem bądź gorzelnikiem; by pasterz jaki chodź za merynosami; goń za rymem, bo się pryncypał kocha; śmiej się, bo pryncypał zdowcipniał, choć wczoraj płakał nad czarną melancholią jego! Trudno więc ostać się na funkcji rezydenta!.. W takiej ciągłej przemianie trudno schwytać rysy ogólne, po którychby poznać można było całą istotę rezydenta prawdziwego; są jeszcze zapewne tu i owdzie zabytki starych rezydentów, których rysy chwycić i opisać należy, jakby zarysy starego szyszaka, dla tej prostej przyczyny, że starzy rezydenci jak te stare zbroje są nasi, dla tego że rezydent u nas jest najsilniejszym dowodem chwalonej

gościnności naszej: z wrotami na oścież otwartemi, ze stołem suto zastawionym; gościnności, która, gdy się wrota powaliły, stoły zabrakło czem zastawiać, uciekła jakby do świątyni do sere naszych a tam chowana oczywiście jak bóstwo dawne w świątyniach balwochwalczych, czasem tylko przy wielkiej okazuje się uroczystości!...

Przed laty trzydziestu albo dwudziestu częściej jak dzisiaj zdjąć można było po domach obywatelskich na Litwie i na Wołyniu rodzaj wojskiego, o którym nie wiele już po Mickiewiczu powiedzieć można. Był to zwykle jakiś wielmożny krewniaczek, jasnie wielmożnego gospodarza domu; dawniej bowiem wiadano o najdalszem pokrewieństwie i szanowano je; dziś pokrewieństwo bogactwa zabiło pokrewieństwo krwi, tak jak arystokracja pieniężna zabiła arystokrację rodową! któż dziś dalszych swych zna krewnych, a dopiero powinowatych? gołych się unika, bogatych tylko szanuje!... Owoż przypominam sobie wszedłszy na pokoje pana prezesa sądu głównego zdybywałeś zawsze na wschodach pana skarbnika, który w zimie czy w lecie, w pogodę czy w ulewy witał cię w ganku prezesowskiego dworu; instynktem dworaka zgadywał on godność przybyłego; ledwie wzrokiem badawczym, z ogromnych na wierzchu osadzonych błękitnych oczów wychodzącym obejrzał konie, powóz i przyjezdnego, jużci zmiarkował jak nisko miał schylić łysinę: ujrzawszy ją każdy stanął mimowolnie i z większem niż zwykle ukłonił się uszanowaniem, bo na tej łysinie mnogich lat i mnogich zderzeń świadku, przez sam środek głęboka na ukos ciągnęła się kresa; z przodu oczywiście, bo skarbnik żył w czasach w których zazierało się nieprzyjacielowi w oczy, a taktyczna Ksenofonta rejterada nie wiele miała zwolenników. Gdzie i jak dostał niewiadomo było; on pamięta zapewne, a rowieśniki jego dawno w grobie.

— *Propria laus sordet!*... mawiał skarbnik do młodzieży rozprawiającej o pojedynkach do pierwszej krwi, jakby o wyprawie na smoka — ja waściom powiem, że byłem na pojedynku dawnym już, sekundowałem rotmistrzowi Cieńskiemu; miał karabelę szwedzkę; dwa razy ledwie się złożyli, Ave Maria nie trwało, a przeciwnika głowa z lewą ręką leżały o trzy kroki od reszty tułowu...

— *Coup d'écharpe!*... powiedział młody uczeń Marego.

— A tak mój mospanie trzepnął go tego!

— Więc ta kresa?...

— To dawniej jeszcze! mój mospanie, wojowało się za młodu; chodźmy do izby; pan prezes wyjdzie zaraz, siedzi jak zwykle w bibliotece i drabuje po woluminach..

— Cóż to za woluminy?

— A jużciż volumina legum!...

Nie wielce rozmowny był skarbnik, bo miał ważniejsze zatrudnienia około przyzwoitego usadowienia i przyjmowania gości; to też u prezesa wyznać potrzeba, że u stołu osobliwie doskonały był porządek, zastosowany do godności siedzących gości; nie było dzisiejszego nieporządku, który potrzebnego bankiera sadowi wyżej nad szlachcica, wywodzącego się prosto z gniazda Paprockiego: w tym

względnie skarbnik był nieubłagany, a rodowody okolicznej szlachty znał przewybornie, istny herbarz chodzący! zasługi zaś tak w wojnie jak i w pokoju samych gości, ich ojców i dziadów wiedział na palcach: istna kronika chodząca! Przytem zrządził na domowych, których lenistwo oburzało go, chociaż sam niewiele lubił pracować; lecz pańskie oko tuczy konia! mawiał skarbnik, a okiem przez które patrzył prezes na gospodarstwo swoje był skarbnik; przy tylu rozlicznych zajęciach, nie wiele miał czasu do próżnej pogadanki, a osobliwie któżby gadał o sobie? Skarbnik jako prawdziwy rezydent jeżeli rozprawia, to tylko o prezesie; niema prezesa! skarbnik opiewa prezesa; wszedł prezes! skarbnik milcząc admiruje prezesa. Jadło się u prezesa wyśmienicie i często, bo skarbnik który głównie dyrygował kuchnią, piwnicą i spiżarnią, był tego zdania, że gościa trzeba nakarmić; sam zaś jadł, ale jadł potężnie! Trzeba było widzieć w święta, niedzielę; ledwie skończyło się nabożeństwo w kaplicy, jużci ciągnie z kapłanem pod ramię skarbnik ustrojony w żupan pasowy, kontusz tabaczkowy z wigoniem, pas słucki lity, czapkę pasową z białym barankiem i czerwone buty prosto do pokoju białarowskiego; przetrącił na śniadanie półtora kółka kielbasy, bigosu hultajskiego dwie farfury olbrzymie; pardonował kotлетem, których się prezes nauczył jadać między francuzkami emigrantami w Dubnie; ale za to na dokończenie, na furę kaszy wpakował piramidę zrazów — aż strach patrzeć było! podłaj to należyście starką żółtą jak wino, przed każdym półmiskiem i po nim; podniósł się do góry, wyprostował, jakby mu ośm krzyżyków ubyło; pasa poprawił na sporym brzuchu, by zostało jeszcze miejsca nieco na obiad jadany codziennie z równym apetytem i obtarł wasy długie, zawiesiste, które się śniegiem rozsypywały po policzkach pełnych i rumianych. Nie byli gości u prezesa? grał z nim skarbnik w marjasza; a jeśli się kto do ówika znalazł gotów był skarbnik zagrać się aż do dziesiątej godziny, chociaż o dziewiątej zwykle zaczynał już całonocną muzykę chrapliwą, która trwała bez ustanku aż do piątej z rana. Nie wiele chodził po gospodarstwie, a przecie szło u prezesa wszystko jak z płatka wywinął, bo skarbnik mniej dbały o nowe systemata filantropijne wierzył w nahajkę jak żyd w przykazanie; z gospodarczych zatrudnień najwięcej lubił rybołówstwo i pasiekę; przy łowieniu ryb a podcinaniu miodu, skarbnik znajdował się in persona, dyrygował rybkami i pasieczkami; a w końcu najpiękniejszego szczupaka i najlepsze plastry miodu zabierał do siebie, gdyż marynatą ze szczupaka pieczonego a miodem z orzechami lubił skarbnik bawić się w godziny wolne od innych zatrudnień. Umarł skarbnik we dwa miesiące po prezesie, po części, jak mówili, z żalu za pryncypałem, którego szczerze kochał, a po części że na pogrzebie siostrzeniec nieboszczyka, którego ojciec z koniuszego wyszedł na podpanka, a o którego nazwisku żaden herbarz nie wspomina, niósł na poduszce gwiazdę ś. Stanisława, którą prezes był obdarzony; wtenczas, kiedy był rodzony bratanek, niezawodny szlachcic i tylu innych godnych obywateli, kiedy nareszcie był sam skarbnik... Tak twierdzili ludzie, a nikt nie wspominał nawet, że po śmierci jego znalazła się metryka

okopertowana i opieczętowana, o której nie wspominał nigdy skarbnik a z niej dowiedziano się dopiero, że miał dziewięćdziesiąt i siedm lat.

W nowszych czasach różne zmiany zaszły w życiu rezydenta; najgłówniejsza, że stosując się do okoliczności zaczął życie koczownicze; dawniejszy rezydent, z rodziny już rezydentów jednego domu, pochodzący, jeżeli długo pożył pochował dziada i wnuka z rodu swoich pryncypałów; dziś z domu do domu przenosząc wędrowny tłomoczek, ledwie gdzie miejsce zagrzeje, a już go zawistny los pędzi dalej; to też ów dawny rezydent, ów skarbnik, zawsze otyły, zawsze rumiany i rubaszny schudł i zesmutniał niepomału; dzisiejszy rezydent jest ledwie cieniem dawnego, a ile tu trzeba głowy sobie nałamać, aby się choć na krótkie podhodowanie wświdrować do wymyślnego obywatela naszych czasów. Ile tu trzeba przybierać postaci! Jakoż przebiegłszy domy nasze znajdziesz tu i owdzie figury, które się nie zlewają naturalnie w całość domu, ale wydają się przyczerpione jakby naroście jakie, których się każdy pozbyć pragnie. Są to potomki rezydentów dawnych, bez wąsów, z wąsami, z brodą, z faworytami, we fraku, czamarce, w surducie; tu grają w wiska, tam ślęczą nad Kasperowskim; tu smola lulkę, tam tabaczkę zażywają; tu skrzypek, tam poeta, u koniarza dłubie zęby końskie, to znowu przez zadłużonego rozrzutnika na zastaw w miasteczku zostawiony, ledwie się wymknął, by u skąpca pościć jak Anachoreta; zgoła tyle różnych przybierać musi co kilka dni postaci, iż doskonałe rezydenta opisanie o wiele przechodzi obreby obrazku mojego. Zarysy dawne, szeroko zakrojone, starły się. Dawniej dosyć było dla rezydenta być duszą i ciałem Guelfem, a Gibelinów jakby własnych wrogów nienawidzieć; dziś i Gwelfy i Gibeliny roztrzaskali się na milionowe odcienia. Schwytajże je biedny, chudy rezydencie, z próżną kieszenią i głodnym żołądkiem; dawniej dosyć było być białym albo czarnym; dzisiaj namnożyło się więcej barw szarych, niżeli ich jest w przechodzie z dnia do nocy; ale za to rezydent dzisiejszy co stracił z ciała, to nabył w rozumie. Proteusz niezmordowany w wiecznej gonitwie za chlebem powszednim, czepia się łapą raka, pyskiem pijawki wpija się, czołgającym wciska się robakiem. Jak ziele pasożytne gdy straci piorunem zgruchotane lub wiekiem powalone drzewo wiekowe, które zielonemi otaczało wieńcami, czołga się pożółkłe i znędziałe po ziemi szeroko i daleko, coraz cieńsze rozściela gałązki, do uginającej przyczepi się trawki, o karłowaty krzak owinięte wyskoczy ostatniem do góry, aż gdzieś daleko, od rodzinnej oddalonej ziemi, zniknie, suchych liści przywalone ciężarem!...

Nigdy mi tak żywo smutny los rezydenta nie stanął przed oczyma, jak kiedy po raz pierwszy przyjechawszy na szerokie Podola łany poznałem pana rotmistrza. Po okolicznych bywając dworach i dworakach, z ust niemal wszystkich w każdej rozmowie słyszałem o panu rotmistrzu: wczoraj był rotmistrz! przed godziną wyjechał rotmistrz! powiadał mi rotmistrz! u mnie był na obiedzie! córce naszej winiszował urodzin itd. głosiły piękne usta wdów, męzatek i panien, powtarzali mężowie, kochankowie i przyjaciele; nasłuchawszy się dowoli o rotmistrzu, którego nigdzie schwytać nie mogłem, zaczynałem

już wierzyć, że w tej okolicy grają w rotmistrza jak gdzieindziej w zielone; ale gdy mi pani Chrzaszczowa, najprawdziwsza bajka w okolicy, powiedziała i zareczyła — jakem żywa! a trzeba wiedzieć, że żywa już od lat przeszło pięćdziesiąt, chociaż zapewnia, że się rodziła w sam dzień bitwy pod Dreznem, gdzie jej ojciec miał zaszczyt zginąć; gdy mi tedy ta zacna pani zareczyła, że rotmistrz żyje istotnie, różne zacząłem w myśli mej wyrabiać o nim obrazki... Aż nareszcie był to dzień wielki dla mnie, bo byłem zaproszony na obiad do pana Dyzmy Płateckiego, największego w okolicy polityka, literata, a co najwięcej posiadacza czystej wioski. Przyjechałem pełen nadziei widzenia rotmistrza, który zwykle pilnował imienin; zastałem znajome już towarzystwo, wszystko było na miejscu, i nos nad nosy gospodarza, i garb nad garby pani Płateckiej, pani z pod Drezna. Pomiędzy frakami niema rotmistrza, bo już ciż w dzień tak uroczysty, wyznajcie łaskawi czytelnicy, że spodziewacie się widzieć dołman huzarski, kurtkę ułańską, a przynajmniej półfracek lekkiej jazdy; stanąłem, trzeba bowiem w salonie gdzieś stanąć, między panią Parnicką wdową, pełną zaszanowanych wdzięków, a panną Pelagią Irzecką pełną wdzięków spodziewanych; żałowałem tylko, że gdy tamtych już nie widzę, tych dostrzedz jeszcze nie mogę: w tem ozwał się elegijny dyszkancik panny Peluni — rotmistrz jedzie! z całą ukladnością, godną zacnego towarzystwa w jakim się znajdowałem, czekałem z oczami w drzwi wlepionymi, choć niecierpliwe nogi na ganek mnie pędziły.

Głuchy łoskot po podłodze wchodowego ozwał się pokoiku i wszedł... Na dwóch kulach oparty, starzec łysy, siwy, połamany, w białym żupanie i niebieskim kontuszu; a przez plecy zawieszona była czerwona wstęga orderu św. Stanisława; stuknął kulami, brzęknął karabelą w wytarty jaszczur oprawną i stanął; nie witał ukłonem, bo mu trudno już było niżej się pochylić, ale ręką pozdrowił towarzystwo, które na różne grona rozłomane, przywitało go nawzajem, uprzejmymi wyrazami po wierzchu, a chychotami wiejskimi pokrywom; posztuchulał rotmistrz do kobiet prosto; nuż całować piękne rączki, a zwijając się pomiędzy panny i mężatki, jakby śniegiem, siwym włosem posypał po parterze kwiatów.

— Jak się masz rotmistrzu?... Zapomniałeś o nas!... Niestaly z ciebie kochanek!... Mnie to, mnie sprzeniewierzyłeś się! — zagadały wiosna, lato, a nawet i jesień.

— Ha! co zaś? — odpowiedziała zima — co zaś powiadasz?...

A one mu w ucho krzyczą — kochany rotmistrz! zatęskniłyśmy za tobą — a po za ucho do siebie: — Jaki nudziarz stary!... Biedny rotmistrz jest głuchy!...

— Jaka ty piękna dziś! jak róża! wszystkieście świeże jak kwiatki! a postrojone zaś! — gadał do nich w dobrej wierze. — Peluniu pocałuj mnie!...

— Fi! rotmistrzu! fi! gadać takie rzeczy!...

— Co? figi! gdzie zaś figi?... — Śmieją się coraz głośniej i weselej.

— Chyba rotmistrz Peluni zapisze, jak Karolci, za jeden całus dwa tysiące...

— Jakto zaś? zające w lecie!...

— Nudny głuchman! — rzekła basem wdowa.

— Comme une taupe! — zadowcipkowała Pelunia.

— Kto się zaś utopił?...

— Pan Misiurski z miłości! — krzyknęła głosem trąby ostatecznej garbata gospodyni.

— Co zaś? ten dziad starszy odemnie? i kiedy?...

— Pozawczoraj! — dodała wdowa, śmiejąc się z dowcipnej mistyfikacji.

— A któż był zaś powodem?...

— Oczywiście pani Ścizewska; znasz przecie rotmistrzowi jej zalotność...

— No! no! jakże się zdziwi pani Łykowska; będę jutro u niej, bo mi mówił ksiądz gwardjan, że strasznie zaś chora na oczy: bo to zaś jej ojciec miał za sobą Witowskę, ją zaś rodzi Liczyńska, która była primo voto za stryjem nieboszczyka Misiurskiego; byliśmy zaś w kuzynostwie, bo matka jego była pierwaj za ojcem mojej bratowej, marszałkowej Przeorelskiej; mam zaś od niej list z Owruca, pisany wykwinnym stylem i z przeraźliwym afektem kuzynowskim.

Śmieją się do rozpuku!... Czego śmiejecie się?...

Żal mi się starca zrobiło i serce mi się ścisnęło patrząc na te siwe włosy w poniewierce; poszedłem do grona mężczyzn. — Biedny starzec! — odezwałem się do pana Czubickiego, który miewał zawsze łzawe oko, gdy rozpowiadano o tkliwym zdarzeniu jakim.

— Głupi, nudny starzec! powiedz pan; jak można żyć tak długo: pan go nie zna, to plotka okoliczna; roznosi z domu do domu bajki; nie dosłyszy, a więc tworzy dziwolagi...

— A ciekawy! — dodał młody Dubiewski — ciekawszy od naszej Chrzaszczowej...

— Przytem niebezpieczny gość — przerwał pan Czulkowski — sławny brudem skapstwa, jak zwykle parwenjusz — mówią herbowni sąsiedzi — rozbójnik na otwarte cukierniczki, puzderka z herbata, puszki z tytoniem, stambułki...

— Przeżył się! — zagadł gospodarz poważnie zażywając tabaki — czy godziło się żyć przeszło sto lat, mając obie nogi i jedną rękę połamane.

Rozgniewany porzuciłem mężczyzn i wpadłem na niezmordowaną Chrzaszczową. Cóż rotmistrz?...

— Ale dla czegoż żartujecie panie tak nielitościwie z biednego staruszka?...

— Cóż z nim robić? inaczej zanudziłby na śmierć; a wszędzie go pełno; w kalendarzu ma zapisane wszystkie urodziny i imieniny; jeździ za kurzącym kominem; objada, okrada, obmawia!... nie godzi się wypchać starca za drzwi, ale jakim żywa pożartować się godzi...

Po obiedzie, na którym rotmistrz przypomniał mi pocziwego skarbnika apetytem zazdrości godnym; po obiedzie, o którym jak

o Ryczywole zamilczeć wole, a który przecie rotmistrz co chwilę wynosił pod niebiosy: zaś wyborna! jaki zaś twój kucharz doskonały! to mi zaś artysta! — nastąpiła kawa, balsamiczna, podług rotmistrza; i zapewne miała gęstość i woń balsamu dobrego do smarowania, ale nie czystość bursztynu, a gęstość miodowego płynu; a po kawie zaprezentowałem się rotmistrzowi pełen uszanowania dla jego wieku i siwych włosów, pełen politowania nad stanem jego. Niestety, czemuż nie patrzałem nań zdala przez szkło własnych marzeń, wzbudzonych na widok tej starej, połamanej kolumny! myślą byłbym wynalazł brakujące jej rzeźby, ozdoby, kapitel, i ustawił w świątyni, gdzie leżą pamiątki nasze, ciche jak groby!... Znudził mnie, jakbym się najadł lukrecji, nawąchał asafetydę; znał mnie już doskonale, znał mnie lepiej, niż się sam znać mogłem, lepiej niż mnie wrogi moje znają; znał moją rodzinę, z ojcem gdzieś tam jadał, z matką tańczył, do ciotek się umizgał, kogoś tam z moich krewnych żenił, ochrzcił innego, a pochował tych wszystkich, którzy tylko byli już pochowani; przytem chwalił ród mój, urodę, rozum, dowcip, kadził jak gdybym już leżał na marach; czułem obrzydzenie jakbym się przepił: i nie w tej rozmowie, by jedna łyskawica, któraby złotą nitką odświeżyła jednostajność ciemnej chmury; by jedna anegdota, jedna z tylu lat, które przeżył, tylu chrztów, ślubów i pogrzebów. Dotknąłem sam tej struny, czekałem nadaremnie oddźwięku; czy niezgrabna ręka, czy instrument zfałszowany! zamiast nuty dawnej, tęsknej, nuty barskiej, usłyszałem pisk codziennej, ulicznej nuty sprzedającego precle: a ten człowiek przecie rotmistrzował z Puławskim jeszcze, z rąk ostatniego króla odebrał czerwoną wstęgę; pamięć młodzieńczą chował na plotki, które po okolicy sprzedawał za obiady, cukier, herbatę, krupki i mąkę zdobywane kwestą lub przemysłem. Schwycił mnie jak w kleszcze w pytania, któremi cisnął mnie nielitościwie; napróżno wywijałem się połapaną tu i owdzie znajomością świata; czy kocham i kogo kocham? czemu się nie żenię? że ma partję dla mnie! itd.; uciekłem, a ochłoniwszy przy wisku, którego na wsi grają tanio, szkaradnie i krzykliwie, wróciłem do sali bawialnej. W gronie kobiet siedział stary, jak lodowiec nieruchomy; zbliżając się, myślałem, że się patrzy na mnie, lecz jakież było zdziwienie moje, gdy dostyszał jak wymieniwszy nazwisko moje przemówił do wdowy. — Znam go z reputacji, ma romans z mężatką!...

— Otóż nadchodzi! — szepnęła mu wdowa.

— Tak, tak nie godzi się zaś! — odpowiedział — i ślepy i głuchy!...

Poszliśmy na herbatę do innego pokoju, tam na ścianie wisiał portret pana Sulskiego, przyjaciela naszego amfitriona, w mundurze; była to pierwsza i nieśmiała próba córki, nie zła nawet: naadmirowaliśmy się do woli, nagałali ogólników aż strach. — Cóż to zaś za mundur? — zapytał rotmistrz Sulskiego.

— Polski! mundur który nosiłem — odpowiedział pan Sulski człowiek w sile wieku.

— Jakto zaś polski? a to chyba przedemną służyłeś!... —

parsknęli wszyscy ze śmiechu, on sam pozostał nieruchomy i powtarzał ciągle — bo ze mną zaś nie byłeś!...

Rozjechaliśmy się; mimo niesmak jaki wzbudził rotmistrz we mnie, zapuszczałem się nieraz z nim w rozmowę, nie żałując trudu chciałem coś ciekawego wysylabizować z tej starej kroniki, lecz zadanie nie było łatwe, bo się lat swych jak grzechu wstydził, o przeszłości dalekiej nie wspominał nigdy; czasem tylko zgrabnemi zawikłany pytaniami przemówił datami, ale datami tak dawnymi, że aż zadrżałem, bo się zarówno drży przed zmrokiem przeszłości jak i przed zorzą przyszłości. Jam mniemał, że ta przeszłość o której wspomniał dawno już popiołem rozsypana, a ona wyszczerzyła mi się żywa jak widmo jakie z oczu zapadłych tego dziada; znówu mimowolnie szanować mi się go chciało. Później dopiero ochłonawszy i z gorączki marzeń i dreszczu odczarowania, gdy zebrał wszystkie ułamki przez niego i drugih opowiadane, chociaż dawny jego żywot pozostał tajemnicą, poznałem w nim typ rezydenta. Rezydentem był on i dawniej, per fas et nefas zebrał mająteczek; szkoda, że rezydenci nie piszą pamiętników, wszak dotąd ulubione są pamiętniki, dzięki którym nie jedna uczona utrzymuje się rozmowa; byłoby to źródło dla powieściarzy dzisiejszych, którzy domowe obrabiają zdarzenia: nie jedną genealogję, czystą jak stary pargamin, przekrzyżował romans rezydenta zaczęty w cichej zamkowej komnacie, skończony może w tajniach podzamkowych, albo w jasyrze pogańskim. Rotmistrz musiał być przystojny mężczyzna, tak przynajmniej z uśmiechem wiele znaczącym sam mówił o sobie. Gdzie był rezydentem? zkad kapitaliki, które posiadał? nie dowiedziałem się nigdy; przyzwyczajony do życia rezydenta, przechodził wszystkie stany tego koleje; pił po sasku, bił się po polsku, szwargotał po francuzku, aż na końcu tracąc barwa po barwie, z barwy rodzinnej, nabierając odcień po odcieniu potrzebne mu zarysy, dzisiejszemu rezydentowi właściwe, stał się z rezydenta dawnym rezydentem koczowniczym, roznoszącym plotki, chwalcym to dzisiaj, co jutro o milę dalej ganić będzie. Nie potępiajmy go! nie on się zepsuł, ale w koło niego wszystko się popsulo; wierny nam towarzyszy, dziś zbyteczny, wnet go wykurzym kwaśną miną, przytykiem, złym humorem; chwilowej plotce damy obiad, za unęję kadzidła, gdyby nawet kadzielnica w nos dostać, kilka dni popasiem!...

Nigdy powtarzam nie uczulem tak mocno upadku rezydenta, jak gdy głębiej zjrzałem w tajnie życia rotmistrzowskiego; i śmiało powiedzieć mogę, że to jeszcze ostatni rezydent na ziemi naszej! Może przed śmiercią zagada dawnym językiem. Będzie to pierwszy zgubiony tom żywota będącego przy tomie ostatnim. I gdzież dzisiejszy mieszka rezydent? wszędzie i nigdzie, na dyszlu jak powiadają. Stary rotmistrz rozposażywszy nie najlepiej kapitały swoje, ostatni fundusz oddał wnukowi swego przyjaciela à fonds perdu; ma za to chatę, ordynarję i procent w transakcji obserwowany, ale nigdy nie wypłacany, bo wnuk przyjaciela od marca do marca czeka na śmierć dożywotnika; lecz rotmistrz ani myśli umierać; jeździ ciągle, ledwie zajrzy do chaty, w której prócz ścian lepionych nie wiele znajdziesz

sprzętów. Są godziny, w których siedzi samotny, trzyma nogę na szkatułce, w której leżą korespondencje dawne i sto rubli na pogrzeb schowanych, i duma, smutnemi oczyma patrząc na wiszące po ścianach sylwetek parę i cyfer kilka, własnych i cudzych, jedwabiem i włosami haftowanych. Gdyby te marzenia po dymie lulki ulatujące stały się raptem żywe i przemówiły, napisałbym państwu ciekawe pamiętniki ostatniego rezydenta...

— Kilka dni temu byłem u pana Płateckiego. A wiesz też pan — rzekł do mnie — że nasz rotmistrz żeni się...

— Czy podobna?...

— Oświadczył się uroczyście pani Parnickiej, którą kochał, jak twierdzi, nim jeszcze poszła za nieboszczyka męża, i pewien swego, prosił ją tylko, by to zostało w sekrecie, bo w takich rzeczach ludzie zwykle robią intrygi.

— Kiedyż wesele?...

— Jedzie wprzód do Pryśnica, bo jak mówi: mnie zaś nie nie brakuje, tylko te nogi nie statkują...

Wyznam państwu na dokończenie, że ciekawa byłaby to rzecz widzieć, jak będzie wyglądał towarzysz starego Puławskiego, pocący się w kocach pryśnicowskich.

— Czy też powróci?...

— I czy się też ożeni?...

— I czy będzie miał dzieci? — naiwnie dodała piękna Pelunia...

WIEŚNIAK PODOLSKI.

(Pierw. wyd. 1843)

Polski wieśniak nie najlepszej używa reputacji, co się tyczy wykształcenia umysłowego, a pomiędzy wieśniakami naszymi, podług wielu zdania, najniższe zajmuje miejsce wieśniak podolski. Zdanie to jest pozorne zapewne; jakoż w samej rzeczy czy go zdybiesz w dzień powszedni przy pańszczyźnie, czyli też w dzień świąteczny przy kieliszku, ledwie go zdołasz wprowadzić w rozmowę, a i w tej nie wiele dowiesz się od niego. Ciasne granice wiedzy jego ledwie dochodzą do rachunku tygodniowej pańszczyzny, lub do ważniejszego w karczmie o wypitą wódkę; a i w tych ileż razy oszukany przez ekonoma, jeszcze częściej przez arendarza kredkę podwójną, darmo skrobie się w głowę; czuje oszukaństwo, ale zrozumieć nie potrafi. Oświata powoli bardzo wciska się do lepianek wiejskich; nie mojem jest zadaniem wyszukiwać przyczyny tego, zdaje mi się tylko, co powiem w przelocie, że różnicę oświaty u wieśniaków robi po większej części przemysł i handel; różnicy zaś tej któż nie dostrzeże na przykład między podolaninem a góralem? Podole ograniczone na handlu zbożowym, i to handlu zupełnie domowym, nie daje mu sposobności obeznania się ze światem, otarcia się o drugich oświeceńszych ludzi: wieśniak z przeznaczenia swego praktycznemu oddany życiu, nie prędko potrzebę teorii zrozumie. Małomowny w domu, bo też i czasu na rozmowę brakuje, tam gdzie tydzień cały podzielony na robotę dla pana, księdza, dla mandatarjusza, dla ekonoma; a tu szarwarek, i dla siebie trzeba pole obrobić i zasiać; a w niedzielę ledwie służby bożej wysłuchał, jużci się i upił, bo wódka jest koniecznym jego żywiołem: ona mu się sama wszędzie nastrocza, ona zapomnieniem tygodnia minionego rzuca cięń pociechy na tydzień, który przyjdzie. Mowniejszym widzimy go na jarmarku, gdzie potrzeba soli i pieniędzy na podatek, uczy go ważniejszych spekulacyj handlowych; na jarmarku z prosiakiem w worku, albo byczkiem w rękę, jaśniej się już cieniuje charakter i umysł wieśniaka podolskiego, najjaśniej zaś i najdobitniej w drodze: czyli to rusza z pańskim transportem do odleglejszego miasteczka, czyli też mu się zdarzy ta miła dla niego gratyska, że się z kim najmie. W drodze mu najswobodniej; liczne po drodze przy karczmach przestanki, są to najpiękniejsze życia jego epizody: tam on rozmawia, tam

żyje, tam go dopiero poznać można. Skryty zawsze, bo od dzieciństwa do tego przyzwyczajony, bo skrytość jest jego rozumem i bronią razem; mniej otwarty od górala, którego żywości przyczyn szukać może trzeba w czystem powietrzu, co mu piersi do wesołego krzyku rozpięra; zamknięty sam w sobie, bo sam sobie wystarczyć musi; smutny i milczący smutkiem a milczeniem stepów, które go od kolebki otaczają, zdaje się być powleczonej nieprzebitą skorupą głupoty, lecz schwytyany w chwili lepszej, w chwili nie wegetacji ale życia, wystrzeli nieraz iskrą rozumowania, które zwykle chowa się u niego, otulone jakby siedmioskorną Achileśską zbroją, tą posępną skrytością, która po większej części jest rzeczywiście rozumem, bo jest chytrością... Zapomniawszy się rozpiśałem się, jakbym ku uczonej dążył rozprawie, gdy tymczasem chciałem tylko opowiedzieć zdarzenie; trzeba mi przebaczyć, bo rozumowanie było moje, zdarzenie zaś cudze; bo się stało istotnie, a któż częściej, dłużej i czulej pieści się własnem dzieckiem jeżeli nie piszący!...

Było to w październiku; wiatr północno-wschodni, ten kilka miesięczny gość Podola, ciągnął sobie swobodnie od Archangelu zapewne; żadnym gór pasmem niewstrzymany bujał wolny po grzbiecie Europy, którem to nazwiskiem jeden z uczonych Podole nasze ochrzcił łaskawie; bujał po nad gołe, czarne i smutne parowy podolskie, wszelką bowiem z nich wesołość zdarły i wciągnęły w siebie rozległe gumna okoliczne; a huczą jednostajnym i znudzonym głosem samotnego stepów dziedzica; nie zaszumił nawet w borów i gajów klawisze, bo goło wszędzie jakby na dłoni... Droga wiedząca ze Zbaraża do Tarnopola ciągnął się leniwie wóz prosty nie wykwiłtnej podolskiej formy; gołe i suche zioła dwóch drabin bocznych łączyło wiązanie słomiane, o które nienajwygodniej oparty jechał podróżnik jakiś na mierzwiastej, niczem nie załanej słomie usadowiony. Wyżej od niego, bo i worek plewy, tej postnej potrawki końskiej, i drugi najważniejszy w drodze worek, bo do przedkich a częstych popasów przeznaczony wpakował pod siebie, siedział woźnica; wóz zaś ciągnęły dwa konie podolskie. Gdyby konie pisać umiały, a zechciały stosując się do gustu teraźniejszego, jak Francuzi i Anglicy sami siebie opisywać, wówczas dopiero poznalibyśmy, co to za ciekawy jest typ konia podolskiego! bo trzeba być koniecznie koniem podolskim, tym konikiem chudym, małym i nędznym, pasierbem rodu końskiego, tem petit rouszaj, jak go jeden uczony Francuz wojażujący po naszej ojczyźnie nazwał, by pojąć i należycie oddać tak fizyczne onego ułożenie, jako też moralne usposobienie, ten chód, który nie jest zapewne stanem na miejscu, bo już ciż się jedzie, ale jest ani klusem ani stępem nawet... lecz nie obmawiajmy!... Trzebaby wejść w tajemnice pustych żłobów, przed którymi darmo stoją ze zwieszonymi łbami; wejrzeć w dnie pracy, a noce przepędzone przy świetle księżyca na chudem, kradzionem pastwisku; zaglądnąć w ilość soków żywnych zawartych w zdradliwej plewie... Dosyć na tem, że najchudsze i najnędzniejsze może z koni podolskich były owe dwa: myszaty z parszywym bokiem i skarogniady z najeżonym włosem, po którym woźnica kapryśne biczem wypisywał arabeski, a krzyżąc bez ustanku

wio kary! wiśta myszaty! macha biczem jakby los nieubłagany na oślep; czy w myszate czy w karą uderzył skórę, czy cienkim biczkiem powietrze przecinając, świstem wtórował hukowi wiatru, to mu zarówno; dosyć że rzuca się zawzięcie po siedzeniu swoim, przegina, podnosi, postronkami, lejców rolę grającemi, trzepie i targa bez odetchnienia. O gdyby te ruchy wszystkie, niezbyt konieczne, zdołał wlać w nogi swoich koni, przedębby stanął u celu podróży!...

Kto był podróżnikiem trudno odgadnąć; różnorodne łąchmany sukienne, duchem, ba cieniem byłego niegdyś sieraczkowego płaszcza obwiane, nie noszą na sobie żadnej odrębnej cechy, prócz cechy ubóstwa i nieporządku, a nawet wątpić można, ażali źle załatvanemi bokami wiele zasłaniać mogły od natarczywości wiatru. Woźnica był to oczywiście wieśniak podolski; drwił on z wiatru, który darmo walczył z baraniam kozuchem, okrytym po wierzchu sukienką opończą; mścił się jak mógł na białych kudłach baranich u wystającego kołnierza i na kapturze z opończy, który mu się opierał całą wagą upakowanego weń bochenka olbrzymiego. Twarzy nie zająrzeć, głowa bowiem woźnicy utonęła w olbrzymiej barankowej czarnej czapce, której rodzaj widzialny tylko na jarmarkach podolskich: i twarz podróżnego zakryła zawistna chustka osłaniająca jakieś zranienie zapewne.

Jadą pogrążeni w milczeniu, choć czasu nie braknie im do rozmowy, albowiem wlekały się nielitościwie; na domiar nieszcześcia deszczyk jesienny, ów deszczyk który jakby elektrycznymi iskrami przenika aż do kości, deszczyk, który nie wiem dla czego w wielu miejscach kapuśniaczkami nazywają, znalazł potrzebę wylać się z niebieskich stropów, a wiatrem pędzony śmigał jakby różgami w oczy podróżujących. Wnet czarna ziemia podolska oślizła, a koniki niekute więcej się na szerz ślizgały, niżeli na wzdłuż postępowały.

Minęli wioskę, a za wioską stała karczemka, tak mile z wdziękiem ku drodze pochylona, jakby witać chciała przejeżdżających; ktożby zgadł, że ją wiek i liczne nieuleczone defekta ku ziemi skłoniły? Wieśniak nie zdawał się zważać na nią, machał biczem dalej, nawet myszatego, który widocznie folgował biczyskiem szturkał kołogona, lecz (o władzo przyzwyczajenia! nie darmo cię drugą naturą nazywają) konie jakby czarem przykute stanęły przed karczmą. Uśmiech ledwie dostrzeżony przeleciał przez usta woźnicy, uśmiech wzbudzony zapewne rozumnym instynktem koni; ziewnął chłop, podniósł czapkę, czuprynę podrapał, biczem świsnął w górę, to znowu po śliskim klasnął błocie. Niewzruszony na te ruchy i nieruchomy pozostał podróżny, oko tylko jedno nieobwiązane z pod wiszącego u czapki daszka rzuciło spojrzenie długie, przeciągłe, naprzód wydane jakby w dali śledziło czego. Jaka sprzeczność; wieśniak tymczasem spoglądał w bok ku pochylonej karczmie, a konięta w dół w ziemię!... I weisnął woźnica czapkę jeszcze niżej na oczy; bicz zaspiewał smutny dla koni hymn odjazdu; darmo im było oglądać się na wsze boki; musiały ruszać dalej, chociaż mniej jeszcze sporym krokiem.... Działo się to o pół mili od Zbaraża.

Jadą i jadą; wiatr wieje, deszczyk cieknie bez ustanku, a podróżni, ludzie i konie jak milczą tak milczą. Są już w połowie drogi

do Tarnopola, a na czarnym stepie uśmiechają się, jakby trzy oczy, trzy karczmy; choć spojrzwały w bok, minęły konie jedną karczmę i drugą, a przy trzeciej stanęły jak wryte. Powtórzył chłop wszystkie ruchy poprzednie, lecz więcej już w nich cieniowała cierpliwość; zlaźł nareszcie z siedzenia swego, obejrzał konie, pogłaskał, przeszedł się koło woza, ukradkowych spojrzeń parę rzucił ku nieruchomemu podróżnikowi, z których uważny postrzegacz ujrzałby wyraz zadziwienia i pogardy razem: stanął znowu, a w chwili gdy mu się zdawało, że oko podróżnego w bok się zwróciło, strząśł się potężnie jakby nim febra rzuciła; znać zimno dokucza. W wozie milczenie ponure!... zwrócił się więc woźnica ku karczmemce, pozdrowił ją okiem napoty tęsknem, napoty przyjacielskiem. Aż tu o pokuso! wybiegł żydek z karczmy, a za nim brudna żydówka, a za nią żyd w podartym kaftanie. — Jak się macie Iwane! — zagadł głosem syreny; a za żydem woń kartoflanej wódki wybuchła z zady-mionej izby.

Iwan mruknął jakąś odpowiedź, żywszym ruchem zgniół czapkę nad głową i poczuwałował biczem po powietrzu, bo koni zdawał się oszczędzać tą razą. Podróżny milczał uporczywie jakby mu język czarownicy zakleły.

I znowu wieś, a we wsi murowana błyszczy karczma, dumnie wznosi się na pagórku obok parafialnego kościoła; piękna to karczma, a ostatnia już przed Tarnopolem. Stanęły konie po raz trzeci, i po raz trzeci powtórzyły się daremne woźnicy ruchy, do których dodał tą razą huczne walenie rąk o ramiona dla ogrzania się zapewne; z pełną pogardą spojrzął na milczącego, gniewnym ruchem zerwał się ze swego siedzenia, plewy nasypał do worka, zarzucił koniom u dyszla. Już się nawet nie zwracał do pięknej murowanej karczmy, stał tylko nieruchomy a myślał zapewne nie mało, bo się kilkakrotnie poskrobał w ogoloną czuprynę. Chyba niemy jest podróżny, milczy bowiem, a patrzy jednym okiem przed siebie, tak uparcie, tak zawzięcie, jakby w szczęście patrzył.

Po długiej chwili siadł Iwan i podpasionemi nieco końmi ruszył leniwie. Już też z po za zasłony deszczowej okazały się wieże miasta, zabłysnął staw zdale: to Tarnopol! już przed nim, już mijają lepiące przedmiejskie chaty.

Potężnym głosem prr! — zawołał Iwan — konie stanęły, a nasz woźnica zwróciwszy się do podróżnego przerwał po raz pierwszy długie to milczenie. — No! jesteście już teraz w Tarnopolu, zapłaćcie mi!

— Jakto? — naciągniętym głosem zabrzmiała odpowiedź.

— Zgodziliście się ze mną w Zbarażu za trzy cwancygiery, żebym was zawiózł do Tarnopola.

— Dobrze! dobrze! jedź do miasta.

— Zapłaćcie mi naprzód. — Tu spojrzeli po sobie; wzrok uporu zdyszał się ze wzrokiem pomieszania.

— Ja chcę zapłacić, ale musisz mnie zawieść do miasta; tam ubiegę do pułkownika, bo u niego jest kucharzem mój kolega; od niego wezmę i zapłać.

— A jak nie przyjdziecie? ja będę czekać i darmo czas tracę.

— To pójdiesz ze mną razem.

— Aha! a tymczasem chudobę mi ukradną. — To rzekłszy przesadził Iwan nogi przez wór plewy, i bez dalszej rozmowy usadowił się koło podróznego; zwrócił lejcami, zaciął konie i lepszym od zwyczajnego klusem pociągnął nazad ku Zbarażowi. Prózne były przedstawienia, proźby, gniewy, przeklinania podróznego; głuchy na nie Iwan, bił biczem, i wiśta kary! hajta myszaty! pędził dalej, a dalej.

Tu podobno wspomnieć wypada, że do zagmatwania tej sprawy niepomagał przykładło się i to także, że Iwan po większej części nie rozumiał przemowy podróznego, złożonej z ułamków języka niemieckiego i polskiego, przeplatanej przekleństwami pięknie brzmiącymi języka Madziarów. A ponieważ mimo niezwyčajnego pospiechu konięta podolskie dosyć leniwie postępują, nim się do Zbaraża dobieje, nie od rzeczy będzie powiedzieć o koledze pułkownikowskiego kucharza z obowiązany okiem. Jakkolwiek przed kuchnią węgierską każdy gastronom, jak szatan przed wodą święconą umyka, nie można przemilczeć, że nasz podróźny był Węgier i kucharz razem; z tem łączył trzecią jeszcze własność, że się napijać lubiał; papryka! i wódka! to cudowne połączenie! Coby nie było, służywał on tu i owdzie, warzył jak umiał, a pił, ile tylko mógł, aż wreszcie dostał się do panka jednego, który za złe kotlety; (a przez omyłkę miejsce octu zastępowała w nich gorzałka) tak zawzięcie kijem go potraktował, iż mu aż głowę nadwężył: wypędził potem in statu quo, to jest w owym płaszczyznowym wizerunku, bez grosza, bo nasz kopcidym nie miał zwyczaju składać pieniędzy. Obwinawszy zatem jak najstaranniej corpus delicti, szukał prostoduszny Węgier komitatu i sztulrichterów w najbliższem miasteczku. Odezarowany w tym względzie pobity kucharz, posłuchawszy rady cudzej, udał się pod opiekę naszego Iwana do Tarnopola, pełen różanej nadziei, że tam znajdzie wynagrodzenie za krzywdy swoje, a razem dostanie sukurs jaki od kolegi kucharza. Co się z nim działo w czasie przymusowego powrotu do Zbaraża łatwiej pojąć niżeli słowami oddać.

Darmo wiatr huczy z tyłu, kaptur na głowę zarzuca, kapuśniaczek leje a leje; darmo śmieją się karczmy ku niemu; syreni głos żyda dolatuje, woń gorzałki w nos mu wciska; goni Iwan aż para bucha z biednych koników: i nie zatrzymał się, aż stanęli w miasteczku Zbarażu, gdzie wypuściwszy z pod opieki podróznego, zostawił zdziwionego i zgłupiałego Węgra na środku rynku, a sam pogonił ku domowi...

W kilka dni potem stanęły obydwie strony przed sądem magistratualnym; sędzia nie szczędził pracy i mozółu, by się prawdy dowiedzieć.

Oskarżyciel powtarzał bez końca. — Jak to być może, że ja jestem w Zbarażu? ja powinienem być w Tarnopolu i byłem już tam moi panowie! byłem już tam, a ten hultaj przeklęty odwiózł mnie nazad.

Sędzia skarcił surowo oskarżyciela, za używanie słów nieprzystoitych.

Nie zważając na to zacięty Węgier wrzeszczał dalej: — Za karę niech mnie znowu zawiezie do Tarnopola; ja już tam był!... mnie tam potrzeba!...

Przyszła kolej na Iwana; ten indukował sprawę swoją w ten sposób, że nie będąc zapłaconym za drogę do Tarnopola, odwiózł go nazad na miejsce zkad się był najał. — Wy mnie za mój czas stracony powinniście nagrodzić. — Zakończył zaś Iwan swoją obronę i skargę razem sylogizmem, że iść za nim do półkownika nie mógł, by nie stracić chudoby, a czekać na niepewny powrót nie był obowiązany.

— Ależ jabym był ci zapłacił!...

— Tak! zapłacilibyście — wykrzyknął Iwan — a przed pierwszą karczmą gdyśmy stanęli, siedzieliście sobie jak pan, ani człowiekowi wódki nie kupili jak to bywa zwyczajem, ani sami się nie napili; już ja wtenczas miarkował, że źle.

Nie nie odpowiedział Węgier, westchnął tylko czy za Tarnopolem, który mu się tak wyśliznął, czy za wódką, której sam byłby się dusznie napił przy każdej z owych karczemek.

— Ba stanąłem przed drugą karczmą, przed karczmą Zylbermana; jasny pan musi go znać, doskonałą ma wódkę! i zimno było człowiekowi, aż się trząsał, a oni sobie siedzieli i nie pomyśleli nawet, że człowiek nie pies, że mu się wódka należy na taką słotę. Podumałem sobie wtenczas, że niepewne moje pieniądze... No ale cóż robić! stanąłem koło murowanki; człowiek zmarł aż ręce pogarbiały i konie trzeba było podpaść: choć za kopijkę wódki, to i żyd kupi, nawet nasz arędarz Szłoma nie żałuje jak go wiozę do Tarnopola. I tak stracili u mnie wiarę, i jak mnie nie zapłacili przed miastem, powróciłem nazad; teraz niech go djabeł wiezie sobie do Tarnopola; ja nie głupi, ja ich nie powiozę.

Rozumowanie było nie złe jak na wieśniaka podolskiego; a jaki sąd wypadł, nie opowiem państwu, bo gdy się oskarżyciel i oskarżony zaczęli lżyć z ruska i z węgierska, obrażeni sędziowie przestali mozolić się nad trudnym wyrokiem i obydwóch kazali wypchać za drzwi.

PRZEZ ULICĘ.

(Pierw. wyd. 1843.)

I.

O godzinie duchów cicho było a ciemno w mieście; ulice puste, skapemii latarniami oświecone, wyglądały jakby chodniki pieczar podziemnych; w górze jak skaliste sklepienie ciemne wiszą chmury, a w nich niekażdemu oku widzialny przez całe miasto rozciągnięty kobierzec tkany arabeskami sennych marzeń ludności miejskiej — kłótnia barw i odcieni z jakich się składają sny tylu tysięcy namiętności i myśli, uspionych między wczoraj a jutrem!...

Odbił się raptem chód po bruku, echem rozbiegł się po pustych ulicach; ciemnym paletotem owinięty z ulicy w ulicę błędnym szedł krokiem młodzieniec; długie i jasne rozrzucił włosy na głowie, a okiem pełnem życia młodego, w górę wzniesionem zdaje się szukać; czy uczucia chce się pozbyć, czy za myślą goni? może cudzoziemie, stracony w nieznanem sobie mieście szuka drogi? Zajrzał światłoc które z daleka z ciemnej buchało ulicy; kroku przyspieszył i stanął, po jednej stronie ulicy dom, z którego okien pierwszopiętrowych przez pasowe firanki płonie światło jakby pożaru, po drugiej stronie dom zaciemniony brakiem światła i żaluzjami zasuniętymi jedno tylko okno na pierwszym piętrze z otwartymi żaluzjami, odbija ja-skrawe drugiego domu światło. Zapewne dojrzał światło bo oko utkwiał nieruchomie w ciemnego domu odsłonięte okno.

Nowe słyhać stapania; spokojnym krokiem zbliżyło się dwóch mężczyzn; z późnej kawiarniowej snąc wracają zabawki: w obojętnej bowiem rozmowie rozpamiętują ostatnie zjawienia ostatniej partii bilarowej. Światło o tak późnej godzinie i człowiek stojący z oczami do góry wzniesionymi, czyż nie dosyć dla dwóch ciekawych miasta mieszkańców, by się zatrzymać?

— Ile mi się razy zdarzy, — rzekł jeden — późno wracać do domu, zawsze światło w tym domu.

— I ja to nieraz zauważałem; ale jak cicho w oświeconym domu; to dziwna! — Mówią między sobą, a głosem donośniejszym chcie-

liby zwrócić uwagę stojącego młodzieńca, którego postawa nieruchoma więcej ich obchodzi aniżeli ciche oświecenie; lecz ten nie ruszył się z miejsca, ani nawet spojrzął na nich.

— Za cicho na bal lub inną zabawę, a za jasno na nocny spoczynek; pan nie wie kto tu mieszka? — rzekł jeden z kawiarniowych gości do drugiego.

— I owszem wiem z przypadku, że tu mieszka pan O**.

— Pan O**! z przeszłego wieku człowiek; za stary na tak późne zabawy.

— On stary! — gdzie tam — przeciwnie, żywy i fertyczny brunet.

— Pan O**! — ozwał się młodzieniec, — tu mieszka naprzeciw tego ciemnego domu, naprzeciw tego okna?

— Tak! pan go zna?

— Ja? — tak! — to jest nie znam go osobiście, ale czy nie jest on niskiego wzrostu, brunet z żywymi czarnymi oczyma?

— Tak! to on będzie!

— Więc tu mieszka... — tu! — i zamilkł młodzieniec w paletocie.

— To pan! bogacz! — mówi jeden. — Gdzież tam! goły —! mów! drugi. — Zkądże codziennie tak rześiste oświecenie? — Tego i ja nie rozumiem! — Może chory? że tak cicho. — Może literat i pracuje po nocach? — Wątpię! niepodobny on do tego.

Od chwili już rozlegał się z końca ulicy huczny głos choć nieco zachrypnięty; niepewnym, tańczącym prawie po bruku chodem zbliżał się nowy nocny wędrowiec, a śpiewał co mu tchu stawało:

Czy to dzień, czy to noc!
Zawsze wesół, zawsze pjan!

Zbliżył się do stojących i usłyszawszy z rozmowy, o co rzecz idzie, ozwał się: — Ale gdzie tam! ja go znam, to mi pan, tegi pan! nie ma wioski, nie ma grosza intraty, a płaci jak graf; ja jemu buty robię; gdzie jemu chorować, gdzie jemu pisać, chyba do kochanek: bo on panie jak ja., i dobywszy głosu potężnego walił dalej:

Gdzie dziewczulę zobaczę,
Zaraz lecę do niej w skok!

— Oczywiście pije sobie; a trzeba wiedzieć moi panowie, że to najlepszy czas, i jabym pewnie dotąd nie był wyszedł z pod trzech zajęczków, gdyby nie ta warta!

— To ona! — wykrzyknął młodzieniec patrząc w okno, w którym rzeczywiście przemknął w tej chwili cień jakiś kobiety w bieli.

— To ona! — powtórzył wesół rzemieślnik — ale to mięska warta; znam tego kwartalnego; bardzo godny człowiek! codziennie prawie odprowadza mnie do domu.

Widząc zbliżającą się wartę nocną, rozeszli się goście kawiarniowi, poszedł śpiewak nocny, i młodzieniec w paletocie raz jeszcze ogniste rzuciwszy spojrzenie ku oknu, z którego biały cień już znikł, odszedł do domu domarzyć koniec powieści, której początek zbudziły w młodej głowie duże czarnych oczów gwiazdy, postrzeżone na spacerze... w teatrze. Pytanie o cichem oświeceniu pomieszkania, nieodgadnionego O** zostało nierozstrzygnięte.

A zatem używając przywileju właściwego wszystkim powieściarzom, wejdźmy do tego pomieszkania, a może poznamy pana O**.

II.

A ponieważ niektórzy psychologowie twierdzą, że człowiek każdy najłatwiejszym do poznania w rannej jest porze, póki szaty udania, którą nocny zdarł spoczynek, nie wdzieje na nowo; tem więcej mieszkańca miasta, którzy chyba z łóżka wstawszy samym sobą być może, a później już tym, którym go położenie jego towarzyskie i jego zrobią potrzeby, w przedobiednich godzinach odwiedzić należy. Owoż rano dla pana O** zaczyna się o dziesiątej; o tej porze już wyszedł z łóżka, już w rękę zgrabnego kamerdynera w ranne przyodziany szaty w wygodnym fotelu usadowiony, po wonnej moce, wonniejszego jeszcze smoli turczyzna z hebanowego cybucha o czerwonej koralowej głowie. Gdybyśmy mogli, a raczej śmieli odkryć tajemnice sypialni kamerdynerowi tylko znane, przekonalibyśmy się, że już od czasu obudzenia znacznie zmienił powierzchowność swoją: albowiem prócz szlafroka kaszemirowego w wielkie jaskrawe plamy, prócz pasowej chustki fularowej na szyi, prócz mycki złotem tkanej lekko rzuconej na kruche włosy, wdział on na siebie i owe czarne włosów kunsztownych pierścienie, białość wąsów i brwi poczercił, a śniadość pomarszczonej twarzy pobiełił i wygładził; sine porumienił usta, by lepiej odbijały od dwóch rzędów perłowych zębów, które przez noc swobodnie w pudełku spoczywały. Gabinetik buduarowy, w którym pan O** siedzi przed mahoniowem staroświeckiego kształtu biurkiem napełniony jest różnorodnymi przedmiotami, noszącymi cechę wykwintnego gustu pańskiego i zapewne pańskich dochodów: bo są srebra na toalecie, są i krzysztály; jest w kącie stół ubrany w cybuchy różnej wielkości, same antypki z drogiemi bursztynami; w drugim kącie stoliczek ze świecidełkami, którychby się pierwsza stolica dama nie powstydziała; pamiątki szyte, haftowane, malowane, a nad niemi jakby nad ołtarzem godnym siebie wisi kilka miniatur, z których same piękne kobiece uśmiechają się twarze. Na biurze w kształtnym beładzie leżą książki i żurnale, obok tabakierki kilku, których najmniejszą ozdobą jest sztucznie rzniete złoto, ale są w nich mozaiki, drogie kamienie i droższe malowidła. O** siedzi zamyślony, a przed nim rozwarty pularz cyframi zapisany, świadczy, że do porządnego przyzwyczajony życia, co rano przegląda finansowy swój budżet; nie zdaje się być kontent z niego, jeżeli wierzyć smutnemu zmarsz-

czeniu brwi, które na przekor sztuce daje wyraz starości odmłodzonej twarzy. Gwałtowny kłęb dymu wypuścił, przewrócił pulares, i z drugiej jego strony dobywszy kilka banknotów, rachował je po kilkakroć, jakby nie wierzył sam sobie; poruszył srebrnym dzwonkiem, wbiegł kamerdyner.

— Jest kto w przedpokoju?

— Jest chłopiec ze sklepu korzennego i Abramko...

— Dla czego razem? Chłopiec niech wnijdzie, a Abramka wysłać gdzie; za kwadrans niech przyjdzie: rozumiesz? a teraz nikogo nie puszczaj, chyba pana Z*.

Po chwili wszedł chłopiec z rumianą i głupią twarzą, a woń korzeni wbiegła z nim do pańskiego buduaru. O** zerwał się z siedzenia swego, pocisnął sprężynę w bórze i z wysuniętej kryjówki dobył jedną, drugą i trzecią paczkę. — Masz tu moje dziecię — słodzikim ozwał się głosem — już są gotowe! — Chłopiec za każdym słowem nisko kłaniając się powtarzał: — dobrze jaśnie panie!...

— Kłaniaj się panu! czemu sam nie przyszedł?

— Strasznie zaafierowany jaśnie panie!

— No dobrze! bierz schowaj to! nie potrzebujesz tego nieść tak przez ulicę, aby wszyscy widzieli.

— Rozumiem, jaśnie panie! — odrzekł chłopiec, próbując dowcipnego uśmiechu, i paczki zawinął w wielką bawełnianą kratkowaną chustkę.

— A powiedz swemu panu, żeby uważał lepiej i drugi raz nie zrobił takiego głupstwa jak onegdaj: gdyśmy grali u prezesa, który przecie z mojej rady u niego kupuje, przyniesiono jakieś karty, zupełnie mi nieznane, których, uważasz! ja nie chcę: bo hofmańskimi tylko kartami grać lubię, i dla tego każę je do siebie przynosić, aby się przekonać, rozumiesz mój maleńki? te tylko są zgrabne, tamtemi grać niepodobna. No idź mój chłopczyku! — i jedną ręką pogłaskał tłuste chłopca policzki, a drugą z kryjówki dobytego wściubił mu dukata. Uśmiechnął się chłopiec, ukłonił nisko, a odchodząc długo rzucał dukatem w rękę, jakby go ważyć chciał; snać nigdy jeszcze takiej nie widział cienkiej blaszki.

Po kwadransie wszedł Abramko, niski żydek z lisią bródką a krogulczem spojrzeniem. Ofuknął się pan O**, wyprostował krótką figurkę, której nie mało dodawał powagi, choć ukrócał jeszcze wyrastający brzuszek, dobrego bytu świadek. — Ja pieniędzy potrzebuję! a ty sobie kpisz, chodzisz, pleciesz, kłamiesz, szachrujesz, a pieniędzy jak niema tak niema.

Nie wiele zdawał się być żyd przestraszony; ciekawem tylko okiem rzucił na otwarty pulares i w odemkniętą kryjówkę, którą w tej chwili O** zatrzasnął. — Ja myślałem, że jasnemu panu poszczęściło się.

— I cóż z tego?

— No! to może pieniędzy nie potrzeba, a możeby i jasny pan oddał, co się mnie należy, bo dłużej już czekać nie mogę.

— Przestań już! — mniej grożącym ciągnął głosem jasny pan.

— Ale bo i mnie już czekać nie chą; ja ręczyłem za jasnego pana u G* za taka wielka suma.

— No! no! dajmy temu pokój dzisiaj, mój Abramku! — słodszy daleko głosem mówił udobruchany O** — jestem zmęczony, słaby!

— Jasny pan codzień z rana lepiej wygląda, jak róża z przeproszeniem.

— Mnie dziś gwałtem potrzebne pieniądze.

— A wiele? — odpowiedział Abramko i skrobnąwszy się w brodę, badawcze rzucał w koło pokoju spojrzenie, aż nim spoczął na świecącej srebrnej miednicy z pościacanym kubkiem.

— Pięćset reńskich!

— Aj! aj! aż dwieście w srebrze.

— Nie udawaj durnia mój Abramku! pięćset reńskich w srebrze potrzebuję.

— To trudno! ja nie mam; już tę trochę kredytu co miałem, przez jasnego pana straciłem; już mi teraz nie dadzą i na sześć procentu miesięcznie.

— Słuchaj Abramko! — ty mnie znasz; ja dobry człowiek, ale trochę niecierpliwy; jak mnie znudzisz, to już ja cię z domu wyproszę, a pieniędzy znajdę bez ciebie: Moszko dawno się prosi do mnie.

— Ach Moszko! — ten łajdak! ten drab! won siedział w kryminale!

— Przestań gadać daremnie! słyszę, że ktoś idzie; w południe, abys mi przyniósł koniecznie pięćset reńskich i basta!

— A jak jasnemu panu będzie znowu się nieszczęście?

— Zrób co każe, i idź precz! — rozkazującym rzekł tonem.

— Dobrze! dobrze! jasny panie grafie! — odpowiedział uniżenie żyd.

— Dzień dobry kochanemu panu! — ozwał się głos z otwartych podwoi.

— Dzień dobry! dzień dobry panie Janie!

Po wyjściu żyda rzucił się na sofę trochę wyższy, ale znacznie grubszy od O**, nieco łysawy nowo przybyły jegomość w rajtroku i z grubą trzcina w ręku. — Zmęczyłem się! każ dać lulek, cygarów! — a zapalwszy cygaro rozparł się pan Jan Z** na sofie, a szylkretowym grzebyczkiem, skąpe i siwiejące już włosy naciągnął na czoło, na którym jak i na twarzy i w oczach, było więcej zmarszczków i wieku, niżeli wyrazu jakiego.

— I daremnie?

— Najdaremniej w świecie! goniłem za tym dragalem jakby z sikawką na pożar; i w cukierni i w kawiarni, wczoraj w teatrze, dziś w sklepie i na rogu przy afiszu, ale powiadam ci jak prawdziwy żołnierz i z frontu i z flanku atakowałem: pozostał nieporuszony jakby Anglik — tak! lub nie! krótko odpowiadał i nie tylko mnie to spotkało, namowiłem Z**, P* i M**; owoż przed godziną zesłiliśmy się w rynku; daremne były ich zabiegi, żaden z nich nie zdołał

w najmniejszą wprowadzić rozmowę tego drabanta. Ż** pognął za nim do łazienek, lecz wątpię by co wskórał.

— To źle, bardzo źle! bardzo źle! od niejakiego czasu idzie nam wszystko jakby z kamienia. I z tym twoim kuzynkiem...

— A to odrodny! odszczepieniec! nie wspominaj mi o nim! Nie gra, nie pije! lata jak szalony po górach, skałach i innych głupich ideałach! czyta jakby mnich! i pisze coś ciągle jak praktykant-jaki! szkoda tego ogromnego majątku, którego sam użyć nie umie, a od rad moich stroni.

— Mniejsza o jego majątek! chętniebym go wam odstąpił bez najmniejszego udziału, ale...

— Przechodzi drogę panu!... kobiety!... to jego rzecz!... o toż i Ż*!...

— No i cóż? — zawołali do nowo przybyłego mężczyzny średniego wzrostu i wieku, na którego twarzy jesnej, pożółkłej od wieku i słabości, a rudemi plamami nakrapianej, rozlany jest wyraz równie prawie nijaki, jak u tamtych, gdyby czasem z oczów siwych nie strzelał wyraz chytrości, więcej złośliwej niżeli dowiepnej.

— Nic! zgola nic! wyparzyłem się z nim w parnej kąpieli; omal nie udusiłem się; podawałem mu gąbkę, ręcznik: rozповідаłem o Odesie, Kijowie, morskich kąpielach i krymskich dziewczętach — jak groch o ścianę! tak! nie! dziękuję! więcej nic! a do tego uśmiech, powiem wam uśmiech, niech mnie djabli wezmą, szatański!

— Prawda! prawda — spojrzenie jego i uśmiech jakby jademy tofany napuszczone... jak djabła Suliego!

— Ha! ha! — roześmiał się O** — całą powieść fantastyczną ułożycie z jednego spojrzenia. Więc niema sposobu? i nikogo tu nie zna?

— Ale! ale! — zapomniałem wam powiedzieć; widziałem go wczoraj chodzącego z D**.

— Z D**?

— Z D**? — powtórzył zadziwiony O** i zamyślił się; — to dobrze! bardzo dobrze! już on nasz!

— Ale D**! to romantyk: marzyciel niebiesko migdałowy!

— Śmiejecie się! D* jest mój; mam go w kieszeni!

— Nie zazdroszczę jej tak gołego ciężaru!

— Nie traćcie czasu, idźcie! M* i P* zaprosicie na obiad do mnie, i sami przyjdźcie; ale, ale, dla przyzwoitości zaprosić wypada grubego i piskliwego M**, nie przeszkodzi, tyle widzi co kret!

— Przytem nieszczęśliwy w grze, a płaci i ma czem płacić! a będzie nam parawan! tą razą.

— Jeszcze jedno! — dodał Ż* na wychodzie — ten graf S***, ile zmiarkowałem, gdy m mówił o klubie angielskim w Odessie, nic mi nie odpowiadał, ale przysięgnę wam że kozak i to kozak pierwszej gieldy!

— Kozak! — mniejsza o to przyjaciele moi. Złapał kozak Tatarzyna, Tatarzyn go nie chce puścić! — Po odejściu gości, pan O**

przeszedł się kilka razy przez pokój; głębokie zamyślenie, które zwykle najpowszedniejszą twarz rozpromienia szlachtniejszym wyrazem, zdawało się kurczyć twarz jego, gwałtem odmłodzoną wyrazem niskiej wiekiem wkorzenionej podłości; z oczów tylko ciemnych które niegdyś wyraziste, a nawet piękne być musiały, strzelał czasami wyraz migotny, który z pod gęstych brwi łyszczał przeszlizgającym się gadem. Stał przypadkiem koło okna, które pąsowa firanka do większej połowy zasłaniała, spojrzął, odchyliwszy nieco zasłony, przez ulicę ku oknu przeciwnego domu; rysy twarzy przeciągnęły się do uśmiechu, usta wyduły się w dół. O** podobny był w tej chwili do starego Satyra; uderzył się po czole jakby mu myśl nowa przybyła, lub starą odegnać żądał, szybkim przyskoczył krokiem do bióra, napisał kilka słów na welinowej cwiartce i jakby mu się pilnie działo, sam wyniósł napisany bilecik do przedpokoju.

Jeżeli dotąd nie poznaliśmy O**, już go po powrocie nie poznamy, widocznie bowiem wdziawał pomalą a z namysłem ową szatę udania, którą się każdy przez dzień obleka, i poważnie, skromnie, a bez przesady, nie z fertycznością młodzika, ani też z ociężałością starca, jakby czterdzieście lat ledwie minął, usiadł na sofie, wybrawszy poprzednio książkę, którą otwartwszy na los szczęścia wziął w rękę i przed oczy postawił, a wyraz w czytaniu osiadał na twarzy, rozpromienionej miłym i słodziutkim uśmiechem. Po niedługim czasie oznajmił kamerdyner pana D*, i wszedł mężczyzna, którego cała postawa i wyraz twarzy w zupełnej były sprzeczności z postawą i twarzą O**.

Był to człowiek atletycznej budowy, jakby z olbrzymiej skały wykuty; jakoż miał coś posagowego, w zarysach szeroko zakrojonych tak postawy jak i twarzy. W postawie widać zdrowie i siły młode na wiek cały wyrachowane, i na twarzy widać młodość, lecz koło ust pełnych jeszcze, mimo rześzystych jasnych wąsów, są ślady cierpień licznych i głębokich. I oczy znać że były niegdyś błękitne jak niebo, póki je chmury popołudniowe nie zaćmiły; na czole szerokiem i otwartem widać myśl, której darmobym szukał pod czarną O** peruką; nie myśl maska z jaką się nieraz zdybiesz w mieście, ani też myśl polip głęboko wkorzeniony w mózg, ale myśl łyskawica, która przemawia ciągle zmieniającym się hieroglifem zmarszczków czoła. Jak powiadam wyglądała jak posąg, wykuty dla dawnych wieków, ożywiony duchem dzisiejszego wieku.

Z otwartemi rękami, z których wyleciała jakaś Kraszewskiego powiastka, poskoczył O** i uściskał zimno witającego pana D*. — Daruj drogi! — miodowym mówił głosem — że cię fatygowałem do siebie — a ścisnął serdecznie za ręce — ale przyjacielskiej twojej a rozsądnej potrzebuję pociechy.

— Pan odemnie pociechy?

— Dziwisz się, bo mnie nie znasz dobrze jeszcze; ja żyję w świecie, jak już raz żyć muszę, ale są dla mnie ciężkie godziny, w których płocha miejska rozmowa, zimna nawet książka nie wystarczą, aby wypędzić czarne myśli.

— Czarne myśli? — powtórzył z zadziwieniem... i w czym ja.

— Ty kochany Józefie! przebacz tej poufałości, możesz wiele dla mnie swoją rozmową, która może stać się arfą Dawida dla Saulowych myśli moich.

Zadziwiony spojrział na O** pan Józef, wypatrzył oczy nie rozumiejące, i to tylko zrozumiał, że głęboki musi być smutek który zdołał tak postarzeć; jakoż zgrzybiała wydaje się twarz O**, zeszpecona ciąglem krzywieniem się. — I zkad takie myśli przy wesolem życiu?

— Życie wesole! i tyż, który tak pięknie i głęboko cudze opisujesz uczucia i myśli, nie możesz zrozumieć, że życie wesole jest najczęściej maską a pod nią!...

— Coż ci brakuje panie? powiedz! prawdziwie nie rozumiem; masz zdrowie, wesole usposobienie, dostatki...

— Dostatki! czy znasz panie Józefie mój budżet, rzecz dziwna jak dziecinnie łatwowierni są ludzie głębszym nad codzienne myślenie oddani. Mój drogi! — a przytem tragicznie sapnął zasępiony O** — bankierowie zwykle najdroższe i najwytworniejsze dają zabawy w wilię bankructwa.

Zbladł jak chusta pan Józef. — Miałożby być tak źle z panem — O* milczał, a oczy nieruchome utkwiał w woskowaną posadzkę.

— Toby było okropnie! — j milczenie i nieruchomość ta sama. — A ja prawdziwie — ciągnął dalej jakając się pan D* — właśnie teraz jestem w niepodobieństwie uiszczenia się z długu, ale będę się starał.

— Dajmy temu pokój, — odrzekł O** westchnąwszy jakby się obozdział ze snu magnetycznego — znam twoje okoliczności i chociaż każda najmniejsza kwota wiele stanowi dla mnie, a nawet podobno przyrzekłeś mi w tym czasie oddać to, co ci tak chętnie pożyczyłem nawet bez żądania twego.

— I to właśnie co mnie zgubiło; pożyczyłeś mi pan na tę przekłętą grę, w którą tyle, tyle już przegrałem!...

— Rób jak ja, nie graj gier hazardowych, i ja grałem, ale nauczony doświadczeniem; bo też mam gniazdo niepraktykowany.

— To być może, ale ci panowie, jak się tam oni zowią, przyjaciele czy znajomi pańscy mają szczególne szczęście.

— I czy nie pamiętasz, kiedy termin owego weksłu, który ja za ciebie ręczyłem?

Jeszcze gorzej zbladł pan Józef. — Jutro podobno! i to poszło w karty! Panie! zapewne doświadczyłem wiele przyjaźni od ciebie, ale tyś we mnie obudził tego szatana, który zadrzywał, jedna namiętność więcej! Panie! ty nie znasz całego położenia mego.

— Mówmy o czem innem, ten przedmiot i mnie i ciebie zasnuca; zresztą co się tyczy mego długu i tego weksłu, nie troszcz się! znajdziemy może sposób załatwienia i t. d.

— Sposób! jaki?

— To na potem! od przyjaciela przyjm tylko jedną uwagę, narzekasz na grę, zapewne przegrałeś w tych czasach niemało, ale

wierz doświadczyńskiemu; ty miewasz weny szczęścia niewidziane; ja ci nawet przepowiadam kiedyś ogromną wygranę, ale, ale, dla czegoś tracisz pieniądze dla dogodzenia? — Spojrzeli po sobie. O* oczy choć ciemne uciekły przed ognistym wyrazem oczów jasnych — Jak mówiłem, mówny o czem innem; widziałem cię wczoraj z wysokim a chudym drągalem, który dziwnie zabawnie odbijał od ciebie.

— A to znajomość z Odessy.

— Nazywa się?

— Graf S***

— To ma być bogacz wielki?

— Podobno.

— I gra w karty jak słyszałem od M*; — ot! wiesz co! próbuj raz jeszcze szczęścia! jak myślisz? — Uważnem i budzącem się okiem spojrzał pan Józef na O*. — Mnie się zdaje, że to myśl szczęśliwa! u ciebie nie można, ale zaprosz go do mnie; dziś na obiad przyjdźcie, będzie u mnie M* i parę osób jeszcze; kilka dobrych przejść w djabełka, a i dług i weksel i tracenie ulubione!...

Spojrzał po raz wtóry pan Józef na O*; widać z jego oczów, że nie tak dziecinnie łatwowierny jak się zdało O*, a może, czysty marmur posągu pobratał się z łatwo przystającym błotem: po chwili spuścił oczy w dół i półgłosem rzekł: — Ja nie mam pieniędzy do gry.

— To najmniejsza! tyle jeszcze znajdę dla ciebie.

— Możeby to panu przyszło z trudnością?

— Mniejsza o to! już ja się postaram, a potem, jeżeli jak mam przecucie, poszczęści się tobie, mogę być w spółce z tobą, to i mnie poratujesz. Nie myśl długo! idź! już dwunasta, o drugiej czekam z obiadem; po dobrem winie zagramy, a kto wie jak wesoly będzie wieczór dzisiejszy.

A gdy odszedł pan Józef D*, odetchnął O*, i mruknął sobie pod nosem. — Przekłęte oczy tego grubasa, nie śmiem zupełnie szczerze z nim pomówić; hołysz, a hardy! i niby enotliwy, a za pieniądze aż się trzęsie!... Tfu! głupiec.

Pan D* zaś idąc po schodach mówił do siebie.

— Co ten szatan chce odemnie; pistolet, pistolet pcha mi do głowy!

Ledwie pan O* miał dosyć czasu przebrać się i zakończyć finansową pogadankę z starozakonnym, a już przybyli poufalsi; dwóch znamy już, a panowie P* i M*** mało się od nich różnią, młodszy tylko, osobliwie M**, z twarzą, na której ledwie mech młodzieńca ustąpił przed wąsem męża, a już poorana przedwczesnymi zmarszczkami, a już oczy pomęczone jakby licznych nocy bezsennością: zresztą wyrazy wszystkie powszednie, ugrzecznione salonowem ukształceniem, które i ciało i duszę odziewa w szaty na modny zwyczajowy krój uszyte. Ledwie czasu mieli kilka słów pomówić.

— Graf S*** będzie! — Będzie? — Będzie? — A więc jak zawsze? — Oczywiście!... Spuszczam się na waszą ucziwość!...

— O! słowo honoru! jak najściślejsza współka!

— Tylko mon cher! — dodał M* do P* — staraj się być zgrabniejszym niż u prezesa onegdaj, gdyby nie moja przytomność umysłu...

W tem nadszedł pan M**; pocziwe jakieś panisko wykarmione i wesolutkie; istna karytura D*; podobny wzrostem i otyłością, a nawet i twarzą równie szeroką i jasną, tylko barwą więcej śniadą, a wyrazem powszednim przypomina różnicę gliny i marmuru; wkrótce nadeszli pan D* i graf S***.

III.

Po obiedzie wykwintnym, o którym wartoby wspomnieć choć słów kilka, po obiedzie prawdziwie kawalerskim, bo na nim jedzono dobrze, jeszcze lepiej pito, nastąpiła oczywiście kawa likworami towarzyszona, a po kawie lulki i cygara, przytem pogadanka jak zwyczajnie między mężczyznami: nieco o koniach, nieco o kobietach, trochę o teatrze, więcej o kulisach; aż nareszcie wniesiono zielony stolik. Nie jedno w towarzystwie zaśmiało się oko wyrazem czarodziejskiej nadziei. D* rzucił okiem niecierpliwości i żądry na zielone sukno, a wzrok jego roziskrzony winem, którego nie szczędził gospodarz, łyskał wyrazem mniej może szlachetnym jak zwykle, ale więcej ognistym.

— Może wiska zrobimy? — zapytał gospodarz północnego grafa, który prawdziwie jak mruk siedział przez cały obiad: jadł dosyć, pił jeszcze więcej; ale ani poczerwieniał, ani się rozweselił.

— Nie gram wiska! to nudna gra!

— Może lombra?

— Nie gram lombra! to jeszcze nudniejsza!

— Pan hrabia zapewne amator gier hazardowych? ja wprowadzie nie grywam, ale panowie, pan hrabia M*, pan baron M* grywają, więc...

— Ja lubię hazard! ale gra mała nudzi mnie.

— Zapewne pan hrabia do gier rossyjskich przyzwyczajony i ci panowie dosyć wysoko grać zwykłe — a do najbliższego sobie D* szeptał: — jeżeli będzie gra gruba, to darujesz, ale dziś... nie mógłbym !...

— Tak! tak! — przeciągłym odpowiedział głosem, a zgrzytnął zębami, aż przecięte upadło cygaro na ziemię.

— A zatem — ciągnął spokojnie O** — dalej! faraona? kwintecza? djabełka?...

— Djabła!

— Są karty! niech panowie chętni gry ciągną o miejsca.

— Ha! ha! — zaśmiał się graf S** — trzeba zaś wiedzieć, że często uśmiechał się, ale śmiech ten był szczególnie zimny i szyderski; był w nim rodzaj przykrego gwizdania. — Ja nie gram tylko we dwóch! tym sposobem lepiej grę uważać mogę.

— Największą grę robi baron M*!...

W czasie tej rozmowy prócz na pozór spokojnego gospodarza,

ciekawe były spojrzenia drugich jakimi polykali całego grafa; D* stał nieporuszony z oczami w O** utkwionemi; a hrabia M* spokojnie na sofie usadowiony nie wiem nawet czy uważał co mówią, tak był zaprzątnięty lulką i trawieniem swobodnem.

Na ostatnie zagadnienie spojrział S* na barona przenikliwym wzrokiem, który spoczywał pod wielkimi śnieżnemi brwiami i barwą oka niepewną, jak węgiel w ciemnej pieczarze popiołem zasypyany, zaśmiał się, i głosem trąby albo organów olbrzymich wyrzekł z zaprzeczającym kiwnieniem głowy: — Niech panowie się bawia!...

— Ale dla czegoż? — grzecznie mówił dalej gospodarz, choć niecierpliwą nogą gniótł posadzkę z całej siły — może hrabia chce partnera na los wybrać?

— Los będzie w djabie! gracza zaś ja zwykł sam wybierać! — i obejrzawszy się po stojących z wyrazem wzywającej niegrzeczności; jakby woły lub konie na targu oglądał — dodał — grać będę z tym panem — a palcem wskazał na pana Józefa.

— Ze mną? — radość i smutek łysnęły przez wyniosłe czoło jego.

— Niech panowie siadają! — zagadł gospodarz; a zanim przygotowano karty, porwał za rękę pana Józefa i szepnął mu do ucha: — Uważaj! zlituj się! nie zapalaj się! oto masz pieniądze, a czasami przecie spoglądaj na mnie!... A my panowie wiseczka... a może wolicie djabełka.

— Djabełka! — wyrzekł M*, między ziewnieniem a kłębem dymu. Urządzono stolik w drugim pokoju, i zasiedli wszyscy prócz gospodarza, który cichym krokiem przechadzał się z pokoju do pokoju; a mimochodem spoglądał czasem przez ulicę ku oknu z otwartą żaluzją.

Milczenie panuje głębokie; rzadko usłyszeć można skape graczów słowa; jedynym głosem jest dzwonienie pieniędzy i szelest poruszanych banknotów. Najciszej przy stoliku dwóch graczy! Nie mógł prawdziwie graf S* lepszego dobrać gracza, aby się sam dobitniej mógł wydać; bo nie dosyć, że pan Józef ładny mężczyzna, graf zaś szkaradnie brzydki, ale szczegółowo rozebrawszy obydwoh, panuje między nimi rażąca sprzeczność: jakkolwiek D* wysoki, graf S* przewyższa go o całą głowę, a chudemi, kościstemi, niestosownemi do siebie członkami żartować się zdaje z harmonijnie zaołbraglonej postawy pana Józefa. Na długiej, żyrafiej szyi stoi głowa o tyle długa, o ile partnera głowa jest szeroka; a kątów i zmarszczków ma tak wiele, że łysiną ogromną świecącą, świeżym puchem skąpych włosów, gęstych brwi i rzęsistych wąsów obsypana, stercząca nosem olbrzymim, w bezzębną pieczarę szeroko rozwartych ust strojna, wydaje się prawdziwie jakby odłam skały raczej, niżeli twarz człowiecza: wyraz tylko oczu niekiedy strzelających i uśmiech złowrogi przykuty do ust dowodzą, że ta skała żyje, ale życiem zarażonem i zaraźliwem. Różne były gry przemiany, przy jednym jak i przy drugim stole; obojętniejsi z początku gracze w coraz większą wpadają zaciekiłość i zapomnienie o wszystkim, co nie jest grą... Szczęście gry, to karpisne, niewidome, tylko modłami i przekleństwami czczone bóstwo, ulatywało po nad oba stoły i przesypywało złoto kolejnie z dłoni do

dłoni; nagle zmieniała się postać rzeczy: przy jednym stole zaczął ciągle przegrywać hrabia M*, a przy drugim dwaj zapaśnicy walczą z ciągle niezwalczoną pulą, która za każdym rzutem kart rośnie bez miary. — Oczy O** uporczywie ścigają wszelkie ruchy złota i banknotów; chciałby wyrazem zacieklej chciwości wczarować je w ręce D*, którego twarz, przy grze nawet, cechy szlachetności nie postradała: zdaje się nim powodować czystsza część tej namiętności, gdy tymczasem na drugich twarzach widoczne jej brudne fusy. Z twarzy grafa S* nie nie wyczytasz; jak automat do gry wyrobiony rzuca, tasuje, zbiera karty, sypie złotem, bez głosu i wyrazu; chyba czasem łysnie wzrokiem, gwiźnie uśmiechem, tak przenikliwym, aż mimowolnie zadrdzy przeciwnik jego.

Po dniu gorącym sierpniowym chłodniejszy powiał wiatr południowy; przy zamkniętych firankach otworzono okna i wietrzyk świeży, porwawszy tu i owdzie w przelocie woń z ogrodów po oknach rozstawionych wleciał do pokoju: nadaremnie muskał twarze graczy, świeżością a wonią łagodził ciężki zapach cygarów i lulek; nie zrobił on na graczach wrażenia; nie zdołał nawet zwać z twarzy tego potu natężenia, którym błyszczą.

I milczenie trwa ciągle; jedynym głosem krótkie graczy wykrzykniki, dzwonięcie złota i szelest banknotów... Oczy graczy, jakby oczy owych węzów południa, urokiem żadnych spojrzeń chciałby wszystkie przyciągnąć złoto! Od czasu do czasu odezwie się jednostajnie piskliwy głos hrabiego M*, jakby głos czajki po nad cisze ulatujący stepową!...

I z łona cichości ozwał się głos muzyki powolny z początku, coraz potem głośniejszy, coraz donośniejszy: rozchodzi się w tysiącach cieniowaniach harmonijnych. Kapryśny wiaterek to głośniejsze, to cichsze przynosi tony; darmo dźwiękiem przemawia do uszu, wonią i świeżością ożywia i czaruje! darmo!... gracze mają tylko uszy dla dźwięku złota; wszystkimi zmysłami zdają się smakować złoto w puli skupione, do której jak do fortecy niedobytej strzelają krwią drgającą po żyłach, chciwością oczów, żądzą wyteżonych palców, namiętnością duszy!...

I coraz cichszy gwar dochodzi z ulicy; nikną tony muzyczne; nową świeżością wieczorną, nową wonią po przedmiejskich ogrodach skradzioną przesiąkły wietrzyk coraz silniej porusza czerwonymi firankami, coraz żywszym podmucha powiewem po twarzach graczy; swawolny igra dymem, który wznosząc się z lulek i cygarów dziwnymi falami sinych obłoczków przesuwają się po nad graczy głowę!... łyszcza potem natężone twarze, strzelają oczy, drgają palce: a cichość coraz większa, oddechu prawie brakuje graczom, bo pula na obu stolikach rośnie coraz większa w złoto coraz czarniejsze!...

Już zmrok zapada! nie dla graczy! widzialne dla nich karty i złoto!... to ich świat! to ich życie!... to ich przyszłość!... I w tej cichej, swobodnej, marzeń roje rodzącej zmroku chwili ozwał się głos niedaleki, głos dźwięczny niewieści; przez okno snąc wybiegł otwarte, kołysz się na skrzydłach wietrzyka i wlatuje do pokoju harmonijny, jakby arfy eolskiej brzmienie, jakby śpiew aniołów z góry; dźwiękiem

czystym, niewinnym i tęsknym razem; darmo chce oczyścić i pokój zapowietrzony brudną namiętnością, darmo ucieka nazad i znowu wraca!... coraz cichszy jakby śpiew słowika, jak strumyka mruczenie, szmer liścia!... to głośniejszy, jak dźwięk dzwonka samotnej kaplicy, echem gór wtórowany!... darmo!... nieporuszeni grają! w puli ucho, oko, dusza!... Głos niewieści śpiewa:

Wypłyn, wypłyn z za obłoku!...

Dla graczków płynie pieniądź żółtą falą po pieniącej się złotem puli!....

I tęskny głos śpiewającym zadzwonił wołaniem:

Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

Wniesione w tej chwili światła mocniejsze zrobiły na graczach wrażenie nad śpiew i myśli tęsknej pieśni!...

Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

Powtórzył głos tęsknej i smutnej... ból nocny, rozpacz nawet czuć w drżącym głosie. Zadrżał jeden pan Józef!... dostrzegł zapewne to drżenie graf S** i łysnął okiem szyderstwa!... gwiznął uśmiechem szyderstwa!... — To zawzięta śpiewaczka! — mruknął.

A pan Józef D* machinalnie tasując karty, odbiegł myślą daleko za zielony stolik i zamarzył... Ogród wonny, wieczór wiosenny w cichem wioski ustroniu, dziewicę czarnooką w gołębiej szacie i z gołębią duszą!... Dziewica śpiewa głosem natchnionym, w którym drży dźwięk pierwszego uczucia.

Ja, kochanka, wzywam ciebie!..

— Mnie? — zapytał młodzieniec, w którego łonie wrzały wszystkie rozbudzone namiętności!..

— Ciebie! — dźwięczniejszym od śpiewu głosem odrzekła dziewczyna... Młodzieniec w niebo spojrzął.. raj uczuł w duszy!...

— Banko! — zawołał głuchym głosem graf S**. Wionęło pana Józefa marzenie przed strasznej rzeczywistości bojaźnią.

Darmo głosowi towarzyszą dźwięczne fortepianu klawisze czarującymi tony!... pula się podwoiła; pan Józef drży żądzą i drży bojaźnią, nadzieją i rozpaczą szarpany na przemiany. W czasie śpiewu znikł O**; firanką zastłonięty słuchał śpiewu; spojrzął przez ulicę ku odsłoniętemu oknu i podobny rannemu wystąpił wyraz na twarz jego; usta obrzydliwem obwisły skrzywieniem, czy całować, czy smoktać jak przysmaczek żądne.

Uciekajmy z zatrutego pokoju; przez ulicę tylko, a odetchniemy choć na chwilę w cichem, zmroku, muzyką i poezją pięknej kobiety napełnionem ustroniu.

IV.

W pokoju ubranym skromnie raczej niżeli wytwornie, w którym miarkując po niektórych sprzętach, klóących się z sobą różnorodnem

pochożeniem, widać brak zbytku pochodzący z niemożności, siedzi przed fortepianem, powiedziećby można dziewica, tak czysto, tak harmonijnie zaokrąglone są bowiem rysy twarzy białej, ocienionej więcej jasnymi puklami włosów i w dół spuszczonej rzęsami, niżeli zmrokiem, który jednakże coraz wieczorniejszych nabiera barw, gdyby nie rys jakiś głębiej koło ust wryty, dający poznać w niej kobietę. Jest to rys pierwszym uczuciem dziewicy wyciśnięty, a pierwszym kobiety cierpieniem wryty na wieki; jest tam koniec marzeń i początek życia istotnego; nie smutek jeszcze, ale i nie uśmiech!... Jedną ręką przyciskała jeszcze klawisze, których ostatnie brzmienie drżało w pokoju, druga bezwładnie spoczywała na śnieżnej sukni; twarzą zaś i okiem poglądała ku znanemu już nam oknu. Oczy czarne błyszczące może łą tajemną wpatrzyła, jakby się dziwiła, że na tak czarujące wezwanie kochanki oczekiwany dotąd nie przybył!... Kto wie jakich to uczuć w głębi serca chowanych był wpływem ten śpiew tęskny, który słyszeliśmy.

Długa była to chwila!... gdy w tem z lekka otworzyły się drzwi. Usłyszało ten łoskot, jakkolwiek cichy, ucho równie nateżone; i wszedł pan O** wytwornie ufrakowany, odświeżony na nowo, a cały woniejący jak sklep galanteryjny, z uśmiechem, który pan O** całą siłą mocej woli swojej wyczarował, z dawno upłynionych lat młodszych. Skoczyła kobieta z siedzenia swego, ale nadto była jeszcze młoda, nadto niedoświadczona, aby uśmiech, którym przywitała niespodziewanego gościa, wydał się zupełnie szczery. Stare O** doświadczenie zrozumiało to przywitanie, a chociaż rzucone przelotne spojrzenie na zwierciadło, dzięki zmrokowi, zadowolniło go niepomału, ze skromnością dziwną w tym wieku, rzekł głosem, któremu starał się dodawać wyrazistości uczuciowej:

— Nie mnie spodziewałaś się pani!... — po chwili milczenia mówił dalej: — Jeżeli śpiewnem wołaniem wezwany nie przybył, czyliż szczery przyjaciel mniej pożądany?

— Tak źle nie myśl pan o mnie; umiem ja cenić przyjaźń, której winnam tyle w coraz częstszej samotności mojej... i wdzięczność...

— Przyjaźń nie jest wymagającą, a wdzięczność to lichwa: tej przyjaźni prawdziwa nie żąda — dodał z wzrastającym zapałem, któremu jakby ulegając mimowolnie, przycisnął z uszanowaniem witającą rękę... — Na samotność zdajesz się skarżyć pani? w stolicy, wśród zabaw, w szczęśliwym wieku pani!... trzeba chcieć koniecznie samotności!...

— Czy mniemasz pan, że nie można być samotnemu wśród najliczniejszego towarzystwa? zabawa nie w koło nas zdaje się, ale w nas samych... we własnem usposobieniu...

— Wielka prawda! temu to usposobieniu, które mnie wypędziło z pośrodku towarzystwa zebranego u mnie, winien jestem tę przyjemną chwilę, którą mi pani z sobą spędzić pozwoliła...

— Pan nie czekasz na niego! — z półroztargnieniem rzekła.

— Więc lepiej nie mieć na kogo czekać, nie mieć istoty, którejby było miło przebaczyć i długie daremne oczekiwanie...

— Pan ma towarzystwo u siebie jak zwykle... liczne zapewne?...
— zatrzymała się spojrzawszy z uwagą na pana O**, jakby czekała odpowiedzi — i jak zwykle porzuca je, by samotną odwiedzić przyjaciółkę. W pierwszych chwilach przybycia mego do stolicy, o-miona wieśniaczka, cieszyłam się jak dziecko nowem cackiem: byłam wesółą, śmiałam się, skakałam jak dawniej, lecz pomatu...

— Cacko znudziło!

— Bom nie dziecko już. Panie! ty mnie rozumiesz!... gdzie mąż mój... dnie, nocy przepędza? darmo pytam, darmo błagam; milczy! spogląda na mnie czasem jak dawniej, ale milczenie to jego spada kamieniem na serce moje, cały dzień go nie widziałam... I pan!... i przyjaciel nie ma odpowiedzi dla mnie?...

— Odpowiedzieć łatwiej niżeli pocieszyć...

— Oh nie! on mnie kocha jak dawniej, ja znam go... rozumiem jego spojżenia... dla czegoż mówisz pan o potrzebie pociechy!... on cierpi! ale co cierpi? co? jaż nie mam tego wiedzieć?...

— Miałażbyś pani być zazdrośną?

— Złe mnie pan znasz!... on mnie jedną kocha i żadną inną...

— Czy tylko miłość do kobiety jest namiętnością? Są inne, okropniejsze, które pomatu zdolają wszelkie dawne najgłębiej wko-rzenione zniszczyć uczucia...

— Panie zlituj się! mów wyraźniej!...

— Pani! M*! pozwól niech cię tak nazwie szczerzy i prawdziwy twój przyjaciel... smutny to przyjaciela obowiązek; ale świętą prawdę powiedzieć, oczy otworzyć póki czas... Tak jest piękna M*, przyjaciółko! jest namiętność straszna, która boję się, by jego nie pochłonięła... a osobiście nie zniszczyła twoje tak drogie dla mnie szczęście... twój spokój, który życiembyś okupił mojem... tą namiętnością jest gra!...

— Gra! tegom się zawsze obawiała... i dla tego rodzice moi tak przeciwni byli... on mi przysiągł, że nigdy grać nie będzie...

— A gra przecie!...

— O ja nieszczęśliwa! — i przycisnęła białe dłonie do oczu, z których gwałtem wstrzymywane dobywały się łzy.

— Gra jest grobem wszelkiego uczucia! gra zabija w duszy człowieka wszelką szlachetność!...

— On nie przestanie być szlachetnym!...

— Gracz każdy najprzód oszukany, w końcu sam...

— On nie przestanie mnie kochać!... wszak on wie, że jego miłość, to moje wszystko na ziemi... dom rodzinny, który dla niego porzuciłam, zamknięty dla mnie... i ja nikogo, nikogo nie potrzebuję, tylko jego... on mnie tak kochał... taki zapal nie tak łatwo...

— On jest namiętny!.. zapal jest mu właściwy... wezorał ciebie... dzisiaj karty!..

— Przestań O**! błagam ciebie... cóż robić? jak go ratować od tej namiętności?... radź, zlituj się!...

— Rady moje, a szczerze były Bóg widzi, odrzucił ze wzgardą; jeżeli mu ta miłość, którą ty go M* otaczasz nie stała się bóstwem opiekunczem, cóż zimne rady przyjaciela pomogą?... Ciebie pani ratować potrzeba! Ciebie ratować, to jest zadanie moje!...

— Mnie bez niego, to daremnie!...

— Słuchaj pani! za grą postępuje krok w krok lichwa... ja wiem, że maługi...

— A ja nieszczęśliwa przyjmuję od niego dary, któremi mnie obsypuje... powiadał, że odebrał dług jakiś dawny, i wczoraj jeszcze dał mi pierścień... i czulemi słowy...

— Dary miały zastępować uczucie!...

— Nie wierzę! nie chcę wierzyć! on mnie kocha!...

— Przysięgał a gra!...

— Prawda, okropna prawda!...

— Kredyt jego upaść musi, a jak lichwa przestanie mu dostarczać pieniędzy do gry?... co z tobą pani stanie się?... Ja przyszedłem dziś do pani i musiałem to powiedzieć, bo wiem, że się zgrał, wiem, że jutro wypłata długu lichwiarskiego...

— Przedam wszystko...

— To nie wystarczy...

— Błagać będę o poczekanie...

— Lichwiarza?... a gdyby i poczekał!... jak przegra wszystko co pani posiadasz?...

— To przestanie może wtenczas!... a ja chętnie porzucę miasto... służyć, pracować dla niego, to będzie rozkosz moja!...

— Gracz nie przestaje nigdy... w końcu przegra jeden ostatni najdroższy skarb swój... przegra ciebie pani!...

— O**! żartować w takim razie nie godzi się...

— Bodajby to był żart! ale znam cię pani! znam cię dobra M*!... tybyś dla niego poświęciła się, gdyby zażądał tego, a dawnym do ciebie przemówił głosem!... Czy mniemasz pani, że w tak zepsutem miejscu jak każda jest stolica, mąż pani nie znajdzie takich, którzy mu tę myśl poddadzą: będzie z nią walczył zapewne, ale w końcu gnany namiętnością nową ulegnie!... Czy mniemasz pani, że ten młokos w ciemnym paletocie, który cię ściga od niejakiego czasu po spacerach, teatrach, sklepach!...

— Ten! — z lekkim rumieńcem wyrzekła — znasz go!...

— To kuzyn mojego przyjaciela, sławny z bogactw, ale sławniejszy z rozpusty; zdybał mię raz u swego krewnego, ale odkąd łąząc tedy postrzegł mnie wchodzącego do tego domu, zdybał na przechadzce z panią... mierzy mnie za każdym zdybaniem wściekłym wzrokiem zazdrości!...

— Zazdrości! — odrzekła z wyrazem podziwienia, nie bardzo pochlebnego dla O**...

— Tacy ludzie nie wierzą w przyjaźni czyste uczucie... nie dla nich świętego... wiem, że się już poznał z mężem twoim pani!...

— Nie bój się pan o mnie! grób pierwej!...

— Grób tobie M*? nie!... a cóżby twój stary przyjaciel zrobił bez ciebie, która jesteś jego jedyną pociechą na świecie, jedynem zajęciem!... Prędzej on!... znam go, pełen nieposkromionych namiętności; w chwili rozpacz!...

— Boże mój! Boże cóż ja zawiniłam.. ja bez niego żyć nie

będę... O**! pamiętaj słowa moje... ja jego nie przeżyję... jeżeli to prawda, że ci droga jestem, ratuj go!...

— Nie rozpaczaj pani!... i pozwól niech skończę; przyszedłem, by cię ratować; znasz moją przyjaźń i bezinteresowność... oto są pieniądze; ale na Boga, na przyjaźń moją zaklinam cię pani, nie mów mu ani słowa o tem, bo inaczej nie mógłbym być ci przydatnym; fałszywą dumą wiedziony, mógłby pomoc moją odrzucić: jutro zapłać sama weksel, ale pieniędzy nie oddawaj w ręce; najważniejsza rzecz, by się pozbyć długu lichwiarskiego... potem... może... kto wie! ja mam myśl jedną... może go oddalimy na czas jaki, dając zatrudnienie... jednym słowem, miej pani zupełną ufność we mnie; ale jemu ani słowa!... o pieniądzach powiedz pani, żeś co sprzedała, lub że dostałaś od familji... wszakże przecie ta familia jakkolwiek zagniewana, odda kiedyś zatrzymany dotąd posag pani... ja nie jestem bogaty, ale co mam wszystko ci oddam... i mniejsza o pieniądze... życie moje nawet na twe usługi...

— Słów mi brakuje!... O**! przyjacielu!... nigdy ten dzień nie wyjdzie z pamięci mojej; ale powiedz jaki masz środek, by go wyratować...

Czy nie chciał wyraźniej wytłumaczyć, to co mu samemu jasnem jeszcze nie było, i co miało być dopiero wynikłością przyszłych zdarzeń, czy może głos jakiś i stuknienie, które w ciszy wieczornej usłyszeć się dało, a zdawało się z przeciwległego pochodzić domu, przynaglały go do pośpiechu, dosyć, że spieszniej niż może myślał, wyrzekłszy na prędce „później pani opowiem, bądź spokojna!” pożegnał piękną M**.

— Pamiętaj O** słowa moje! — zawołała za odchodzącym. — Ja go nie przeżyję!...

O** idąc po schodach, mruczał sam do siebie: — to mnie djabie kosztuje; ale ona moją być musi! taki szalony zapalenie!... utopi się albo zastrzeli!... a ona, młoda i kobieta przeżyje go oczywiście... i będzie moją! Czegoż mi teraz życzyć sobie wypada... czyby wygrał, czyby przegrał?... Złoto!... piękne, rossyjskiego tego hrabiego złoto... i kobieta jak łania, pełna życia i temperamentu!...

V.

Dylemma to zdawał się tymczasem los sam rozstrzygać w niebytności O**, albowiem pan Józef zgrywał się ciągle; jego to ręki niecierpliwie uderzenie usłyszał O** u M*. Graf S* siedział ciągle nieruchomy; szczęście nie zdawało się robić na nim wrażenia; przeciwnie na twarzy pana Józefa nieustannym ruchem zmieniały się wszystkie widoczne namietności jakie wrzały w nim w czasie gry: to bledniał, to czerwieniał. O** pożyczał nowych pieniędzy raz i drugi, lecz i te szczęście nieublagane przeniosło do grafa S*; przyszła nareszcie chwila stanowcza, w której straszna rzeczywistość stanęła przed oczyma pana Józefa, nie rzeczywistości wielkiej przegranej, o tej nie

myślał w tej chwili, ale niemożności wygrania; bo O** czy nie miał, czy nie chciał dać więcej i rzekł mu z cicha: — Nie należą już do wspólki; dosyć już przegrałem z własnego głupstwa.

— Nową pulę stawiamy! — szyderczo zagadł graf S*.

— Nie mam pieniędzy przy sobie! — drżącym głosem odparł pan Józef.

— Nic to nie szkodzi! gramy na kredkę!... może się odegrasz!... wygrać tak mało nie warto! lepiej przegrać!...

Była chwila, w której resztki szlachetności pana Józefa poruszyły się i wystąpiły na twarz jego rumieńcem, który go odmłodził o lat dziesięć... grać na kredkę: to uczciwość stawiać na los karty, to oszukaństwo, nie mając czem przegranej zapłacić!... Ale to mnóstwo złota i banknotów, które skupione widział przed grafem, wywierały na nim czarodziejskie wrażenie; jakby naumyślnie szydzący Rossjanin przerzucał dukatami; dźwięk złota stał się głosem syreny.

— Przegrasz! — szeptał mu złośliwie O**.

— Co panu do tego!...

— Czem zapłacisz?...

— Ma to być przymówka?...

— Rada mój przyjacielu!...

— Rada! rada! — zazgrzytał pan Józef — dla tego właśnie grać będę. — I wszczęła się gra nanowo. Odszedł O**, a z ukosa spojrzawszy ku oknom, wyraz podłej radości zaczerwienił mu twarz zjadliwym grzybem: zbliżył się do drugiej gry; tam oczywiście szczęście przykute gwałtem sprzyjało przeciwnikom hrabiego M*, który na cygarach, lulkach, winie ciągle podawanem i własnem czole, niemiłosiernie tłuczonem szeroką pięścią, odgrywał się jak mógł. Okiem znawcy rzucił O** po rozrzuconych koło graczyw pieniądzach, a hrabiego od niechcenia zapytał: — Hrabia znowu w nieszcześciu?...

— Głupi! głupi jestem! — zapiszczał — że gram; już tysiąc ryńskich przegrałem gotówką, a pięćset na kredkę.

— Wątpię, by tak wiele — odrzekł Z*, który ciągle składał i przekładał banknoty przed sobą...

— Porachuj pan to, coś schował do kieszeni!...

— Ja? ja nigdy nie chowam! — wyjąknął zaczepiony.

— Pan hrabia zawsze porządnie rachunek gry utrzymuje — łagodzącym głosem przerwał O**.

— Od dwóch godzin żadnego nie mam przejścia; wszystkie plije sprzyjają panu Z*... to przekłeta gra!...

— Ja też ją nigdy nie gram. — Postawszy chwilę przy tym stoliku, zwrócił się O** bez myśli ku drugiemu stolikowi; patrzy, natęży oczy! wierzyć oczom nie chce!... Jakby czarem jakim przenoszą się pieniądze wszystkie do pana D*. Staął na progu, spogląda bliżej, to nie żarty: pan Józef wpadł w szalone szczęście. Ukąsił się O** w usta i zbliżył do szczęśliwego gracza; graf spojrzął nań szyderczym wzrokiem. — Widzi pan! szczęście się zmieniło, nie trzeba było od spółki odstępować!...

— Czy jesteśmy dalej w spółce? — zaszeptał O**.

— Nie chciałeś pan; teraz gram za siebie.

— To pięknie! szczególnie pięknie.

— Racz pan nie przeszkadzać nam — zagadł graf — ja lubię ci-chość!... Skoczył O**; rad był odpowiedzieć, ale, by prawdę wyznać mimo tytułu wojskowego, podstarzały O** tchórzem był podszyty. Wrzawa w drugim pokoju. — Nie gram! nie gram! — piszczał hrabia — dwa tysiące ryńskich to nadto, i same plije, to obrzydliwie! — Powstali gracze; wniesiono poncz; wziął się do niego hrabia pałający zemstą; wzięli się i drudzy.

— I coż? zgrał się grubas?...

— Wygrywa teraz ciągle i nie chce więcej spółki!...

— Patrz! patrz! nową kupę banknotów pociągnął!...

— Trzeba przerwać grę koniecznie!

— Złoto jak szalone sypie się do niego!...

— Zapoć go!... nie wiele też mu brakuje... a potem!... potem! — popatrzyli po sobie wzrokiem prawdy... Okropna, obrzydliwa ta ich prawda!... Zaniesiono poncz do nich!...

— Ha! czaj! — zaśmiał się graf S*; — lubię czaj! pij pan na wi-wat szczęściu swemu! — Jakoż piją wszyscy, jedni z rozpaczy, drudzy ze smaku, panowie koledzy z radości, która się im wyszczerza z do-brze porumienionych twarzy. Niknie szklanka po szklance; trunek dodaje zapалу wzburzoną namiętnościom, jeden graf S* ciągle nie-ruchomy zdaje się blednieć jeszcze; gdy tymczasem pan Józef na-biera coraz ciemniejszych barw na twarzy: szczęście służy mu bez ustanku.

— On go zgra!... a nam!...

— To niegodziwie! co tu robić?...

— To łotr! nam to, nam się należało!...

— Wydarł nam z gardła!... Pan Józef za każdym szczęśliwym pociągnięciem traci rys po rysie, wszystkie rysy szlachetne, które go odróżniały od reszty towarzystwa; zbrzydł spodłał w tem szalo-nem szczęściu; łakomą ręką przysuwa złoto, składa piramidy duka-tów, warstwy banknotów składa; ale mu jeszcze nie dosyć, gwałtem chciałby przyciągnąć pieniądze, których przeciwnik dobywa bez końca!...

— Więc bez spółki! — szepta mu O**... — to jest postępek nie-godziwy. — Nic nie odpowiada; bo czucie honoru w nim zamilkło; czucie do złota zagłusza wszelkie inne.

— Pan nieszczęśliwy! — szepnął baron do grafa — lepiej prze-stać, lub gracza odmienić!...

— Bez uwag i rad! bardzo proszę: ja lubię przegrywać! — i za-śmiał się po swojemu.

— Ale bo hrabia daruje, że prawdę powiem: dużo się piło, a zatem nie wiele zwraca się uwagi na grę. — szepnął pan Jan Z*. — Powiem panu nasze ruskie przysłowie: — Pijanica prospit sia; durak nikagda!...

— Jednakże radziłbym hrabiemu uważać na grę przeciwnika — dodał swoje pan P*, — nienaturalnem jest jego szczęście.

Odwrócił się graf S* do brzęczących mu jak muchy nad uchem, zmierzył ich wzrokiem szyderczym i wzgardliwym, zaśmiał się po-

teżnie i rzekł. — Moi panowie !... z tym tylko może panem grać mogę zupełnie bezpiecznie... znam i rozumiem grę, a gram nie od dzisiaj... Niech panowie idę do swego gracza. — Wściekają się koledzy, ledwie nie pękają ze złości; szczęśliwego gracza chcieliby w łyżce wody utopić; odstąpili się wprawdzie, ale nieruchomi, o kilka kroków odalawszy się, patrzą na ten stolik.

Pan Józef D* słyszał może i rozumiał wszystko, ale co jemu świat cały; tu sunie się do niego ślepego szczęścia dłonią sypane złoto, a z nim świat tylekroć wymarzony, świat pełen użycia, dotąd zamknięty dla niego, a ciekawy i czarujący jak zasłoniiony posąg w Sais !... Za każdą kupą złota śmieje się doń nowe, uroczne marzenie. I rzecz dziwna graf S* jakkolwiek zimny i nieruchomy zdaje się rozumieć, co się dzieje w duszy jego przeciwnika.

— Przegrałem !... pierwsza aktorka z opery byłaby za tę jedną stawkę... pierwsza tancerka za tę pakę banknotów... nieprawdaż panie ?...

Pan Józef omamiony szczęściem, to zgrzany winem, rozpalony namietnościami siłą lepszej chęci dotąd usypianemi, bez myśli rzuca karty, które ciągle na jego padają stronę... chciwości okiem gra tylko, a duszą zamarzył.. podróż, która dawną mu się uśmiechała urokiem scen najrozmaitszych; ta kupa imperjałów: to Paryż z całym życiem wykwiłtnem, życiem opery, kulis, śpiewów włoskich, bajaderek lekkonogich i lekkostrojnych rozmów, książek; wszystkie powieści z swemi barwami najkapyśnieszemi tańczą mu w migotnym złota blasku, jak elfy przy księżycu świetle !... Ta plija ! to góry szwajcarskie z dzwonkiem trzód pasących się, śpiewem góralskim, i echem skał siwogłowych !... Banko ! — wygrał; to niebo włoskie ! słońce południa ! posagi i obrazy, arcydzieła natury !...

I gracze równie omamieni pomilkli; widok szczęścia jakiego nie widzieli dotąd zagłuszył nawet kipiącą w nich zazdrość; siebie samych zapomnieli oczarowani widokiem tego złota, za którem gonić ich rzemiosłem całym, a którego na ich zielonostolikowym świetle nigdy tyle nie widzieli; to dla nich widok cudowniejszy nad wszystkie widoki natury i sztuki; Nawet hrabia N*, który dotąd ponczem wciągał zapomnienie przegranej, a kłębami dymu wypuszczać się zdawał jej pamięć, stanął w rzędzie drugich; zdziwionym od trunku zgłupiałym wzrokiem patrzą na tych dwóch graczy, których zarysy w coraz fantastyczniejszych okazują się im przemianach. Jakoż w rzeczy samej coraz ciekawszy widok tych dwóch twarzy tyle różnych od siebie; za każdą wygraną pan Józef D* wydaje się czerwienić; pan graf bledszy ! Za prawdę zdaje się, że grubiej jeden od szczęścia, gdy drugi chudnie od nieszczęścia; chwytając złoto i papiery, pan Józef już granatowy na twarzy zdaje się ciągnąć w siebie to prawdziwe dzisiejsze życie — życie złota !... a graf S* niknie prawie jakby mu ubywało cząstek życia za każdym dobytciem nowych pieniędzy, których tyle już na stole, iż ledwie oczom swoim chcą wierzyć nieodstępni widzowie. Życie don Juana wymarzone i spodziewane drga na twarzy i w całej postawie pana Józefa; w grafa zaś postawie całej nieruchomość posagu komandora ! I całą tę scenę

ubiera dym lulek i cygarów w fantastyczne półświatła półcienie, a otacza milczenie prawie grobowe!...

I grają przecie dalej, bo gra jest pragnienie nienasycone; złoto trunek niegaszący pragnienia!... pan Józef ledwie wydoła pochować wygranę; a prócz tego rosną na stole stosy złota, góry banknotów, wznoszą się i piętra z szybkości cudu; już prawie miejsca na karty brakuje... — Sen li czy mara? — myślą widzowie, a z coraz większem uszanowaniem patrzą na ten skarb, jakby z tysiąca nocy wyczarowany.

I brakło miejsca na stole; runęła góra złota, dukat po dukacie, imperiale, leje się ze stoła rzeka złota, toczy się skłnięciami falami, pieni się banknotami, które złożone na wierzchu, towarzyszą szeleszczącym głosem dźwiękowi złota. Patrzą na to zjawisko odurzeni widocznie; oczami jak łyskawicami ścigają ten potok, który pomału, poważnie, czarująco, dźwięcznie postępuje ku nim!... Już pod ich nogami!... kroplą dukata dotknął się nogi barona; pianę banknota rzucił na stołę O**... Zadrżeli oba dotknięci ruchem iskry elektrycznej; krew zawrzała szalonym wirem i bije w oczy, które ledwie nie wyskoczą, w palce które mimowolnie krzywią się i wyteżają, gadzin ruchem. Jeszcze stoją nieruchomi, choć ich ciągnie ku ziemi — głowa zapewne pijana!... Lecz coraz grubszy bałwanami pędzi złoty potok od stolika; coraz czystsze, coraz większe uderzają w ich stopy krople!...

To już nadto! to nad siły człowiecze, nad siły światowego poloru, który niknie przed wezbraną naturą!... pierwszy baron uległ jako najmłodszy, a zatym najżywszy; i padł na posadzkę jak długi!... Na ten widok jeden po drugim rzucili się wszyscy na ziemię; ostatni po długiej walce z lepszym usposobieniem, mniejszymi złota potrzebami i z zawielkim do tej ekspedycji brzuchem rzucił się hrabia!... I nuż nurzać ręce w złoty potok!... kto prędzej! kto więcej!... na tem sztuka!... Potok się leje, pieni, ale i ręce nie próżnują; czerpią nadludzkim natężeniem, ile tylko w dłonie pomieścić zdołają!... A gdy potoku braknąć zaczęło, zdziczełi chucią złota, pijani, zapamiętali zaczęli zaglądać jeden drugiemu w przepełnione garście; jednemu drugiego garść wydaje się większa — nuż wydzierać!...

Zaczęła się scena okropna i śmieszna razem... Na posadce wskazanej bójka salonowców o złoto; jakby tych z grubiaństwa wyśmianych chłopów w karczmie! Na nic wychowanie, stosunki przyjacielskie, uwaga na świat, nawet na przyzwoitość!... Złota! złota więcej!... oddaj bo wydrę!... I wydzierają sobie! taka walka jest okropna!... A śmieszna stronę tej bójki któż nie pojmie, gdy sobie wyobrazi, włosy, kawałki sukien, rękawiczki woniujące, łańcuszki, pierścienie, padające trupem na pobojuwisku, a nad tem wszystkim peruka O** arcydzieło weneckiego włosomistrza, rozczochrana okropnie jak głowa Nemezys, godne godło tej wojny.

Rzucamy zasłonę na tę scenę! Nastąpiło milczenie głuche! okropne! nieprzerwane ani głosem człowieka, ani dźwiękiem złota,

ani szelestem kart i papierów bankowych!... milczenie długie! kilkagodzinnie!...

IV.

Pierwszy brzask dnia przebijał się dalekiem lunem przez pąsowe firanki, walczył z blaskiem dogorywających świec, które długimi knotami stercząc więcej dawały cienia niżeli światła. Lysnęło wzdłuż posadzki; to O** się podniósł z ziemi pozbawiony peruki; głowa bezwłosa, pościerane smugami po twarzy, rozbiegłe malowidła, wypadłe zębów rzędy, zmarszczki występujące z za malowidła, a nade wszystko wyraz przepicia i uczuć gwałtownych, z którymi zasnął, okazały go raz pierwszy może w całej prawdzie starości zgrzybiałej podłego usposobienia.

A gdy pamięć pomału powróciła, ciekawem i chciwem rzucił okiem na stolik zielony — pusty! cyframi kredą pisanemi zamazany! Niema grafa! niema złota! znikło jak senne widziadło! pan Józef D* z głową zwieszoną rozwalony leży na fotelu przy stoliku; cichym złodzieja lub kochanka krokiem zbliżył się O**, wyciągnął szyję, patrzy: znikła czerwoność z twarzy pana Józefa; błądy błądostą niema i zimną; drżąc bierze go za rękę, zimna! porusza go z lekka, nieruchomy jak posąg, skamieniały, umarły!... Zadrżał stary grzesznik!.. ku oknu spojrział!... ale wnet ogłędawszy się na leżących kolegów, wpuścił ukradkiem długie swe palce w kieszenie nieboszczyka; snać szuka wygranej od grafa; jeszcze mu spółka w głowie!... Kieszenie jedna po drugiej okazały się puste; potrafił ciałem; padło na ziemię!... własne przeskakał kieszenie z ruchem niespokojnym i niecierpliwym — puste!... Na ziemi, na miejscu wczorajszej walki — pusto!... karty pomięte leżą tu i owdzie na posadzce, drugie podarte wcisnięte w pokurczone śpiących pięście; u drugich kawałki cygarów, fidibusy!... a złoto! złoto!... pusto i próżno!...

— Klasnął w dłonie z rozpacz! — Gdzie pieniądze tego niedźwiedzia? gdzie jego ogromna wygrana?... — Umarł!... klasnął w dłonie z radości!... — M* moja!...

— Zbudziło się zacne towarzystwo. — Co to było?... Sen, długi sen!...

— Mnie się śniło, że wygrał sto tysięcy!...

— A mnie skarb! ogromny skarb!... ale szatan nad nim, podobniuteńki do tego S*!..,

— Pfe! pfe! upoiłeś nas O**! to nieładnie!... zgrałem się! i głowa mnie boli!...

— To wino z nowego sklepu korzennego może ipsymowane!...

— Ależ ten grubas spi! kontent, że wygrał, leży jak nieżywy!...

— Bo nieżywy!...

— Co mówisz O**?...

— Patrzcie sami! umarł!...

— Umarł?... tam do diabła!... — Chwilą krótką pomieszaną uczcili pamięć zmarłego!...

A pieniądze wygrane?... I wszyscy spojrzeli nagle na kolegę O*, a baron z gorzkim uśmiechem rzekł: — Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje!...

— Słowo honoru!... musiał się zgrać potem!... ja nie mam!...

— Pfe to głupstwo!... cóż to! apopleksja!... to fatalnie!... jeszcze jakaś komissja będzie! świadectwo!... bodajże cię O** z twoim obiadem, winem, tym głupim djabełkiem i apopleksją!... Taki zdrów! proszę kogo!...

— Krótka szyja zwyczajnie!... szyderczo zagadł Ż* do hrabiego.

— Moja dłuższa! — zapiszczał, i wyciągał biedak krótką szyję jak mógł!...

W kilka chwil niesiono trupa przez ulicę. W oknie otwartem siedziała M*; wzrok jej bezsennością i oczekiwaniem zmęczony dostrzegł zarazem ciało męża i młodzieńca w paletocie, na którego młodej, szczerzej otwartej, a dorodnej twarzy czyste współczucie w czystej skniło się łzie!... Krzyk przeraźliwy doszedł do uszów O**, siedzącego przy tualecie... — Moja M*, moja! — mruknął, — ale też mnie kosztuje! ten S* i jego pieniądze nie mogą mi wyjść z głowy... Ubierajże mnie prędzej!... nie mam czasu!...

Do dnia graf S* wyjechał do Londynu czy do Paryża... i przepadł bez wieści!... M*ę O* przed pogrzebem męża nie odwiedził, czekał bowiem na wezwanie tej biednej opuszczonej, w nieznanom miejscu kobiety; czekał sądząc po sobie, aż mu sama w ręce wpadnie, jak mucha w dawno rozstawione sidła obrzydliwego pajaka; a po pogrzebie M* wyjechała! gdzie? nie wiadomo... i przepadła bez wieści!...

W kilka dni siedział O** samotny i smutny, chociaż peruka odnowiona i strój odświeżony, spoglądał przez ulicę ku oknu przeciwnielego domu — pusto w nim? nie koniecznie!... Same stare kobiece twarze jak na złość wyszczerzają się ztamtąd... Zamarzył pan O**; po raz pierwszy od dawna pomyślał szczerze nad sobą... Długi wszędzie; poszły miednica, kubek i cybuchy i tabakiery!... trudno ostać na posadzie dotychczasowej, a wygrana coraz cięższa, bo świat codzieli mądrzejszy... Graf S* czmychnął jak majak jaki; z grubym D* poszły pieniądze do diabła... a M*, ta piękna M*, co to miała umrzeć po mężu?... a kto wie tam może i umarła? lecz gdzie i jak?... Pojechałby O** na zwiady, ale ta przekłeta podagra, niepomna na to, że serce nie starzeje, usadowiła mu się w nogę, a do tego codzienny budżet wymaga jego bytności!... Biedny O** pomyślał sobie: inaczej to szło za młodu!...

We dwa lata!... O** zawsze młody po mierzchu, płynie jak może z wodą i przeciw wodzie, niezmordowany i niezbadany; siedzi znowu ze wzrokiem wlepionym w owe okno, którem tyle obojętnych tyle brzydkich odtąd wyglądało twarzy, gdy nagle Abramko zamiast gorąco oczekiwanych pieniędzy wniósł list...

— Jakieś państwo! grafowie!... pojechali do Karlsbadu i zostawili list do jasnie pana. — O** otworzył... kilka banknotów wyle-

ciało... czyta... — Dług winny z ściśle wyrachowanym procentem oddsyłam z wdzięcznością jaka się należy za jego dla mnie chęci, o których objaśnił mnie należycie kuzyn pańskiego przyjaciela, rozwiąży młodzieniec w ciemnym paletocie — mąż M*!... — Długo myślał!... — Dobrze i to! — wyrzekł w końcu, starszy i zimniejszy o dwa lata O** chowając banknoty...

Więc nie umarła po pierwszym mężu?... dla czego?... jak?... którą?... Nie wiem, bo niezbadane bywają czasem tajemnice w życiu ludzkim...

Ludzie dobrzy na jednym wózku do sądu jeżdżą.

(Pierw. wyd. 1856.)

I.

W krakowskiem województwie na pograniczu Świętokrzyskiej doliny, w okolicy dosyć leśnej, była nie wielka dolinka lasami w koło uwieńczona i tak niemi odgraniczona od reszty świata, że mieszkając w niej, można się było uważać za samotnika, oddalonego Bóg wie jaką przestrzenią od ludzi i od praw światowych, chociaż zaledwo przebywszy tę firankę lasową wjeżdżało się w najludniejszą niemal część województwa, pokrytą mnogimi wioskami. Ustronne to miejsce prócz innych powabów ładnego położenia, miało tę jeszcze zaletę, że rzeczywiście nie stojąc na żadnej drodze, używało większego spokoju a nawet i bezpieczeństwa, co nie mała było rzeczą na początku wieku 18go, którego pierwsze lata odznaczyły się smutnemi wojnami elekcyjnymi, wojną zaciętą między zwolennikami Augusta III. i Stanisława Leszczyńskiego, za któremi szły wzajemne mordy, pożogi i rabunki, roznoszone po całej ziemi naszej to przez saskie, to przez szwedzkie żoldactwo.

Przez cały przeciąg tych wojen nie było prawie przypadku, aby do tej, o której mówimy dolinki dotarły jakie zbrojne zastępy. Podczas gdy gwar wojenny huczał niedaleko po za lasem, w szczęśliwej dolinie było cicho i spokojnie. Zdawało się prawdziwie, że nad tem ustroniem czuwa szczególna łaska Opatrzności. I tak byéby mogło zapewne, gdyby człowiek, to najwznioślejsze czasem, a często najniższe ze stworzeń boskich, nie miał w sobie samym zarodku owych namiętności, które za nim idą, gdziekolwiek zamieszka, i które w najcichszym zakątku zdolne są wywołać walki i niepokoje z całym szeregiem najgorszych następstw. Tak się też i w tej szczęśliwej stało dolinie, do której choć zewnętrzne nie doszły echa walki, i choć przez mnogie lata święty patryarchalny rzechby różna panował spokój, zawrzała nagle

w niej kłótnia z małego powstała źródelka, za którą długi i przykry poszedł niepokój mieszkańców tej doliny.

Działo się to zaś roku pańskiego 1713. Lecz zanim przystąpimy do samej rzeczy, musimy bliżej opisać miejscowość, która w tym małym dramacie wielką odegrała rolę.

Jak mówiliśmy, była to nie wielka dolinka, w około lasami otoczona. Środkiem doliny płynął nie wielki strumyczek, który za lasem połączony z innemi wodami, coraz szumniej i gwarniej, jak młody człowiek w wiosnie życia, pędził ku Wiśle. Na dolinie był on tem skromniejszy, im nieznaczniejsze, poniekąd mniej szlachetne i nieco tajemnicze było pochodzenie jego; z żadnego bowiem znanego nie wypływał źródlika, ani z pod skały, ani piaskowej nory jakiej, ani jak się to nieraz w leśnej dzieje okolicy z parowu jakiego leśnego, gęstwina krzaków zarosłego; strumyk nasz ni z tego ni z owego, pojawił się nagle wychodząc z moczarowego gruntu, a raczej z błotnistej bagniska, jakie przez kilka staj ciągnęło się przez dolinę, pokryte zdradliwą zielonością usuwało się pod nogą tego, któryby się odważył puścić na tę niebezpieczną wędrówkę. — Zródłem rzeczonego tedy strumyka było trzęsawisko odwieczne i niezgruntowane, o którym nawet, jak to już każda ma okolica, rozmaite mniej lub więcej prawdopodobne, cudowne nawet krążyły wieści, zabobonem ludu wiejskiego utrzymywane i z pokolenia w pokolenie przechodzące. Bo nasz lud wiejski nie zbyt szczęśliwy w rzeczywistości, szuka pociechy w onych gadkach pełnych przygód nadprzyrodzonych, cudownością tchnących, by po znojach żmudnego życia swego odpocząć w krainie marzeń. Opatrzność zdaje się naumyślnie ku pociesze rodu ludzkiego rozrzuciła ten żywioł poetyczny, który do każdej choćby najprozaiczniejszej przylgnął ziemi, pod każdym buja słońcem, w każdą najniższą i najuboższą zajrzy strzechę, złotym złudzeń strumieniem.

Przed laty, przed wiekami, tak wieść niesła ludowa, kiedy to jeszcze lepsi na świecie bywali ludzie (bo człowiek zawsze i wszędzie chwalić będzie przeszłość, ganić teraźniejszość, a nadzieje swe w przyszłość puszczając), kiedy jeszcze aniołowie i święci chodzili po świecie i jak ongi do Piasta naszego przychodzili do ludzi pocztowych w gościnę, na tej dolinie było jak w raju, a tam gdzie teraz puste i smutne ciągną się moczary, tam było jak w ogrodzie pełnym kwiatów. Bo tam mieszkała w domku małym jakaś kobieta bogobojna, a piękna jak anioł. Nikt nie wiedział z kąd przyszła i po co tam osiadła; ale odkąd się pojawiła, jakby z sobą szczęście i wiosnę przyniosła, tak było ślicznie, tak cicho i spokojnie w dolinie, jakby w drugim raju. Nie było w całej dolinie ubożego, bo ziemia stokłósów pracowitemu rolnikowi za jedno oddawała ziarno, i nie było chorego, takie było czyste i zdrowe powietrze w dolinie; lasy nie dopuszczały żadnej słabości, a z nieba samego padały najpłodniejsze promienie w dzień i najrzeźwiesze rosy w nocy. I tak było długo; — jak było długo, nikt nie pamięta, bo w szczęśliwej dolinie czas tak błogo przechodził, że nikomu na myśl nie przyszło dzielić go na godziny i na dnie.

Po dwóch stronach doliny stały dwa zamki, które należały do dwóch braci rodzonych, dzielnych rycerzy. Nie było długo nikogo w zamku, bo bracia poszli obaj na daleką wojnę, naprzeciw dziczy pogańskiej, co najechała i łupiła pobratymcze ziemie. Jednego poranku o wschodzie słońca, gdy nocna jeszcze rosa jakby drogie kamienie lyskała po trawach, kłosach i kwiatach, tam z lasu załęgła, zahuczała jakby gromy jakie, i jaśniej od rosy załśniły grotty porpców z furczącymi chorągiewkami, jaśniej stalowe zbroice i jaśniej bogate na koniach rzędy. — To bracia rodzeni wracali z wojennej wyprawy. — Tam gdzie stała chata pięknej pustelnicy, tam była granica obu rycerskich włości. Tam stanęli bracia, i tam się długo ściskali i całowali żegnając siebie nawzajem, bo się bracia serdecznie kochali, i odkąd przed rokiem lub dwoma na wojenną wyszli wyprawę, nigdy się jeszcze nie rozłączyli — dzieląc razem swoje niebezpieczeństwa, dzieląc się namiotem w obozie, ranami w bitwie.

Gdy tak stali i całując się żegnali, wyszła z chaty od wiosennego poranku piękniejsza dziewczina; a jej oczy jaśniej świeciły od rosy na kwiatach, od grotów, zbroicy i drogich rzędów kamieniami wschodu wysadzanych. I patrząc na braterską zgodę i przywiązanie, uśmiechnęła się takim uśmiechem miłym, jakby już w niebo patrzała, otwarte, i oczy jej wznosiły się do góry spojrzeniem i modlitwą, tam prosto aż do Boga. I bracia ją ujrzeli, i przestali się żegnać, i przestali się całować. Jakby skamienieli zostali na miejscu, a oka oderwać nie mogli od cudnej dziewczicy. I po raz pierwszy spojrzeli po sobie gniewnie, bo jeden drugiemu zawadzał; a w tej chwili wszyscy przytomni widzieli to giermkowie, jak czarny kruka trzy razy przeleciał nad ich głowami, szerokimi skrzydłami słońce zasłonił, i trzy razy zakrakał złowrogo; gdy znikł, żal się braciom zrobiło gniewnych wzroków, i raz jeszcze jak dawniej padli sobie w objęcia i uściskali się serdecznie. Był to ich uścisk ostatni.

Od tego dnia bowiem codzień przychodzili do pustelnicy unikając siebie nawzajem, a gdy się zdybali, spojrzenia były coraz więcej gniewne, coraz więcej groźne. A w cudną dziewczynę patrzyli się oba jak w tęczę, i oba wdychali do niej, i oba nadwyzajną pokochali miłością. Im więcej wdychali, im więcej się kochali, tem dziewczyna była smutniejsza, aż smutniej było w całej okolicy; bo nawet promienie słoneczne jakby przez mgłę padały na ziemię, a tak było duszno i skwarno, że wszystko schło i chyliło się do ziemi, a żadnej nie było kropelki rosy, ani na kwiatku, ani na trawce, ani na kłosie. I obaj bracia wyznali dziewczynie swoją miłość, namawiając jeden i drugi, by z nim do jego poszła zamku.

— Nie mogę być twoją rycerzu! — odpowiedziała dziewczyna jednemu i drugiemu.

Bracia się nienawidzili coraz więcej, bo jeden drugiemu nie do wierzał, i jeden o drugim miał posądzenie, że go ubiegł u ładnej dziewczyny.

— Ja nie mogę być niczyją, bo ja nie należę do tej ziemi.

A gdy to mówiła, patrzała tak smutnie, tak żałośnie, a tak błagalnie, że serce z kamienia poruszyłoby i zmiękcyć zdołała. Ale

bracia zaślepieni namiętnością nie rozumieli ani jej słów, ani spojrzeń błagalnych, i coraz większą pałali ku niej namiętnością, a złością ku sobie.

Aż jednej nocy znikła dziewczyna, znikła wraz z chatą i ogródkiem, znikła, by już nigdy nie powrócić. I tej samej nocy jak lunie deszcz jesienny, to jakby potokiem lał i lał bez końca; i wszystko co było zeschło i zwiedło, wszystko i na roli i na polu, i w ogrodzie i na drzewach, wszystko pogniło. Bracia gdy dziewczyny nie zobaczyli, zaczęli rozpaczać, a przeklinać tak strasznie, że aż włosy stawały na głowach, aż wszyscy ludzie ze zgrozą uciekali od nich. A gdy się zdybali, to najprzód łysnęły oczy ich, a potem błysnęły oręże.

— Tyś ją porwał! — krzyczał jeden do drugiego, pieniać się ze złości.

I jakby dwa węże skrzyżowały się bratobójcze oręże. Dwa dni i dwie nocy bili się bracia, bo Bóg u którego stoi dziewczyna cudowna błagając za nimi, dał im czas, aby się opamiętali i zaprzestali okropnej walki. Ale bracia się nie opamiętali i nie zaprzestali okropnej walki; aż trzeciego dnia padli obydwa na wskrós przeszyci bratobójczymi orężami. Padli trupem obaj; brat brata zamordował. I przez dwa dni i dwie noce ciemno było, ale tak ciemno, jakby słońca nie było na niebie, a z góry deszcz zimnemi padał strugami. Ludzie jęczeli po chatach, a modlili się kornie. Aż przecie trzeciego dnia wymodlili pierwszy promień słońca. Gdy się ludzie obejrzel, nie było już zamków ani śladu. Bóg nie chciał, by się został ślad jaki po braciach, co się zamordowali nawzajem. A na miejscu, gdzie ta bratobójcza odbyła się walka, czy w skutek deszczu, który tam zewsząd ściekał, aby zmyć krew braci morderców, czy w skutek dopustu Bożego, powstało to moczarowate trzęsawisko, które widać do dzisiaj, jako świadectwo Bożego gniewu.

— I nieraz w nocy, gdy księżyc na nowiu — rozповідаł stary dziad, lubiony w całej okolicy, bo wiele widział i wiele opowiadał — widzieć można jak po nad błotem, tam na samym środku gdzie najgłębiej, bo tej głębokości żadna ludzka siła zmierzyć nie potrafi, widzieć można jak dwa cienie walczą i pasują się, a słysząc krzyki i jęki, jakby krakanie kruków i szczęk orężów zgrzytliwy. I tak się już odtąd stało, że żaden człowiek nie mógł przestąpić tego błota bezpiecznie, chyba że nigdy mu ani w sercu ani w głowie żadna zła myśl nie powstała. I były przypadki, oj! były za mojego życia nawet, że tam poprzepadali ludzie. Znałem takich jednego i drugiego, a byli to ludzie chciwi i zazdrośni, co to lubili dla zysku bliźniego ukrzywdzić; ot tak poszli tam, wyraźnie Boską ręką prowadzeni, i jeden i drugi znikł nagle; zapadł się prosto stojący, jakby świeczka w łój maczana.

— I nie było ratunku wyciągnąć ich? — pytali starca słuchacze skupieni razem ze strachu, tuląc się do gasnącego w chacie ogniska.

— Ratunku dla ludzi! — odpowiadał starzec pogardliwie — których dotknął palec Boży.

I wszyscy zamilkli na ten argument, przeżegnawszy się ukradkiem, by wszelkie zło i wszelką pokusę odżegnać od siebie.

Taka była gadka o tem trzęsawisku. Nie wdając się w prawdę onej gadki, ani doszukując się zkądby powstać mogła, to pewna, że było na samym środku miejsce niezmiernie niebezpieczne, na które najlepsi myśliwi niechętnie się puszczali. A szkoda była, bo tam na środku, aż w powietrzu grała nieustanna nuta smętna i przeciągła; takie tam mnóstwo w koło krążyło kulonów, kulików, łysek, kaczek, pernykozów i innego dzikiego ptactwa. Z tego to trzęsawiska wypływał nagle strumyczek ledwie dostrzeżony, którego zaskórne zda się żywiły wody i płynął sobie po zielonej murawie, zakryty wysokimi trawami, i tu i owdzie odbijał karłowate olchowe krzaki, co się ciekawie ku niemu naginały, jakby się chciały dowiedzieć o tajemnicach trzęsawiska i jego pochodzeniu. Na tem jeszcze nie kończyły się ciekawe strumyka dzieje początkowe. Ni ztąd ni z owąd wpadał on do niewielkiego stawku sztucznie zrobionego, któremu najwięcej dodawał żywiołu i zmęczony kołami młyńskimi, zbrukany stawnym namulem, uciekał co prędzej pomiędzy wierzby, unosząc nieco rybek ze stawu i czyszcząc się po drodze z błota namułu na piaszczystem łożysku.

II.

Dotąd opisaliśmy samą przyrodę, nie mówiąc nic o ludziach. A przecież i na tej dolinie mieszkali ludzie, a nawet umierali, jak to świadczą dwa krzyże kościelne, co tam po obu brzegach strumyka z pomiędzy zielonych lip łąskają, i one krzyże, co tam dalej na małym wzgórku stercząc wiejski tworzą cmentarzyk. Od krzyżów nad kościółkami do krzyżów na cmentarzu niedaleka przestrzeń, a przecież całe się na niej mieści życie ludzkie od pierwszego krzyża, pod którego cieniem niemowlę pierwsze chrzestne bierze namaszczenie, aż do onego krzyża, co nieżywemu posadza na grobie. Dwa krzyże stoją na dwóch krańcach życia ludzkiego; a ileż innych krzyżów rozspanych po drodze zostawić musi, pod którymi spoczęło wszystko, co kiedy kochał w życiu: i rodziców i przyjaciół i tyle innych drogich sobie istot. Jego wszystkie uczucia, wszystkie marzenia bywają pamiątką krzyża naznaczone.

Po obu strumyka i stawka bokach były dwie wiejskie osady, tak blisko siebie stojące, że czy przez strumyk czy przez stawek mieszkańce obu wiosek gadać do siebie mogli, którego też przywileju używała jedna przynajmniej część wiejskich mieszkańców, i to tak zwana piękniejsza. Czy czerpiąc wodę w dalszym strumyku, czy tu bliżej tłukąc bieliznę pralnikami, lub maczając len błotem okładany, by nie uciekł, baby i dziewczęta obu wiosek rozmawiały aż miło, opowiadając sobie jakby nowiny o sto mil przysze, zdarzenia swoich osad tak bliskich. Na stawku, jakkolwiek małym, była nie tylko grobelka, ale nawet i dwa młynki, które oba nie były warte

jednego dobrego młyna, ale się jakoś utrzymywały przez rodzaj cudu hydraulicznego, który nawet opisywać nie mamy odwagi. Musiały być dwa młynki, bo były przecie dwie wsie, a w tych wsiach były dwa dwory, dwóch mające dziedziców. Stawek i strumyk należał do obydwóch, a więc dla świętej zgody musiały być i dwa młynki.

Dwa te dwory były tak blisko siebie położone, że je tylko strumyk dzielił, a ogrody obydwóch stykały się ostatnimi wierzbami, które po obu stronach strumyka przechylając się ku sobie łączyły się gałęzmi swemi. Bo w przyrodzie widoczna jest sympatja, która ciągnie ku sobie magnetycznym węzłem jakimś wszystkie twory boże. Gdzie kwiaty, gdzie krzewy, gdzie drzewa posadysz, nagną się mimowolnie i kwiaty i liście i gałęzie ku sobie nawzajem. Nie tak się dzieje między ludźmi, jak tego przykład damy zaraz. Do opisu miejscowości, tyle tylko dodać jeszcze mamy, że między dwoma ogrodami nieopasanemi od strony strumyka żadnym płotem, była szeroka dość kładka na strumyku, za pomocą której jednym prawie skokiem, można było z jednego do drugiego przejść dworu. Co do dworów samych, te były prawie zupełnie podobne do siebie, jakby je jedna poczęła myśl, i jedna wyrobiła ręka. Były to dwa prawdziwie szlacheckie dworki, których typ utrzymuje się dotąd na naszej ziemi.

Drewniane czysto wylepione i pobielone, pod wysokim gontowym dachem, nad którym wznosiły się dwa murowane kominy. Przed wniściem dwa słupy drewniane z przyczółkowym daszkiem, w którym okienko wycięte było w kształt serca. Na ganku ławeczki proste dla gospodarza, by łatwiej mógł się przypatrzeć gospodarstwu; dla gospodyni by z pończoszką w rękę mogła dziewczki mieć na oku i pogwarzyć z wiejskimi babami, co przychodziły do dworu po radę lekarską, lub z obowiązkowym datkiem motków, drobiu, jaj i t. d. Przed dworkiem dziedzińczyk otoczony częstokołem, który dzięki czasowi i przemyślnym świnkom dawno już stał się rzadkokołem; na dziedzińcu otoczonym budynkami gospodarskimi mimo ład u gospodarzkiego, zawsze sterczyć muszą trzy ślady wiejskiego po dworach naszych nieporządku: koło stajni kupa gnoju; w jednym kącie drewutnia z mnóstwem rozrzuconych trasek; w drugim kącie mała kałużka, na którą trochę sztuka, a trochę natura się składała, a w niej pluchające się kaczk i gęsi, otaczają filozoficznie zadumaną lochę. Ot i wszystko; jak w jednym tak w drugim dworku. Dodajmy do tego, że i w ogrodach nie wielka była różnorodność; kilka kwater z kwiatkami prostemi, w których jaskier, słonecznik dla oka a rezeda dla nosa wielką odgrywała rolę; kilkanaście grządek doskonale obitych z całym bogactwem jarzyn rozmaitych; wszystko to jakby w ramy ujęte, otoczone małym sadkiem, w którym wisznie i jabłonie rej wodziły; a na samym końcu uliczki porzeczkami i agrestem zasianej, dwie lipy odwieczne, tworzące rodzaj altanki, schronienie lubie w czasie skwaru słonecznego. To jedyna a prawdziwa ogródka ozdoba; to miła przeszłości pamiątka, bo pod temi lipami kilka po sobie przeszło już pokoleń: tam dziadek stary odpoczywał z różańcem w rękę, tam matka pieściła, tam się małym skakało chłopięciem, tam po raz pierwszy do domu wprowadzoną uściśkało się wierną

życia towarzyszkę, tam się pierwsze kołysało dziecię z dziękczynnem ku niebu spojrzeniem; a cóż nareszcie zrobiłaby domowa apteczka bez kwiatu lipowego, którym imość sama szczerze po wsi szafuje, lecząc nim cudownie na najrozmaitsze słabości? Lecz dosyć tych opisów; przystąpmy raz do osób, które mają wystąpić w tym obrazku.

Idźmy naprzód nad strumyk, tam, gdzie wspomniana już przez nas kładka łączy dwa sąsiednie ogródki dworskie. Dwie wierzby, o pochylonych ku sobie i ku wodzie gałęziach, stały na dwu końcach drewnianej kładeczki. Na jednej stronie oparty o wierzbę stał młody chłopak w letnim żupaniku i o wielkim słomianym kapeluszu na głowie. Ładny to był chłopaczek, a mógł mieć lat ledwie czternaście, i młodszym się jeszcze wydawał, tyle było niewinnego wyrazu na twarzy, której policzki okrągłe gdyby krew z mlekiem wyglądały, białe i rumiano; ciemne włosy dobywały się z pod kapelusza, a czarne oczy świecące jak dwa ciemne karbunkuly, jeszcze więcej błyszczałyby, gdyby nie długie rzęsy co ich ogień émiły nieco, powlekając je urokiem młodzieńczej niewinności. Stał oparty o wierzbę, i tak pomiędzy dwie gałęzie wciśnięty, jakby się chciał ukryć; główkę tylko wydobywał z pomiędzy liści, a oczami zdawał się naraz na dwie śledzić strony: bo i ku stronie tej spoglądał, skąd sam przyszedł, i częściej jeszcze ku sąsiedniemu ogródkowi.

I zadrżały nagle liście wierzby gwałtownym ruchem chłopca potrącone. Wyskoczył naprzód, a oczy wpatrzył na przeciwny brzeg. Ależ bo coś się poruszało w lipowej altance na przeciwnym brzegu, coś przemknęło po porzeczkowej uliczce. Chłopiec się zarumienił, i mimowolnie ręce przycisnął do piersi, jakby chciał powstrzymać bicie niecierpliwe serca. Na ścieżeczce w dół idącej, zabielała biała sukienka, i koło wierzby stanęła dziewczynka dwunastoletnia może. Białe to było i rumiane, a takie śliczne, gdyby aniołek z jakiego obrazku kościelnego. Bo to i lica okrągłutkie, a białe jak śnieg, i oczka błękitne jak samo niebo, i włoski jasne w puklach od wiatru rozwianych jakby obłoczek na niebie, jak ta promienna obwódka na świętych obrazkach. Uśmiechnęły się dzieci do siebie, uśmiechem pełnym serdecznego przywiązania; ale czemuż w tym uśmiechu jest coś smutnego? czemu stoją tak opodal od siebie? i czemu tak się ostrożnie oglądają w koło siebie? Czy w tak młodym jeszcze wieku życie smutnem już do nich ozwało się doświadczeniem?

— Maryjko serce! jak się masz? — zawołał chłopiec przytłumionym nieco głosem. — Ja tak długo czekam na ciebie.

Dziewczynka najprzód palce do ust przyłożyła, jakby chłopcu jeszcze cichsze gadanie nakazywała, i raz jeszcze oglądnawszy się, ciszej od niego zaszeptała.

— Mój Józiu! ledwem się wykradła, i aż drzę cała, aby mama nie zobaczyła. Biedna ja! biedni my! — dodała i niebieskie oczy pokryły się świecącami jak rosa na fijołku łzami.

Tego już chłopiec dłużej wytrzymać nie mógł; na nic nie zważając, przebiegł kładkę, i ze łzami w oczach, z uśmiechem na twarzy, porwał dziewczynkę za szyję i zaczął ścisnąć tak z całego serca, że

aż na dziewczynki twarz uśmiech wystąpił i pocieszona uściskała chłopca najserdeczniej. Sliczny to był obrazek tych dwojga dzieci tak szczerze kochających się.

— Nie płacz Maryjko! nie płacz proszę ciebie, bo ja na twoje łzy patrzeć nie mogę.

— Jakże nie mam płakać — odrzekła dziewczynka — kiedy nam nie pozwalają bawić się jak dawniej. Czy pamiętasz Józiu?...

Westchnął Józio, bo mu się serduszko ścisnęło na wspomnienie łubych chwil.

— Jak my sobie biegali razem po tej i po tamtej stronie.

— A kwiatki zbierali u was, bo u was piękniejsze.

— Ale za to wasze porzeczki i wisnie.

I oboje westchnęli na nowo. Biedne dzieci!

— Może przecie pogodzą się! — ozwał się chłopiec.

— Ach żeby nie mama moja, i nie twój ojciec, to możeby się pogodzili... ale mama...

— Co mama? — krzyknął nagle głos przeraźliwy tuż nad nimi. Biedne dzieci przerażone przytuliły się do siebie, gdy je nagle silna rozerwała ręka.

Do Eumenidy raczej niżeli do kobiety podobna, stała przed nimi wysoka, chuda, ale zylasta jejmość w rannym pudermantlu niezbyt czystym i w przekreconym na bakier czepku, z pod którego rozczochrane w nieładzie dobywały się siwiejące już włosy. Twarz jej szerokimi kośćmi stercząca, oczy kocie, nos przeciągły, i ściśnięte u ust wargi, przy żółtej pargaminowej prawie cerze, świadczyły o usposobieniu nadzwyczaj kolerycznem. Przykładały się do tego także pewne plamy czerwonawe na twarzy i cynobrowa barwa nosa, świadcząca o niejakiem upodobaniu w truneczku.

— Proszę mamy! — zapłakała dziewczynka.

— Cicho małpo! — wrzasła matka.

— Proszę pani! cóż my złego robimy! — przemówił chłopak, i na twarzy jego wystąpił rumieniec świadczący, że mimo łagodnej i dziecięcej twarzy, w duszy młodzieńca odzywa się już męzka krewkość.

— A pójdiesz ty mi smarkaczu! — zakrzyczała matka Maryjki, i porwała chłopca za kołnierz tak silnie, że aż go podniosła. I kto wie, co by się stało, bo chłopiec na prawdę rozgniewany, jął się bronić i ścisnął spore już pięści; ale Maryjka widząc to, i obawiając się, aby go matka, której znała siłę sławną w okolicy, nie wtrąciła do wody, zakrzyczała błagającym głosem:

— Józiu! jak mnie kochasz!

Głośny policzek matki był jej nagrodą za dobre serce; ale Józio opamiętał się na wezwanie dziewczynki i wyrwawszy się z rąk trzymającej go złoŃnicy, stanął na kładce; zanim wszakże przeszedł na drugą stronę, nie mógł wytrzymać, by choć kilką nie zemścić się słowami.

— Nie zawsze będę ja dzieckiem! — zawołał cały zapyrzony, mimo łez które miał w oczach. — Maryjka nie zawsze będzie dzieckiem! A wtenczas! wtenczas!

— A ty taki! a ty owaki! ty mnie będziesz jeszcze grozić, ty nie dobrego, jak twój ojciec i cała wasza familja! — krzyczała jejmość sztukując słowa wymowniejszą nad nie gestykulacją.

— Nie będziecie wy tu się schadzać więcej z sobą! — dodała po chwili. I bez długiego namysłu, jak porwała kładkę silną dłonią, tak ją w mgnieniu oka podniosła, i silnem pchnięciem rąk i nóg rzuciła w strumień. — Tak! — zawołała tryumfującym głosem. — A przed bramą będą pilnować brytany. Idź teraz do domu, ty nie-pocziwa dziewko! nieposłuszna!

Jeszcze raz spojrzały dzieci po sobie: łzami napełnione spotkały się ich oczy, i rozeszło się każde w swoją stronę.

Aby zrozumieć tę scenę, musimy cofnąć się nieco w tył i opisać więcej szczegółowo mieszkańców obu dworów. Obydwaj byli szlachciami oczywiście i wielkie mieli wyobrażenie o swoim szlacheństwie. Wioski te były ich dziedziczne, a że żadnej nie było prawie różnicy ani co do ilości, ani co do wartości gruntów, więc i majątkami jak i szlacheństwem byli sobie równi. Ojciec Józia nazywał się Maciej Leski; Maryjki zaś ojciec był Samuel Słupecki.

Pan Samuel był najpocziwszym w świecie człowiekiem, istny baranek, który nikomu w życiu wody nie zamącił, wielki lubownik gospodarstwa a mianowicie pszczelnictwa i rybołostwa; byle siedzieć w pasiece i drzemać przy pszczoł brzęku, albo z włokiem wyjechać na staw — to już więcej nie życzył sobie szczęścia. I stosownie do usposobienia był to człowiek nie wielkiego wzrostu, z potężnym brzuszkiem, szeroką twarzą o błękitnych jak u córki oczach, z wyrazem pocziwym, łagodnym, ale nieco zahukanym. Bo też czy nie było komu go zahukać? Pani Kunegunda którąśmy już poznali, była w stanie nie takiego jak on zahukać pocziwca. Nie miała i ona złego serca, a nawet po swojemu namiętnie przywiązaną była do męża i jedynaczki. A nawet gdyby kto mężowi złe słówko powiedział, gotowa by się z nim wybić, oczy wydrapać; ale za to wara mężowi sprzeciwiać się jejmości!

Zupełnie przeciwny stosunek był na drugiej stronie strumyka. Pani Salomea Leska, była to sobie malutka, cichutka i potulna kobiecina, bez własnej woli i bez zdania prawie. Mąż był wszystkim dla niej; w niego tak się wierzyć przyzwyczaiła, iż gdyby jej w biały dzień powiedział, że to noc, uwierzyłaby niezawodnie i nawet gotowaby przysiąc. Chociaż nadzwyczaj pobożna, ale Bóg podobno szedł u niej po mężu dopiero. I nic dziwnego: Bóg był i daleko i wysoko, i od Boga nie dotąd na nią przykrego nie spadło, a mąż był blisko, i nieraz bardzo blisko, a był wielki impetyk i gorączka, a krzyczał aż włosy na głowie stawały aż po całej wsi grzmiało, i piersi też miał do tego jakby organy jakie.

— Moja Salusia to niuńka! ciemiega, dobre kobiecisko, ale do niczego! — mawiał o niej i miał słusność, bo ją taką sam wyrobił.

Pan Maciej tedy jak powiadamy był impetyk niepospolity. Wysoki, barczysty choć chudy, głowę miał ogromną z kędzierzawymi włosami, rysy wyraziste, oczy ciemne błyskające jak grom w czasie

burzy, a wasy aż strach takie sumiaste, jakby dwie miotły. Był też silny w rękę, skory do szabli, chociaż przytem wielce czytany, bo jeszcze za młodu był przy palestrze i miał nawet w swoim czasie wielką sławę. Jednych szablą odstraszył lub pokiereszował, a drugich zakrzyczał. Ztąd też wzrósł w ogromną butę i miał się w prawnictwie za najuczeńszego w Koronie i Litwie. Najmilszym też było jego dyskursem, rozpowiadać o rozmaitych pieniackich zdarzeniach, których miał w głowie niewyczerpane źródło. Sam też miał do pieniactwa żyłkę, która długi jakiś czas drzemała w nim.

III.

Pan Słupecki długi czas służywał dworzaninem po wielkich panach, i ztamtąd to dostał swoją połowicę, która była panną respektową w jednym dworze. Wioskę swoją znacznie później dostał w spuściznie po stryju.

I pan Leski przez długi czas nie mieszkał w swej wiosce dziedzicznej, bo jak mówiliśmy trochę wojował, a trochę mecenasował, i w ogóle burzliwą młodość przewalał po świecie. Ożeniwszy się, dopiero osiadł na wiejskiej zagrodzie. Jakoż obadwaj sąsiedzi od lat dopiero kilkunastu zamieszkali wioski swoje. Z samego zaraz początku związała się między sąsiadami przyjaźń tem mocniejsza, że właśnie ta wielka charakterów sprzeczność, tak między panami jak i paniami, pomagała do zachowania dobrej między nimi komitywy. Pan Samuel ustępował panu Maciejowi, a pani Salomea była zawsze zdania swej sąsiadki pani Kunegundy. Przytem gospodarstwo na obu wioskach było mocno zaniedbane i ciągle zatem obydwoh koło niego zajęcia zabierały im cały czas prawie, tak, że się ledwie w święta i niedziele widywali, radzi, że sobie w spokojnej o przeszłości pogadance odpocząć mogą po całotygodniowej pracy. — Narodziny dzieci w obu dworach, ustaliły jeszcze ich stosunki przyjaźne.

— Słuchaj panie bracie! — mówił p. Maciej do sąsiada, gdy mu się urodził Józio — musisz waść mieć dziewczkę dla mego chłopca.

Pan Samuel kiwał potulnie głową.

I stało się po woli pana Macieja, bo w lat kilka urodziła się Maryjka Słupeckim. Jakże pan Maciej nie miał kochać takiego sąsiada, który w każdej rzeczy tak mu był powolny.

— Mówilem panie bracie! — rzekł jeden zacierając ręce.

— A widzicie mociu! — rzekł drugi uśmiechając się.

Oba dwory były sobie nawzajem kumami, co jeszcze wzmocniło węzły serdeczne obu sąsiadów, bo u nas za czasów dawnych, kumostwo nie było próżnem słowem jak dzisiaj. Kumostwo było jednym ze związków prawdziwie pokrewnych i wkładało pewne obowiązki, które święcie wypełniano. A przecież przy chrzcie Maryjki pierwsza zeszła chmurka na pogodnem dotąd niebie sąsiedzkiej zgody. Pani Słupecka życzyła sobie syna, a więc i panu Słupeckiemu zdało się,

że życzy sobie tego samego. Chociaż rada jest każda matka nowonarodzonemu niemowlęciu, nie mogła przecie wytrzymać, by nie wystąpić ze słowem skargi i to w sposób dosyć pocieszny.

— Już to wasza wina! — rzekła do pana Leskiego.

— Moja znowu panie bracie! — odpowiedział Leski w pół śmiejąco, w pół burzliwie.

— A jużciż? w nieszczęśliwą zagadałeś godzinę panie sąsiedzie i wygadałeś.

— A ty zawsze Samciu ciemiega! — dodawała do męża z komicznym acz prawdziwym gniewem. — Zawsze za panią matką pacierz.

Na tem się skończyło tym razem i chmurka przemknęła. Dzieci tymczasem rosły zdrowo i szczęśliwie. Mamki i niańki schodziły się razem nad strumykiem przy kładce i małe pyzate dzieci słówka wyrzec niezdolne, uśmiechały się małe do siebie wyciągając rączką. A gdy już biegać zaczęły, biegały zawsze ku sobie, biegały z sobą; i po całych dniach będąc razem, pokochały się serdecznie. Była to miłość niewinna, dziecinna jeszcze, ale niemniej silna i stanowiąca o całej ich przyszłości. Rodzice pozwalali się im bawić z sobą, mimo że po tej pierwszej chmurce coraz więcej zaczynała się zachmurzać sąsiedzka zgoda.

Gospodarstwo już było urządzone, czasu sąsiadom zbywało daleko więcej, przyszły i częstsze starcia. Sprzeczność czyli raczej niebezpieczna w swej popędliwości zgodność charakterów pana Leskiego i pani Słupeckiej, była powodem niejednej utarczki forpocztowej, która zwykle kończyła się na żwawem przymówieniu się i niedługich dąsach.

— A ty milczysz uszy spuściwszy po sobie — wrzeszczała pani Kunegunda — prawdziwe ciele na niedziele.

— Ależ moja duszko!

— I nie ujmiesz się za żoną!

— Ale moje serce, pan Maciej jest dobry człowiek i...

— Głupi jesteś Samciu! On lubi imponować, i tobie niech imponuje, bo może Leski wart Słupeckiego; ale odemnie wara, bo ja przecie z Godziembów, a ona jakaś Łapińska z domu.

— To prawda, ale...

— Ot byś milczał Samciu, bo zawsze wyrwiesz się z głupstwem. Żebyś ty jako mężczyzna raz mu rogi przytarł, i nie zawsze kiwał głową! Ale gdzie ty jesteś mężczyzną! Gdyby nie ja, nie mielibyśmy swego młynka i on by nam jeszcze kołatał sam jeden pod nosem.

— A przecież pan Maciej przystał!...

— Owa! radabym była widzieć, co by się stało, gdyby nie przystał. Z tobą to co innego. Żeby nie ja, to on by ci gotów z swoją granicą na dziedziniec zajechać i ty byś mu się jeszcze uklonił.

— Ale gdzie tam! — odrzekł małżonek szczęśliwy z wyrazem pewnej prawdziwej nawet godności. — Ja się nie lubię kłaniać, ale krzywdy mociu, nie dam sobie zrobić.

Mimo całej potulności domowej, pan Samuel był zawsze szlachcicem, a jako taki nie dałby się na prawdę w kaszy zjeść.

— No! no! zobaczymy! już ja widzę, że tu przyjdzie do awantur. Ale pamiętaj sobie Samciu, jak ty ustąpisz! Dalipan, że ci tego już nie darowałabym.

— Ta Słupecka! — mówił znowu pan Maciej biegając u siebie po izbie! — ta Słupecka panie bracie to istny Herod!

Pani Salomea nie nie rzekła, ale westchnęła.

— Czego waśka wzdychasz! krzyknął mąż groźnie.

— Nad Herodem! — odpowiedziała co prędzej zastraszona małżonka.

— Gadajże z nią!... tfu!..., a to kara Boska! Mnie się zdaje, że gdyby jej kto węgiel żarzący pod nos postawił, ona by myślała, że to róża.

— Jak myślisz duszeńciu!... — odpowiedziała najrzewniej uśmiechnięta.

— Ale niech się baba strzeże! niech mnie nie zaczepia, niech mi się nie miesza! niech nosa swego nie wściubia, jak to było na przykład z tym młynkiem. Ustąpiłem dla świętej zgody, chociaż w początkowej erekcyi i w granicznym opisie ani słówka niema o tem. Zezwoliłem i głupstwo zrobiłem. Powiedz jej to waśka! rozumiesz panie bracie.

— Ja? — wyjęknęła przestraszona kobieta!...

— Bo jak ja jej to powiem, to jej krew zastygnie!...

W taki to lub podobny sposób, gromadziły się jak na wiosnę czasem, lekkie mgły w gościjsze obłoki, aż się nareszcie stawały burzą grozącymi chmurami. A dzieci tymczasem rosły w lata, w serca i wdzięki, i niezważając zwyczajnie jak dzieci na te tam gdzieś groźne chmury, bawiły się z sobą szczęśliwe i swobodne, i codzień kochały się mocniej i serdeczniej. W młodych duszach wyrobił się żywioł poetyczny, wyższy nad ich otoczenie prozaiczne, nad stan, okoliczności i wiek nawet, w którym żyli. Kochali się miłością bezgraniczną: serca ich jak te wierzbowe nad strumykiem gałązki spleły się tak silnie wzajemnem przywiązaniem, że rozerwać je z życiem chyba można było. Ale ziarnko do ziarnka, będzie miarka! mówi przysłowie. Tak się też stało z temi drobnymi na pozór utarczkami sąsiedzkimi; póty się zbierało kwasu między nimi, aż przy pierwszej okoliczności przyszło do wybuchu.

Było to jakoś w jesieni, a kilka miesięcy przed czasem, w którym zaczęliśmy nasz obrazek. Pan Maciej był wielki myśliwy; nie-spokojny jego umysł potrzebował takiego zajęcia, by burzę wewnętrzną wystrzelać, wyhukać na psa, wyrzucić śrótem na niewinną zwierzynę. Najlepiej lubił polować z wyżem na błotne ptactwo, bo na błotach najwięcej mógł się napukać i nakrzyczeć na swego psa bekasa. Błotko zaś, o którym na wstępie mówiliśmy, było doskonałe. Za każdym krokiem prawie stawał wyżeł i wymykały się z po za kępki zielonej to lekki bekas smutny i przeciągły puściwszy głos, to tłusty oblany dubelt ciężkim i milczącym lotem.

Podczas gdy się pan Leski jednego poobiedzia wybierał na błoto, pan Słupecki robił inne przyrzadzenia. Sam własną ręką naprawiał spory włoczek, z którym zamysłał pójść na ryby.

— Tylko proszę cię Samciu, idź mi tam na moczary.

— Czy tylko jest tam ryba...

— Powiadam tobie, że mówił mi stary Wojtek, że tam na samym środku jest jezioro a w niem pełno linów ogromnych, karasi, piskorzów i płotek.

— Ale bo widzisz mociu, moje życie!...

— Nie sprzeczasz się ze mną. Może się boisz?... A widzisz przecie, że Leski chodzi po błotach za ptaszkami.

— Już to te błota nie są bardzo bezpieczne; przecie słyszałaś, co mówią o ich głębokości.

— Głupie gadania! a ty tchórz mój Samciu?... i to mężczyzna? Przecież przy tobie mówił Wojtek, że nad jeziorem jest pagórek, po którym bezpiecznie można chodzić i ztamtąd włok zapuścić.

— Ale widzisz moja duszko, jeszcze nigdy na tem jeziorze Leski ryb nie łapał, a jezioro to jest na samym środku naszej granicy.

— Więc się Leskiego boisz? a to mi zuch! ja baba pójdę sama z włokiem.

— Moja Kunusiu! ty wiesz, że się nikogo nie boję, ale nie lubię się kłócić o lada głupstwo. Wiem, że jestem w mojem prawie, ale wolałbym...

— Ustąpić! tchórzyc! aby ten Leski twój drwił z nas i gębę sobie nami obcierał.

— Gdzie mam prawo, tam nie ustępuję — odrzekł wreszcie pan Samuel, i poszedł z włokiem na ryby, a dla własnej zabawy i przepełnienia czasu wziął wędkę z sobą.

I tak tedy pan Leski wyszedł na błoto, i zaraz z początku w najgorszy wpadł humor. Bo mu naprzód wyżeł spłoszył bekasa, a co gorzej, że mu strzelba nie wypaliła, dwa razy spudłował, a raz znowu do dubelta zgłównał. To też przeklinał od wszystkich djabłów i psa i ptaki i błoto, i siebie i świat cały, a biednego psa nabił ci co nie miara. Nagle stanął jak wryty, niezważając nawet na psa jak struna wyciągniętego, który w tej właśnie chwili stanął najdoskonalej do jakiegoś ptaszka. — Co to u diabła! mruknął do siebie; czy mnie oczy nie mylą? W tej bowiem chwili postrzegł pocziwego p. Samuela, który zarzucawszy włok do wody, siedział sobie najspokojniej z wędką w ręku.

— Dalibóg że to on!... mruczał coraz głośniejsze pan Maciej — He! he! — wrzasnął na całe gardło. — Panie bracie, a cóż tu waś robisz panie Samuelu?

— Ryby łapię mociu!... — odpowiedział pan Samuel kiwając głową i czapką na znak przywitania.

— A zkądże to waści przyszło panie bracie?

— Albo co?...

— A gdzie prawo do tego?

— Jakto prawo?... nie rozumiem was panie Macieju!...

— Łapać ryby na mojem terytorium!... to zanaćto mój mospań!

— Ja łapię na mojej stronie.

— Co? jak? - krzyczał pan Maciej coraz zawzięciej. Jeszcze śmiesz waść panie bracie...

— Mityguj się panie Macieju w wyrazach swoich, bo ja mo-
ciu nie myślę zność.

— A to rozbój oczywisty...

— Napaść czy co?

— Całe jezioro jest moje...

— Środkiem granicy idzie, więc po połowie do nas należy...

— Kłamstwo panie bracie!...

— Mój mocium! panie Leski; tego już za nadto! ja nigdy nie
kłamie.

— To waść panie bracie teraz skłamał. Jezioro całe do mnie
należy; a najlepszy dowód, że waść siedzisz na kopcu granicznym.

— Taki sam kopiec był na drugiej stronie jeziora, jak to po-
kazują papiery i dokumenta.

— To nieprawda!... ja mam opis najlepszy przy intercyzie nie-
boszczki babki mojej.

— Waść mocium sam nieprawdę gadasz!...

— Do stu tysięcy! przekonamy się; są na to sądy i grody.
A waść łapiąc ryby w mojem jeziorze, robisz gwałt, a na gwałt jest
turma i grzywny.

— Przestań mocium panie pleść jak w gorączce. Czego nadto
tego i za wiele. Ja się sądów i grodu nie boję.

— Zobaczymy!

— Zobaczymy! — powiedzieli sobie gniewnie, i tak się rozeszli
panowie sąsiedzi.

Pieniacka żyłka miłością własną rozdmuchana ozwała się w panu
Macieju. Zaczął śledzić nad starymi szpargałami, aby wyciągnąć z nich
dowody swego twierdzenia i wytoczyć proces naprzeciw sąsiadowi,
który mu gwałcił granice. Możeby jeszcze przyszło do zgody, za którą
choć nie słowami, ale łzami i błagalnem spojrzeniem przemawiała pani
Leska; biednej matce szło o jedynaka ukochanego, którego szczęście
mogło na zawsze zaginać w tej sąsiedzkiej zwadzie — ale pani Ku-
negunda z każdym rokiem gniewliwsza i zawziętsza, rada ze sposo-
bności, nie przestała dmuchać na tę pierwszą iskrę, póki z niej nie
wybuchł płomień wzajemnej nienawiści. Pan Samuel jakkolwiek ła-
godnego usposobienia, podlegany wszakże codziennie przez żonę, zaczął
na prawdę gniewać się na sąsiada, mniemając, że słusność jest za
nim. Za kim właściwie słusność była, tego zaprawdę obaj dojść nie
mogli; wszystkie bowiem w tej mierze dokumenta obu rodzin jasno
nie nie okazywały. Jednym niby najważniejszym dowodem, była owa
intercyza ślubna babki pana Leskiego. Dobra te bowiem należały do
pradziada matczynego pana Macieja, który miał dwie córki i jedną
wydając za dziada tegoż, rozdzielił majątku w intercyzie naznaczył.
w której barbarzyńską łaciną opisane były obie wsie z granicami,
cum boris sylvis, latifundis, atque omnibus graniciebus. Było tam
wspomnienie o kopcach granicznych, lecz jak to bywało w naszych
dokumentach tak niejasno, że mianowicie, co do owych błot i trzę-

sawisk, które zawsze za bezużyteczne uważane były, trudno było zrozumieć, ażali o jednym czy o dwóch wspomina kopcach: i jak na toż nieprzebragany żab czasu plamami zbutwiałości pościerał pismo z pergaminu w tem właśnie miejscu. Tem też pewniejsi byli obydwaj, że mają słuszość za sobą, tłumacząc każdy z osobna korzyść dla siebie to, co przeczytać nie można było.

Pan Maciej w pierwszym impecie wysłał kilkunastu najteńszych z swojej wioski chłopów, i kazał im pod dowództwem swojego podstarościego usypać na onym pagórku ogromny kopiec, na dowód, że tam była granica.

Pani Samuelowa ledwie nie pękła ze złości, gdy się o tem dowiedziała. Zaraz więc nazajutrz uformowała w swojej wsi wyprawę, którą sama komenderowała, i kazała świeży kopiec do jeziora wrzucić, a nawet pagórek dawny tak skopać, że miasto niego zrobiła się dziura, którą wnet woda zalała.

Pan Maciej sapiąc i sypiąc przekleństw bez liku, podał zaraz skargę o gwałt. Rozpoczął się tedy proces ze wszystkimi swemi powolnościami i pieniackimi konsekwencjami.

Pani Samuelowa niezadowolona pierwszą wygraną, na św. p. kopcu dokonaną, wysłała razu jednego kilkudziesięciu ludzi z ogromnym na ten cel przyrządzonym włokiem i kazała go na całym jezioru zaciągnąć dla połowu biednych rybek, między którymi nawiasem powiedziałwszy najwięcej było żab i ropuch.

Pan Maciej ledwie ze dworka swego zobaczył idącą ku błotu wyprawę, dorozumiawszy się o co rzecz idzie, dosiadł konia i przebiegłszy wieś, spędził ze swej strony kilkadziesiąt chłopków uzbrojonych w kije i cepy, i pogonił za nimi na błota, aby najeźdźników odpedzić.

Przewidziała to pani Kunegunda i po drugiej stronie manewrował już drugi oddział chłopów na odsiecz tamtych uzbrojony także w rozmaite tępe ale twarde bronie. Odsieczą komenderował wprawdzie sam pan Samuel, ale połowica jego bojąc się miękkiego charakteru pana komendanta, sama mu się za adjutanta ofiarowała, cwałując wzdłuż błot na starym kucyku z ogromnym harapnikiem w rękę.

Gdy obie strony stanęły naprzeciw siebie i to dosyć z daleka, bo zbliżeniu się zawadzało moczarowate błoto, zaczęła się walka od prawdziwych strzałów samopałowych, które wychodziły z ust pana Macieja i pani Kunegundy. Głosy oba były potężne, bo piersi nie żalowali oboje, a strzały następowały rześiste, bo niewyczerpana była u obojga amunicja najrozmaitszych przekleństw i wyrażen tak dobitnych, że z nich jaki zbieracz skarbów językowych, jeżeliby który istniał w owych czasach, mógł być zebrać jeden z najbogatszych w tym rodzaju słowników. Gdy się już zapas amunicji zaczął wyczerpywać, a i samopały zmęczone usługi swej odmawiały, zapal zaś przeciwników coraz więcej wzmagał, dali wodzowie znak do walki.

Zaczęła się tedy bitwa wiekopomna, o której długo w całej gaudano okolicy na wieczornych zejściach. Niestety wyższego trzebaby

talentu, aby sławną opisać bitwę, którą co do rezultatu możnaby nazwać, jeżeli nie bitwą pół-bogów, to pewnie sławną bitwą pół-ludzi. Gdy bowiem przeciwne szeregi rżęsiście podsycone zapalem hojnie rozdawanej gorzałki, co za wysokimi talentami wojennymi obu naczelników najmocniej przemawiało; gdy tedy oba wojska rzuciły się na oślep na siebie, w mgnieniu oka i jedni drudzy powpadali w błoto po pas, i tylko jedną połowę swoich figur mając do dyspozycji, musieli poprzestać na rozpaczliwym machaniu rękoma i krzyczeniu w niebogłosey na gwałt. Pan Maciej i pani Kunegunda zostawwszy na suchem miejscu swe rumaki, rzucili się także po pierwszym hasle z harapnikami ku sobie, i wkrótce też harapnikami tylko i zachrypniętym głosem wojować mogli po nad błotem. A wszystkie czajki, kulony, kuliki i inne ptactwo wodne, wystraszone ze swych siedlisk napadem tak niezwykłym, wznosiło się po nad głowami z błota sterzącami, mieszając do ogólnego wrzasku swe głosy smutne i posępne.

Walka musiała ustać, bo nawet i zapal walczących ostygł niepomału w tej błotnistej kąpieli. Obie strony musiały się energicznie brać do ratunku własnego; i po niemalym dopiero czasie, po wielu trudach udało się im wycofać z tak fałszywego stanowiska. Wyszli z niego wreszcie, prawdziwi pół-ludzie, a pół-błotne jakieś potwory, o których się dotąd żadnemu nie śniło naturaliscie. I oba wojska wraz z komendantami cofnęły się do domu z nosami pospuszczanemi. Ta bitwa była na każdy przypadek stanowczą, bo już po niej druga nie nastąpiła, a kłótnia sąsiedzka zesza z pola czynnego na pole jurydyczne. Ustało de hajda, a zaczęło się de jure.

Tak więc prócz epizodów mniej ważnych, stały rzeczy przez resztę jesieni i przez zimę, aż do onej chwili, kiedy pani Kunegunda odpędziwszy biednego Józia, przerwała komunikację, rzucając kładkę w przepaść strumyka.

Nie potrzebujemy się rozpisywać, ile się nacierpiały biedne dzieci przez jesień i zimę. Przymuszone nie widywać się codziennie jak dawniej, przypadkowi tylko i przemysłowi własnemu były winne, jeżeli się kiedy ukradkiem na krótkich chwil kilka widzieć mogły, uściskać serdecznie i serdecznie napłakać. W zimie pochorowali się nawet oboje, i to o jednej prawie godzinie, jakby ta nie sympatyczna, co ich dusze łączyła, również i na ciała działalność swą rozpościerała. Matki obie zrozpaczone nie odstępowały chorych dzieci swoich, oblewając je łzami szczeremi. Pani Salomea nie potrzebowała tego nie-szczęścia, aby z duszy przeklinać tę nieszczęsną zwadę sąsiedzką; lecz cóż mogła uczynić? Pan Maciej chociaż chłopca swego pasjami kochał, zaciął się w swej zawziętości, jak to mówią, jak żyd w tańcu, i wolałby go może na marach widzieć, aniżeli ustąpić sąsiadowi tego bezużytecznego kawałka błota, o które szło właściwie. Taka to już ludzka natura, osobiwie u nas za czasów dawnych, gdzie szatan procesowy, jeden z najstraszniejszych szatanów siedział w skórze szlacheckiej.

Pani Samuelowa przy chorej siedząc Maryjce, po raz może pierwszy rozczuliła się na prawdę. Twarde jej serce miłością macierzyńską zwalzone zmiękło, i zaczęła na prawdę żałować całego

zajścia sąsiedzkiego, które zaczęło ją nawet nudzić, bo je żadna nowa nie podsyciała okoliczność. Ale żal ten wyrażała po swojemu, łajając męża ukochanego.

— Wszystko to przez ciebie!

— Ależ moje serce!...

— Przez ciebie mam córkę tę jedną tylko.

— Ależ moja duszko!...

— Przez ciebie nie mam syna! — kontynuowała jejmość swoje żale.

— Pozwól Kunusiu!

— I przez ciebie jeszcze gotowam stracić moją jedynaczkę.

— Moje życie! dajże sobie wytłumaczyć!...

— Gdyby nie twoja głupia pasja do rybołówstwa.

— Cóż ja winien moja droga?...

— Głupis! ot idź przypilnuj, by woda zawrzała na lipowy kwiat.

Patrz, jak ona biedna zmęczona gorączką. — O mężowie! ci mężowie do niczego! po co was pan Bóg stworzył na utrapienie nasze? — Tak lamentowała pani Kunegunda, póki córka leżała blada i żółta, gorączką tylko zarumieniona. Lecz żal ten był u niej przechodzący, i widzieliśmy, że przy pierwszej sposobności złośliwość kobiety nałogowa przeważyła miłość matki.

Dzieci pozdrowiały, bo w młodem ciele mnóstwo jest jeszcze sił żywotnych niczem niesteranych, a w młodem sercu jest niezmierna jeszcze siła nadziei, doświadczeniem niezłamanej. Ledwie skowronek zaświegotał nad rolę wiosenną piosnkę swoją, ledwie śniegi potajały, a zielone trawki wykluwać się za niemi zaczęły, wybiegły poblądłe dzieci na podwórkę, a ztamtąd do ogródka, i pod lipy, i na kładkę i zdybały się, a dawny rumieniec zdrowia wystąpił na ich piękne twarzyczki. I codziennie prawie widywały się choć na minut kilka, byle się popatrzeć na siebie i powiedzieć sobie po raz setny i tysięczny, jak im było tęskno, jak nudno, gdy się nie widziały.

IV.

Biedny Józio z zapłakanemi oczyma wrócił do domu. Szczęściem, ojca nie było w izbie, a matka ledwie postrzegła łzy w ciemnych oczach syna, porwała go w swoje objęcia i pogłaskała tą ze wszystkich rąk najmniejszą ręką matczyną.

— Biedny Józiu! — przemówiła serdecznym głosem.

Józio w pół pocieszony, bo pieszczoty matki, to najdzielniejsze lekarstwo, i szczęśliwy ten, komu ich prędko nie zabrakło; Józio tedy opowiadał matce całe zdarzenie przy kładce.

— Ta kobieta nie ma serca kobiety i matki! — wyrzekła pani Salomea, która umiała być wymowną wymową serca, gdy nie była pod ziębiącym wzrokiem męża.

W tej chwili wpadł pan Maciej dziwnie zapyrzony; wszystkie jego ruchy niezwykłą gwałtownością nacechowane dowodziły, że coś nadzwyczajnego zająć musiało. Nie tylko bowiem biegał po izbie jak

szalony, ale sapał przeraźliwie i wasy targał nielitościwie, co było już u niego znakiem najwyższego rozjątrzenia. Pani Maciejowa postrzegłszy to, co prędzej zasłoniła sobą syna, bojąc się, by na niego część burzy nie spadała.

— A co nadto, to już nadto! — ryczał pan Maciej. — Już dłużej tego wytrzymać nie mogę. Cóż tak głupio patrzysz na mnie? — wrzeszczał dalej postrzegłszy żonę. — Że ciebie nie nie obchodzi!... Trusia prawdziwa.

— Ja nie wiem!...

— Nie wiesz, nie wiesz! a tam przecie stoi jak byk; ot taki wielki!... koło młynka; ale ogromny!... na grobli krzyż! słyszysz?... na grobli krzyż.

— A wiem! — odpowiedziała żona najnaiwniej. — To ten krzyż, coś kazał niedawno postawić na grobli na samej naszej granicy.

— Ależ ci powiadam! a to świętej potrzeba cierpliwości: gdzie ja miałem rozum, z taką niuńką się żenić. To nie ten krzyż!... rozumiesz.

— Nie ten krzyż? — powtórzyła biedna kobieta nie rozumiejąc zupełnie srogiego gniewu męzowskiego.

Dla zrozumienia zaś rzeczy trzeba powiedzieć, że pan Maciej, który był ogromnie religijny, oczywiście po swojemu, pasował się nieraz przez zimę z zawziętością swoją na panią Kunegundę, której nie mógł darować tej zimnej i śmiesznej w błocie kąpieli.

— Święty mój patronie! mój bracie! — mówił nieraz, — zlituj się nademną. Taką mam pokusę wpaść w kilka ludzi do dworu tego ciamagi i tego Heroda w spodnicy wytrześć, ale to jak się nazywa, na urząd wytrześć nahajką.

W skutek tego pasowania się, gniewu i uczuć religijnych, przyszyła mu do głowy myśl szczególna. Na wiosnę kazał wyciosać wielki krzyż z panem Jezusem, tak zwaną figurą, i wkopał na początku grobli koło młynka przy samej granicy swojej. Na tym krzyżu kazał wypisać wielkimi literami:

„I nie wódz nas na pokuszenie.“

Pani Samuelowa nie bita w ciemiej, zrozumiała tę aluzję, tem dla niej jaśniejszą, że jak to zwykle w tak blizkiem sąsiedztwie, wiedziała co do słowa, wszystko co tylko pan Maciej jej nagroził. Nie długo się namysławiając kazała wyciosać drugi krzyż równej wielkości z ukrzyżowanym Zbawicielem, i wkopać naprzeciw tamtego krzyża na swojej stronie. A na krzyżu ogromnemi literami wypisano było:

„Ale nas zbaw od złego.“

Była to odpowiedź z jednej i tej samej zaczerpana modlitwy, i odpowiedź rzeczy można wcale na swoim miejscu przy takim stanie rzeczy.

Pan Maciej tedy wyszedł sobie piechotą do młynka, i właśnie admirował swoją figurę i cieszył się po raz nie wiem który dowcipnym conceptem, gdy nagle rzuciwszy okiem na przeciwną stronę grobli postrzegł krzyż drugi i czyta odpowiedź. Concept odpowiedzi, choć się do tego nie przyznał, wydał się jemu samemu wcale dowcipny.

Tem więcej miłość jego własna została urażoną: wziął to za przytyk, za osobistą urazę i Bóg wie za co jeszcze. Inde haec irae!... Dla tego wpadł tak zapyrzony, i długo trwało, zanim żona zrozumiała, o co rzecz idzie. To go najwięcej bolało, że nie wiedział, jakby tę okoliczność wpłatać w rozpoczęty już proces.

— Cóż ty robisz mazgaju! — krzyknął nagle teraz dopiero postrzegłszy syna. — Czegożeś się tak zapłakał! a mówże! czego milczysz...

— Maryjka! pani Słupecka! kładka! przy strumyku! — wybełkotał przestraszony Józio.

— Co ten dureń plecie? — wrzasnął pan Maciej.

Kusa była rada. Musiała tedy matka, by jedynaka ratować od dalszej burzy, opowiedzieć całą awanturę z kładką. Zaiskrzyły się oczy pana Macieja nie tyle gniewem ile radością; wszak się tu nadarzała nowa do procesu okoliczność!

— Co? — krzyknął klaszcząc w dłonie. — To violentia!... oczywiście violentia!... Poczekaj panie sąsiedzie! to napad! vis publica! to turma pachnie. I będzie turma, żebym miał pójść z torbami. To była moja kładka! nieprawdaż? no mówże!...

Żona kiwnęła głową tem chętniej, że rzeczywiście ta kładka jako drzewo była własnością pana Macieja. Uszczęśliwiony zapomniał już burzyć syna i żonę, i pobiegł co prędzej na miejsce popełnionego gwałtu. W samej rzeczy nie było kładki na swoim miejscu, a co więcej, sama kładka znikła zupełnie. Pani Samuelowa śnać kazała ją zabrać, aby radykalnie przeciąć komunikację; a może i deska wydała się jej przydatną do prania na wodzie dla czeladzi.

— Tak! — zawołał sam do siebie — Gwałt! rozbój! i kradzież!... Pięknie! pięknie! — dodał tryumfującym głosem, i zatarł ręce, a spojrzawszy naprzeciwko ku sąsiedzkiemu dworowi, pogroził palcem. — Zobaczmy! zobaczmy! — mruczał odchodząc.

Od tej chwili zaczął się proces na piękne, czyli raczej, coraz ciemniejszych nabierał barw. Nie będziemy nudzić czytelników naszych wyliczaniem całej procedury pieniackiej niezmiernie rozwlekłej. Pan Maciej w ciągłym był ruchu, uganiając za tym procesem i nie żałując wydatków, aby na swoim postawić, sąsiada potępić, i karę grzywnien i turmy na niem wypieniać. Tem się zaś najwięcej cieszył, iż udało mu się rzeczy do tego doprowadzić stopnia, że powołał już sąsiada na trybunał Lubelski, którego sądy właśnie wkrótce przypadać miały. Pan Słupecki choć niechętnie z początku, ale przymuszony do obrony, zawział się także po swojemu i ze swej strony nie żałował czasu i wydatków, aby się obronić od napaści, wygrać w sądzie, i sąsiada potępić na drodze prawnej.

Biedna Maryjka tymczasem i biedny Józio, nie mieli już nawet sposobności schodzić się, bo obojga pilnowali z jednej strony matka, z drugiej ojciec. Józio tylko wymknął się nieraz między lipy, wydrapał się z niebezpieczeństwem niemałym na najwyższą gałąź, i ztamtąd spoglądał w ogródek sąsiedzki. A Maryjka wybiegła także i schowana w lipowej altanie zadzierała śliczną główkę, odgartując jasne włosy, by zobaczyć świecące ku niej radością i tęsknotą

czarne oczy Józia. Tyle było ich pociechy, tyle szczęścia przez dzień cały. Rozmawiać nie mogli. Czasem tylko Józio huknął na lipie udając kukułkę, a Maryjka klasnęła w białe dłonie i paluszkami serdeczny ku niemu posłała pocałunek. A gdy zmrokiem wracali do domu, był w ich oczach smutek, były i łzy, a przecież była w sercach nadzieja, którą się oboje nawzajem natchnęli, popatrzywszy sobie w szczerością tęnące oczy.

Zbliżyła się nareszcie chwila, w której trzeba było wyjeżdżać do Lublina. Pan Maciej Leski cieszył się naprzód, i miejsca z radości nie mógł znaleźć sobie. Pozbierawszy wreszcie za pomocą różnych kwerend rozmaite dokumenta, które go nie mało kontentowały, i rzeczywiście wydawały się niemyślni, wyjechał szczęśliwie w podróż. Nie tęgie to były wówczas gościńce, czas dżdżysty, droga przemokła; nie mogła zetem podróż iść tak prędko, jak sobie zamierzył początkowie. Miasto dwóch czy trzech dni, przeciągnęła się podróż aż do czterech dni. Trzeciego dnia, gdy jeszcze widział cały dzień jazdy przed sobą, a niecierpliwość jego rosła co chwili, bo nawet bał się, aby za późno nie przyjechać, na dzień w którym jego sprawa miała przyjść przed kratki trybunalskie; jeszcze było parę godzin do wieczora, gdy przejeżdżając przez lasek drożyną wąską i po pniakach wiodącą, zawadziła bryka osią o jakieś drzewo. Nie tęgi i częstemi drogami zjeżdżony musiał być powóz pana Macieja, bo nie tylko że osć pękła, ale padając drugie całkiem rozsypało się koło i obie złamały się osi.

Pan Maciej wyskoczył z bryki, i ledwie nie zwarjował na widok takiego wypadku, w którym przewidywał ogromną czasu mitręgę. Okolica była pusta; za lasem tylko stała karczemka samotna. Nie było rady; z ciężką biedą zawlekły konie brykę do karczemki, a pan Maciej zalaźł piechotą przeklinając na piękne. W karczemie był żyd jak zwyczajnie, który zapytany o cokolwiek, miał wszystko, a gdy przyszło, by co podał, pokazało się dopiero, że nic nie miał prócz śmierdziuchy na domowym alembiczku zwarzonej.

— Mniejsza o jedzenie i napitek! — zrzędził pan Maciej. — Ale tu idzie o brykę. Gdzie kołodziej? gdzie kowal?

— Tu niedaleko we wsi! — odpowiedział żydek kłaniając się aż do ziemi, a uśmiechając się z ukosa, rad z gratyski jaka mu się nadarzyła.

— Posyłajże żydzie co prędzej po nich!

— Zaraz! zaraz! — odpowiedział żydek pokornie.

Ale kto zrozumie to sławne żydowskie zaraz, co już prawie w przysłowie weszło, niech się przejedzie po naszych prywatnych drogach i żąda czego od starozakonnych karczmarzy.

Kilka razy wypytywał się pan Maciej, czy już wysłano kogo po kołodzieja i kowala.

— Zaraz! zaraz! — odpowiedział żydek. Ale zawsze coś jeszcze brakowało; toż stróż poszedł w las po drzewo, to znowu wody nabrać poszedł, a woda aż het po drugiej stronie lasku; to znowu bachor jego nagle zasłabł, a belfer gdzieś się podział. Dosyć że już

było ku wieczorowi, kiedy stróż trochę ślepy, trochę kulawy, a dobrze pijany wyruszył po kołodzieja i po kowala.

Zgrzytał zębami ze złości pan Maciej, ale nic to nie pomogło naprzeciw spikniętym okolicznościom. A że jak to mówią złe nie przychodzi samo jedno, przed wieczorem nadeszła chmura okropna, i rozpoczęła się burza z wiatrem i ulewa ogromna, która w coraz powolniejszy a gęsty przechodząc deszcz, przyrzekała kilkodniową słotę. Tak to już ludzie mówią, bo zwyczajnie ludzie ślepi; a przecież Opatrzność co czuwa nad nami, wie to najlepiej. Nieraz jedna kropla deszczu mniej, to posucha i nieurodzaj; jedna kropla więcej, to pełne kłosa, pełna stodoła i pełna szkatuła. Najmniejszy przypadek stać się może przyczyną najważniejszych zdarzeń; a ze złego, które przeklinamy w naszej ślepotie, wyrośnie nieraz niespodziane szczęście.

Już się ściemniało; deszcz lał jak z cebra; pan Leski skulony na ławce siedział pogrążony w smutnych dumaniach. — A jak tu przyjdzie parę dni zabawić! — myślał. — Przyjadę za późno; Słupecki mnie uprzedzi i wszystkie moje zabiegi na nic; a co najgorzej, wstyd przegranej. — Gdyby nie miłość własna, pan Maciej mimo impetycznego temperamentu najlepszym byłby człowiekiem. Ta to miłość własna aniołów w szatanów przemieniła.

Nagle zaklapało coś po błocie na dworze i ozwały się głosy jakies. Był to nowy podróżny deszczem w drodze zatrzymany i zagwany na nocleg do samotnej karczmy. Żydek aż się pogłaskał z radości po rudej i brudnej brodzie.

— Jest wszystko, co jasny pan każe! — wołał już w sieni.

Pan Maciej spojrzał ciekawie na wchodzącego i skoczył z ławki jak oparzony.

Podróżnym był pan Samuel Słupecki, jadący także choć niechętnie do trybunału Lubelskiego. Pan Maciej nie wiedział sam, co robić, lecz pan Samuel uklonił mu się pierwszy, a gdy wyrzekł starym nie tylko wieśniaków naszych ale i szlachty zwyczajem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Amen! — trzeba było odpowiedzieć.

Skręcił się wszakże pan Maciej, a że w całej karczmie jedna tylko była izba, wyniósł się do sieni i rzucił się na posłanie z siana. Całą noc prawie nie spał, dręczony niecierpliwością; a i to niespodziane zdybanie z sąsiadem nie mogło mu jakoś wyleść z głowy... Co to znaczy? co to znaczy? — odzywało mu się całą noc; a on nie wiedział, że to sumienie się odzywało, bo jakkolwiekby stało mu nieraz przez noc w myśli nie jedno z przeszłości, gdy on tak dobrze żył z sąsiadem, który nigdy mu nie wlaźł w drogę, i tak był cierpliwym jak nikt na jego impetyczne napady. Skoro świt zerwał się pan Maciej zziębnięty, głodny, a więc zły zwyczajem prawdziwego szlachcica polskiego. Kołodzieja i kowala ani widać.

— Gdzież oni są? — krzyczał do żyda.

— Zaraz! zaraz! jasny panie!

— Jakto zaraz? ty niepocziwy żydzie.

Pokazało się dopiero, że kołodziej mieszka o milę, a kowal o dwie mile.

— I wun dużo pije! — dodał żydek mówiąc o kowalu.

Przy najlepszym więc zbiegu okoliczności, ani myśleć można było, by dziś wyjechać, a kto wie czy i jutro będą gotowe dwie osi i dwa koła. Pana Słupeckiego konie zaprzęgano tymczasem; tęga czwórka bułanków i lekka a nowiuteńka jak z igły bryka.

— Dzień dobry! — ozwał się znowu pierwszy pan Samuel.

— Dzień dobry! — odrzekł pan Maciej mrukliwym głosem.

— Słyszałem mocium o waszym wypadku...

— Nic! to nic! — odpowiedział pan Maciej. — To się wnet naprawi.

I przybrał tęą minę, choć w duszy jak djabeł był zły.

— Będą tu waści mocium nudzić. Znam ja tę okolicę dobrze i wiem tutejszych ludzi.

— Cóż waści panie bracie do tego.

— Bo byłby sposób, żebyś waś mocium prędzej zajechał do Lublina.

— Sposób? jaki?...

— Prosty bardzo! — rzekł pan Samuel najnaturalniej — siadaj waś mocium ze mną.

— Ja z waszecią? — zawołał pan Maciej i patrzył osłupiały na sąsiada, i nie wiedział zaprawdę, czy to we śnie czy na jawie.

— A cóż w tem dziwnego mój mocium; to przecie sąsiedzka przysługa w przypadku, a proces swoją drogą; to aż w Lublinie!...

— Nie! nie! — odpowiedział żywo pan Maciej, chociaż łagodniejszym głosem, i chciał się już odwrócić.

— Ja was szczerze proszę panie sąsiedzie, i to samobym od was przyjął. Ot już konie zajeżdżają.

Jeszcze chwilę pomyślał pan Maciej; wzdrygała się w nim duma, ale coś było w nim, co ją przemogło, dawszy więc dyspozycję co do swoich koni i bryki, siadł koło pana Samuela i pojechali razem. Przez drogę milczeli zupełnie; chyba że wyrzekli kilka słów koniecznych ze stosunku podróznego wynikłych. Pan Maciej mianowicie przez cały dzień nadzwyczaj był zamyślony.

Późno wieczorem zajechali do Lublina, w którym zjazd był tak ogromny, że ledwie znaleźli w tak późnej dobie jedną gospodę, w której jedna tylko, ale wielka i obszerna była izba. Weszli do niej podróżni; pan Samuel trochę zaambarasowany tem wspólnem pomieszaniem, a pan Maciej ciągle zamyślony, jakby nieprzytomny zupełnie.

Wieczór był zimny, jak zwykle w późnej jesieni. Pan Samuel kazał zapalić w kominku i siadł koło niego, coraz to dorzucając drewek, a z pod oka spoglądał na pana Macieja, nie bez pewnej niespokojności, bo ten stan jego wydał mu się nienaturalny, a znając jego impetyczność, trochę go po prawdzie mrowie przechodziło. Pan Maciej z pół godziny jeszcze chodził tam i sam po izbie, a pan Samuel ciągle się grzał i drzewka przykładał. Nagle pan Maciej przystąpił do kominka.

— Pozwól! — ozwał się głosem spokojnym — bym i ja panie bracie zagrzeał się moim kosztem przy kominku.

Pan Samuel nic nie odpowiedział, jeno się usunął, i spojrział Leskiem w oczy, tak mu się wydał jego głos zmieniony. Pan Maciej zaś przysunął się do kominka i wyjąwszy z za nadrza jakąś pakę papierów, zaczął je rzucać w ogień jeden po drugim.

— Co robisz mocium? — zawołał pan Samuel, i porwał się, by łapać płonące już papiery. — Wszak to są prawne dokumenta.

— A tak panie bracie! Są to pozwy, repliki, manifesta, wizje, dukty. Chcę wszystkie poniszczyć panie bracie, aby nawet ślad nie pozostał pisany mojej kłótni z dobrym sąsiadem, z którym odtąd w szczerzej zgodzie żyć pragnę. Ot chwała Bogu już wszystkie spłonęły.

I ze łzami w oczach uścisnęli się sąsiedzi. Miasto procesu, nazajutrz poszli do mecenasa, napisali i podpisali akt zgody, i co prędzej wyruszyli z Lublina do domu. Jeszcze kołodziej i kowal nie skończyli roboty przy złamanym powozie, kiedy nasi podróżni wrócili do samotnej karczmy. Żydek długo potem jeszcze rozповідаł o tych dwóch panach, co mu pańsko dali utargować, bo nawet ani słówka nie wyrzekli na jego podwójną kredkę...

Łatwo pojąć, jakie było podziwienie w domu, gdy nagle wrócili oba w dobrej komitywie. Radość pani Salomei była nie do opisania; a i pani Kunegudna udobruchała się, gdy pan Maciej przyszedł do niej i przeprosił ją, i serdecznie się z nim naśmiała, przypominając sobie sławną bitwę pół ludzi a pół zwierząt i kąpiel w błocie. Jakkolwiekbadź i panią Kunegundę nudziła samotność w domu z nudnym mężem, którego już nawet kpać nudziło ją.

Tak minęło kilka lat w świętej zgodzie. A choć były kłótnie, a być musiały, to jak dawniej kończyły się na lekkich przymówkach i dąsach. A po latach kilku Józio poprowadził Maryjkę przed ołtarz; oboje byli piękni i szczęśliwi jak dwa anioły. Szczęścia ich opisywać się nie pokuszę; wolę zostawić to czytelnikom moim, między którymi wielu będzie zapewne młodszych odemnie. Ci przypomną sobie łatwiej, westchną i odmalują sobie żywiej w swej wyobraźni, niżelibym ja słowem potrafił, to co łatwiej uczuć niż opisać. Bo serce jest mistrzem, któremu nie sprostą żaden talent pisarski.

Szlachecka szlachetność.

(Pierw. wyd. 1856.)

Jest to dawnym naszym prawdziwie polskim narowem, to tylko chwalić i to podziwiać, co obce, co tam gdzieś za granicami. Tak kobiety nasze wszystkie swoje ach i och! puszczają gdzieś po całej Europie za temi wszystkimi pięknościami i cudami, których naturalnie ani śladu w naszym kraju.

— Ach Ren!...

— Ach Paryż!... powtarzają stare i młode.

Bo tam i góry i lasy, i gaje i rzeki, i doliny, i kwiaty, i trawa i niebo daleko piękniejsze.

— Fi Karpaty! odpowiedzą nieśmieiele występującemu lubownikowi własnego kraju.

— A ten język cudwny, co to nim można wszystko wypowiedzieć bez zarumienienia się, a tak delikatnie, tak jakoś grzeczniej i lubo.

— A ta literatura francuzka! ach to boska literatura! bo to jakoś tak interesuje, tak chwyta za serce, tak jakoś... ma coś... czego trudno wyrazić słowami, a co się czuje jakoś... sercem!... Jednem słowem wszystko nie swoje jest lepsze stokroć, bo tak jakoś!...

Żebyś się to jeszcze kończyło na powierzchowności chwalonej u obcych i na kobietach naszych chwalaących mody, wytwornisiów, i salonową gadatliwość francuzów, mniejby to przykre było. Ale to nasze zaślepienie dzieli zwykle i pleć mężka, i to w rzeczach daleko ważniejszych, bo w rzeczach głowy i duszy, w rzeczach uczuć i serca.

Wszystko za granicą i lepsze i rozumniejsze!...

Nawet autor po polsku piszący, gdy zechce jakiegoś wyższego użyć porównania, lub przytoczyć jakiś czyn znakomitszy i szlachetniejszy, zaraz pobiegnie drabować po obcych dziełach, i z nich nam co prędzej przywiedzie jakąś anegdotkę francuzką, o tych wszystkich

wielkich ludziach, co się tam rodziło bez liku, o wielkich rzeczach, do których obczyzna zdaje się ma wyłączny przywilej.

Na jedno więcej znajome nazwisko polskie, którego już ominąć niepodobna bez hańby, i pewne zupełnej niewiadomości, przywiedzie ci tysiące nazwisk obcych i zdarzeń bez końca zapisanych po zbiorach obcym pisanym językiem. A to dla tego, że:

Najprzód. Obcy a mianowicie Francuzi okropnie się chwalić lubią, a zmyślają kapitalnie. Proszę tylko przejrzeć te wszystkie ich pamiętniki i zbiorki anegdotek; ile to tam wielkich ludzi i wielkich rzeczy, o których historycznej prawdzie szeroko Dawid pisał, jak to u nas mówią. Francuz ledwie umie pisać, a ma jakiegokolwiek stanowisko rodowe czy społeczne, choćby kamerdynera i kobiety utrzymywanej, zaraz zasiada do pisania pamiętników, aby siebie i sobie podobnych podać do potomności. Powtóre: my zaś najwięcej czytamy obcych, a mianowicie to wszystko, co francuzkie, więc jesteśmy olbrzymio czytani w tej właśnie najlepszej, najmniej wartej, a najbogatszej w anegdoty tuzinkowej literaturze. A na koniec, nie dajemy sobie pracy szukać po własnych dziełach, własne wartować księgi i manuskrypta, aby z nich wyszukać nie jeden czyn wyższej wartości, mało znany. A takich czynów i zdarzeń znakomitszych, znaleźlibyśmy mnóstwo, bo jak dzieje nasze na każdej niemal karcie wskazują, odznaczał się naród polski najwyższymi zaletami, bo zaletami ludzi bitnych i wolność namiętnie kochających. Nie trudno u nas o przykłady najszlachetniejszych poświęceń, tak w życiu publicznym, jak i prywatnym. Trzeba jasno umieć czytać dzieje nasze i umieć wnikać w życie przodków naszych, a wówczas przekonamy się, że samo ich życie jędrne było po temu, aby najprostszy wedle ich rozumienia postępek mógł nabrać olbrzymich rozmiarów, gdyby go przenieść w obce jakie społeczeństwo.

Nieraz te nam myśli przychodziły, gdyśmy zdybali opowiadanie prostemi słowy oddane, o postępku szlachetnym tego lub owego z antenatów naszych, ale bez wszelkiej przesady, bez samolubnego wynurzenia. Ten co czynił i ten co opisywał, mieli taki postępki szlachetny za coś zwyczajnego, naturalnego, obowiązkowego. A gdyby tak na przykład coś podobnego trafiło się w społeczeństwie francuzkiem, co by to było krzyku, wrzasku, a co pisaniny i rozbiórów. Zarazby się urodziło dwóch wielkich ludzi. I ten, co ów czyn popełnił, i ów, co go umiał podnieść i opisać.

— Noblesse oblige!... powiadają dumnie wszystkie markizy i półmarkizy, przytaczając jakieś tam słowo lub czyn przodka markiza, wikonta lub duka.

My to lepiej słowem i czynem wytłumaczyć jesteśmy w stanie, bo u nas rzeczywiście szlachectwo i szlachetność z jednego bratniego pochodzą źródła, i u nas szlachcic miał obowiązek być i bywał szlachetnym, bo inaczej nie byłby szlachcicem. I odłączywszy wyjątki, których bywa dosyć w każdym narodzie, szlachetność była u nas obowiązkową właściwością szlachcica.

Ustęp ten za długi może raczą czytelnicy moi przyjąć jako

wstęp do obrazku jednego, który na poparcie zdania mego, przytoczę tu z zdarzenia mało znanego, a zupełnie prawdziwego.

* * *

I.

Dzień był pogodny i skwarny, zwyczajnie jak w lipcu, tym na naszej ziemi tak ważnym miesiącu, bo w nim to pszczoły nasze zbierają najwięcej skarbów słodkich, z których się wyrabiają doskonałe nasze miody i lipce, tak zwane od kwiatu lipowego dostarczającego w tym miesiącu właśnie najdoskonalszego dla pszczół naszych pożywienia.

Dwóch jeźdźców jechało po ogromnej płaszczynie, na której prócz nich żadnej żywej duszy nie widać było. Gdzie okiem zajrzeć, widać same piaski i na drodze i na równinie. Gdyby nie rzadkie kępki zielone, i rozrzucone tu i owdzie po żółtej piaskowej przestrzeni lasy i gaje o smutnej zieloności, możnaby sądzić, że to jedna z tych puszczy wielkich, któredy jak po morzu przechodzą bez śladu liczne arabów karawany. Ale to nie puszcza. Rzecz bowiem naszego obrazku dzieje się na Mazowszu w okolicy Czerska. A to nasze Mazowsze choć piaszczyste, przecież ludzie poczciwi mieszkają na niem, i choć mało tam ziemi urodzajnej, i nieraz chłopak tyle tylko zbierze, że o głodzie do końca roku ledwie dożyć może, kocha przecie swój kraj rodzinny więcej może niżeli wieśniak na bogatej czarnej ziemi mieszkający; Mazur nie porzuciłby za nic swoich ojczystych piachów, jak zwykli piaski nazywać. Zdaje się, że człowiek przywiązuje się do ziemi więcej, w miarę, jak go ta ziemia więcej kosztuje trudów i znoju. Widzimy to po góralach, którzy pojąć nie mogą, jak żyć można na płaszczynie, mimo tych niw urodzajnych, z falującymi po nich jak morze kłosami; oni za swemi dzikimi górami i twardemi skałami tęsknią, nikną i przedwczesną śmiercią umierają.

Po takiej to piaszczystej drodze jechali nasi jeźdźcy, i gdyby za ich czasów był już żył Krasicki biskup warmiński, byłiby z uśmiechem przypominali sobie ów opis jego podróży, w którym opisując jeżeli się nie mylimy okolice Ryczywołu i Koźlenic, powiada żartobliwie: Za laskiem piasek, za piaskiem lasek, a za laskiem znowu piasek. Lecz znowu jeźdźcom ani się śniło o wielkim pocie; sceny bowiem obrazku naszego odbywają się na samym początku wieku osmnastego i na początku panowania Augusta II., który zaczął smutnej pamięci saskie czasy, zaczęte od wojen i pożogi, a skończone długim letargiem, co naszych praojców hartowną energję, w miękkie rozkołysał niedbalstwo. Nasi jeźdźcy, jak mówiliśmy, jechali po samotnej drodze i po samotnej równinie. Zbliżało się już do południa, cisza więc była w naturze, bo nawet ptaszki pouciekały w gęstwiny przed skwarem słońca, a i robotnicy poschodzili z pól, by odpocząć po pracy w cieniu drzewa i pokrzepić siły snem i południowem

jadłem. Między jadącymi panowało milczenie zupełne; kopyta nawet końskie w miękkim odezwać się nie mogły piasku; jeźdźcy zdawali się być znużeni czy zamyśleni; czasem tylko ozwał się brzęk szabelki, gdy naglejszym konia ruchem podniesiona uderzyła w ostrogę. Korzystając z tej chwili milczenia, opiszemy jeźdźców powierzchowność, tem dla nas ważniejszą, że z góry zaraz powiadamy, jako to są główni naszego obrazku bohaterowie.

Obaj byli w kwiecie wieku jeszcze i obaj dorodni w całym tego słowa znaczeniu, ale mimo to wielka w obu powierzchowności, wyrazach twarzy i rodzaju piękności panowała sprzeczność. Jadący po lewicy był blondyn, a po prawicy brunet. Blondyn starszy nieco, mógł już mieć lat trzydzieści, choć miernego wzrostu, ale dobrze zbudowany, pełen zdawał się być siły, co świadczyła postawa jego barczysta, silne ramiona, piersi szerokie i wypukłe, a ręce żylaste, zdolne najcięższym machnąć orężem, gdyby lekkim piórkiem. Na szyi jak zwykle u ludzi postawy grubej i krótkiej, spoczywała głowa potężnej wielkości ze znaczącą twarzą szeroką i wyrazistą. Mimo jasnych włosów i oczów tak niebiesko błękitnych, że ich najpiękniejsza dziewczica pozazdrościłaby mogła, twarz jego odznaczała się szczególną męzkością i siłą. Spojrzawszy na tę twarz o zdrowych i rumianych policzkach z silnym i pewnym wyrazem, który od wyniosłego czoła zacząwszy aż do ust nieco wydętych ogromnemi wąsami okrytych, zaokrąglął się profil prawdziwie sarmacki jaki już tylko na starych portretach zdybać można, poznałbyś od razu, że tam w środku żyje dusza prawdziwie stalowa, hartowna, co to jasno widzi rzeczy, i bez tych wątpliwości, które wiek późniejszy i zamorska wyrobiła edukacja; wie doskonale, że między niebem, gdzie jest Bóg, a ziemią, gdzie jego kraj, jest jego oręż szlachecki, gotów zawsze do obrony najdroższych sobie, Bogu i kraju. A gdy się uśmiechnął, to zdaje się, wybiegło mu do ust pocziwe serce, a gdy łysnął okiem błękitnem to przeziierał przez nie ten nasz zdrowy szlachecki rozsądek, który po dziś dzień, jeżeli się gdzie trafi jeszcze, nie zawstydzi się przed najmądrszymi, co to pożał się Boże, przeładowali się aż do niestrawności księgami wszystkich wieków i wszystkich języków.

Drugi jeździec, młodszy nieco, bo miarkując po ledwie wyrastającej brodzie ciemnej i wąsikach miękkich jak najmiększy jedwab, ledwie miał lat dwadzieścia pięć, wydawał się poniekąd wyrazem twarzy swojej starszym od jasnowłosego towarzysza. Wyższy o głowę prawie, kibić miał tak wysmukłą i giętką, jak ją można czasem dostrzedz u młodych niewiast, ale mimo to w całej postawie, w ruchach młodzieńczych znać było siłę i energję niepospolitą, prawdziwie męzką, która odzywała się w każdym pomknięciu nogi lub ręki, gdy nią niecierpliwie konia uderzał, lub za cugle pociągał. Jeżeli na twarz blondyna widać siłę i spokój, na twarz towarzysza najbardziej wystaje zapał i niepokój, najczęściej idące w parze. Twarz jego była ściągła i śniada nieco; rysy wszystkie odrysowane regularnie odznaczały się szczególną, niezwykłą prawie pięknnością. Jeżeli blondyna twarz była typem piękności słowiańskiej, o twarzy bruneta możnaby powiedzieć, że była typem piękności w ogólnem tego słowa

zaczepieniu, piękności idealnej prawie. W wyrazie tej twarzy o czole, nosie i całym profilu greckim, było coś południowego, co mu głównie strzelało z oczów ciemnych ciągłymi prawie iskrami łyskawie syjących zdaje się na wszystkie boki. Zdawało się, że czegoś szuka bez ustanku. Był to ów niepokój dusz namiętnych, których zapal, jeżeli zabraknie ważnych i dostatecznych powodów, rozciąga się na około chwytając się najmniej ważnych i najdrobniejszych przedmiotów. W naszym wieku taki zapal bezcelowy, nie jest rzeczą rzadką, jest on nawet skutkiem dzisiejszego życia, dzisiejszych wymagań i dzisiejszego wychowania. Ale w onych czasach był on rzadkością, dowodzącą zdaje się w ciemnowłosym młodzieńcu, którego opisujemy, usposobienie poetyczne, które dobywa się gwałtem na wierzch, póki nie zgaśnie przyduszone rzeczywistością w nieświadomej własnego ognia duszy. Że podobne usposobienie miał nasz młodzieniec, dowodził ten cały wyraz twarzy zmieniającej się co chwila. Czasem uśmiech dobroduszny, wesóły dziecinny prawie rozweselał mu twarz, gdy nagle wyraz ten zaostrzał się zadumaniem, posepniał niecierpliwością w każdej żyłce zdaje się drgającej. Podobnych usposobień przyszłości nikt nie odgadnie, bo niemi obdarzeni ludzie, są jak owi ludzie nawiedzeni duchem, który czy jest złym czy dobrym, szatanem czy aniołem, zależy od pierwszych silniejszych życia zdarzeń, lub wrażeń jednej stanowczej chwili. Przyszłość jasnowłosego młodzieńca, cała na twarzy jego wypisana, pewna, niezmienna, po równym tocząca się gościńcu. Przyszłość czarnobrewego niepewna jak skutek burzy, jak kapryśny rysunek morskich fal wiatrem poruszanych.

Ta sama sprzeczność co w postawie i twarzy, objawiała się i w ubraniu obu młodzieńców. Ubiór ich obu był wytworniejszy od sukni w podróży używanych; śnać podróż ich niedaleka. Ubrani byli stosownie do czasu w krótsze od późniejszych saskich półkontusze, w półczamary i także żupaniki, bo jeszcze długoletni spokój i gnuśność rozpasanego na wsze rokosze i wygodki życia nie przedłużyło szat polskich, jak je noszono aż do naszych czasów. W krótszych ubiorach, jakie noszono w czasie spokoju, w domu czy w gościnie, choć nie było zbroi, tarczy ni hełmu, było coś jeszcze rycerskiego, co przy długich i fałdzistych kontuszach późniejszych płaczących się pomiędzy nogi, znikło zupełnie. Ubiory więc naszych bohaterów były krótkie, ale większa onych staranność zdawała się nie tylko dowodzić jak mówiliśmy, że podróż ich była niedaleka, ale że nawet gdzieś w gościnę jechali. Ubiór starszego wytworny drogiemi materjami nie odznaczał się żywością barw: granatowa czamara aksamitna o jedwabnem szamerowaniu pokrywała biały tu i owdzie srebrem przerabiany żupanik spięty zwykłym pasem wyciskany ze skóry, z kłamrą srebrną, na której wyrzeżany był herb rodowy; przy szyi była spinka z jednego wielkiego turkusa, który w doskonałej był harmonji z błękitnymi młodzieńca oczami; przy boku wisiała lekka karabelka w jaszczur gdyby w perłową macicę oprawna, a na głowie była czapeczka rogata biała z ciemnym barankiem i niewielką kitką w podobneż co na spince turkusy oprawną.

Ciemnowłosy młodzieniec miał żupan paliowy, złotemi gwiazdami tak mocno świecący, że zdawał się być lamowym prawie, żupan ten spięty był pasem złotem przesywanym o klamrze złotej, której herb był rozmaitemi barwy drogiemi kamieniami wysadzany; takąż była spinka świecąca kolorami tęczy i takież był guz przy ogromnej kicie białej osadzonej przy jasno-saładynowej czapce sobolem obszytej. Kontusz był także jasno-saładynowy z ogromnemi guzami wiszącemi, a wiszącemi jakby gwiazdy jakie; karabela cała złotemi blaszkami i drogiemi kamieniami nasadzana. Nawet w koniach i w prowadzeniu onych ta sama odbijała się różnica. Bułanek starszego młodzieńca, pięknej polskiej rasy, spokojną pana ręką wiedziony, szedł spokojnie równym krokiem czy biegiem; gdy tymczasem karosze młodszego z ogonem do góry, co chwila zżymał się, parskał, susy dawał, szczupaki sadił w powietrzu. W całej postawie młodzieńców i koni, była uosobiona ta sprzeczność, jaką nieraz zdybać można w ludziach młodych równego prawie wieku i podobnego wychowania, gdy się po raz pierwszy z domowego ustronia puszczają na szeroki życia ludzkiego gościniec.

Jeżeli o tej sprzeczności szerzej rozpisał się, raczą przebaczyć czytelnicy nasi, bo ta sprzeczność w charakterze naszych bohaterów, jest główną podstawą zdarzeń, które opisać mamy.

Nie wdając się w dalsze opisy, powiemy tedy, że młodzieniec z jasnymi włosami nazywał się Piotr Wroński, który o milę może od miejsca, w którym zaczyna się nasz obrazek, miał dwie pięknych i dobrze zagospodarowanych wiosek, odziedziczonych po dawno już zmarłym ojcu, i w których sam jeden mieszkał a sławnym był na całą okolicę gospodarzem. Młodzieniec z ciemnymi włosami zwał się Jan Magnuszewski, i był bliskim pana Piotra sąsiadem Zamożniejszy od niego daleko, bo prócz trzech wiosek, któremi sąsiedował z panem Piotrem, miał jeszcze w Krakowskiem województwie ogromną wieś nad samą Wisłą. Niedawno dopiero po długiej niebytności zjechał do tej majątności, którą posiadał na Mazurach, i odnowił dawne stosunki przyjaźne z Wrońskim, zawiązane jeszcze w dzieciństwie. Równie jak i pan Piotr był on już dawno sierotą, jedynakiem po zmarłych rodzicach i zupełnym panem swej woli.

Mówiliśmy, że droga była piaszczysta, upał wielki, i obaj długi czas w zupełnem jechali milczeniu. Pan Piotr na prawdę zdawał się być zamysłony, a pan Jan zniecierpliwiony powolną podróżą obzierał się na około, jakby czego szukał po tej okolicy dobrze sobie znanej, ale dawno niewidzianej.

— Ależ to nudna okolica! — ozwał się wreszcie, raczej do siebie samego, niżeli do zamysłonego towarzysza.

— Nudna? — odrzekł pan Piotr z wyrazem zdziwienia. — Nasze pocziwe piaski rodzinne! — dodał rzucając serdeczne spojrzenie na mały gaik brzozowy, do którego wjeżdżali i który wyglądał prawdziwą kępą zieloną, na piaszczystym morzu.

I rozmowa się urwała. Znudziło wreszcie pana Jana to milczenie.

— I ty się kochasz? — zapytał nagle, patrząc ciekawie na towarzysza.

— Kocham znowu! — odpowiedział pan Piotr najnaiwniej zadziwiony. — Zkądże to znowu przyszło ci na myśl?...

— Przecież jedziemy mój Pietrze do tej... — mówił Magnuszewski z swawolnym uśmiechem.

— Z którą myślę się żenić, poznawszy zacność jej domu, zalety ojca i... — przerwał Wroński.

— Samej panny!...

— Zapewne!...

— Ładnej, jak mi sam mówiłeś.

— A już to ładna!... oczy powiadam ci takie szafirowe...

— Jak fiołki!... a widzisz, że ją kochasz! I czyliż można myśleć o ożenieniu bez miłości?

— Idzie tu głównie — odrzekł poważnie pan Piotr — o zgodność charakterów, boć człowiek nie kochanki szuka, ale dozgonnej przyjaciółki, współniczki doczesnego życia, matki przyszłych dzieci, dziedziców szlacheckiego klejnotu i majątku...

Magnuszewski na tę poważną przemowę parsknął od śmiechu.

— Czego się śmiejesz?

— Bo sam przed sobą chcesz taić, że kochasz tę pannę Hannę, o której tyle mi nagadałeś, że aż mnie ciekawość wzięła poznać ją. I czujesz, że będziesz z nią szczęśliwy?...

— A zapewne... spodziewam się... ona taka dobra...

— Bo ją kochasz!

Pan Piotr zarumienił się z lekka, bo słowa przyjaciela nowe mu zupełnie do głowy napędzały myśli.

— Od tygodnia, jak przyjechałem, ciągle mi o niej mówisz.

— Bo naturalnie myślę o niej.

— A widzisz, że ją kochasz!.. I tęsknisz, gdy długo nie widzisz...

— Co tęsknię?...

— Oczywiście, bo kochasz...

Pan Piotr rumienił się coraz więcej.

— Czemuż się już raz nie oświadczysz?

— Ja przecie nie mogę tak od razu; ledwie ośm czy dziewięć miesięcy bywam w domu... i przyznam ci mój Jasiu, że jakoś boję się, nie śmiem.

— Boś zakochany po uszy.

— Doprawdy? — zapytał Wroński z taką rzetelną naiwnością, że pan Jan aż się przegiął na koniu od szczerego śmiechu.

Pan Piotr zamyslał się chwilę i po raz pierwszy wyznał sam przed sobą, że na prawdę zakochany w pannie Hannie. Dotąd ani mu to na myśl nie przyszło. Oczywiście pan Piotr był dzieckiem swojego wieku i jego wyobrażeń: gdzie tam kiedy takiemu pocciwemu szlachcicowi sniło się o jakiejś miłości! Żenił się, bo mu się panna podobała i z rodu i z majątku i z koligacji, ba czasem i z urody, bo chciał mieć żonę, gospodynię i matkę.

— Co ty wiesz o miłości? — spytał po chwili pan Piotr z niedowierzającym wyrazem, chcąc mimowolnie czegoś więcej dowiedzieć się i przekonać o prawdzie tych po raz pierwszy w głowie jego powstałych myśli.

— Ja o miłości! — zawołał pan Jan i spiał konia ostrogą a ściągnął munsztukiem, aż mu karosz dęba stanął, a oczy zaiskrzyły się młodzieńcowi ogniem wewnętrznym namiętności. Gdybyś jak ja pomieszkał lat kilka w Padwie, w tej ślicznej Italii, pod tem słońcem gorącym, co cię z góry pali i popatrzył w te ciemne i płomieniste Włoszek oczy, co cię silniejszym jeszcze palą ogniem, posłuchał ich pieśni, których i rytm i słowa i dziwnie jakaś miękka harmonija, rozkosznym przejmują cię dreszczem, i raz tylko jeden ścisnął te ich dłonie gorące, tajemny i pożerczy ogień ziejące — tobyś pewnie nie pytał mnie o to.

Pan Piotr omal co gęby z zadziwienia nie otworzył, słysząc podobne wyrazy namiętne po raz pierwszy w życiu. Ani słowem się nie odezwał, bo choć się do tego przyznać nie chciał, miło mu jakoś było słuchać tej rozmowy.

— A ta przyroda włoska, z niebem wiecznie pogodnem — mówił dalej Magnuszewski i oczy jego błyszczące rozpromieniały twarz, która w tej chwili cudnie piękną się wydawała. Te przypomnienia kilku lat we Włoszech przepędzonych, to poezja wewnętrzna, która zamieszkała w łonie młodzieńca i wyrwa się na wierzch gwałtownie słowami pełnemi namiętności.

Takim był rzeczywiście pan Jan Magnuszewski, o ile poznać można z opisu w manuskrypcie, z którego czerpaliliśmy treść naszego obrazku. I powiedzmy to nawiasem, ten Magnuszewski był przodkiem naszego wielkiego a tak wczesnie zmarłego poety Dominika Magnuszewskiego. Ta iskra poetyczna, co się w owym wieku, w onych okolicznościach i tem całym życiu owoczesnem nie mogła wyrobić i objawić, przez tajemniczy jakiś związek krwi, przeskoczywszy kilka pokoleń, ozwała się dzielna, iskrząca w prawnuku, w ostatnim potomku Padewskiego ucznia.

— Te ogrody wonne, gaje pomarańczowe — ciągnął dalej pan Jan — ta zieloność, te wody jak kryształ przejrzyste, ta woń i ten szmer życia, co cię zawsze otaczają!... Pietrze! tam się inaczej, tam pełno żyje. Słuchaj ja kocham kraj, i równie tobie, któryś z niego nie wyjeżdżał, gotów jestem walczyć, ba i umrzeć za niego, i nie chciałbym kości moje na innej złożyć ziemi; a przecież gdy sobie przypomnę tych parę lat w Italii przepędzonych, mimowolnie wdycham, tęsknię niby za czemś... ot marzę... o czemś?... czy ja sam wiem... o tem niebie może, co nad nami.

— I kochałeś? — zapytał pan Piotr pół głosem, bo pocziwy szlachcic wstydził się własnej ciekawości.

— Czy kochałem?... — odpowiedział Magnuszewski w pół rozmurzony. — Czy ja wiem!... ale czuję, że jestem zdolny kochać, jak to włoscy umieją wysławiać poeci. A jak pokocham!... jak pokocham!.. biada temu, co mi w drodze stanie. Ale czyż znajduję w naszym kraju tę, którą warto pokochać taką miłością, do jakiej ja zdolny jestem?

Lecz dosyć o tem!... ty mnie wysmiejesz i słusznie!... ot chwilowe napady!... z których się zapewne wyleczę tu... dodał oglądając się z westchnieniem na smutną płaszczyznę. — Pospieszajmy!...

I puścili się obaj przyjaciele cwałem naprzód. Pan Piotr daremnie był przez pana Jana posądzony o to, że się śmieje z niego. Gdzie tam? Słowa przyjaciela inne zupełnie na nim zrobiły wrażenie. Pan Piotr przejrzał jasno i poznał, że Hannę silną kocha miłością. Namietnie spinał konia ostrogami, chcąc co prędzej dojechać, by ją zobaczyć; po raz pierwszy strach go jakiś przejął, by ją nie stracił. Uczuł, że w takim razie byłby prawdziwie nieszczęśliwy. Tak to póki jest się młodym, najzimniejszemu usposobieniu staje się zaraźliwem prawdziwe uczucie, gdy się nagle czynem czy płomienistemi objawi słowami. Jeszcze niewielki lasek przebyli, a za nim coraz zieleniejsza płaszczyzna, a z dala sterczy świecący w blasku słonecznym krzyż wiejskiego kościółka.

— To tam! — rzekł Wroński, wyteżając rękę i wesóły wyraz wystąpił mu na twarzy i w oczach.

— I cóż! — odpowiedział Magnuszewski, któremu w tej chwili przykro i smutno się jakoś zrobiło, choć sam nie wiedział dla czego.

Są takie chwile w życiu, chwile przecucia, w których duch niewidzialny przyszłości naszej, dotyka nas czarnem swem skrzydłem.

II.

Uprzedźmy goniących bohaterów naszych i wejdźmy pierwsi do domu, dokąd dążą, aby się poznać z jego mieszkańcami.

Była to wioska jak najczęściej na Mazowszu, nie zbyt wielka, ale z dodatkiem wielu mniejszych czy większych futorków, rozrzuconych tu i owdzie, gdzie tylko zieleniał się kawał ziemi urodzajniejszy, gdzie tylko wystawała kępka krzaczystego gaju. Dziedzicem wioski i futorków był pan Ignacy Boski, który uchodził w okolicy za zamożnego szlachcica, a osobiwie za człowieka statystę, ogromnie ocytanego. Był to rzeczywiście dawny palestrant, który służywał mecenasem wielkim panom, dogadzając ich pieniaczkiem fantazjom, a nawet podbudzając je nieraz, aby jak to mówią w mętnej wodzie ryby łapać. Jakoż cały nie zły majątek uciulał przy tych trybunalskich wyprawach, a że sławny był swego czasu pomiędzy prawnymi krętaczami i sam się przekonał, jako te najczęściej prowadzą do majątku, ba nawet i do znaczenia, miał o sobie ogromne wyobrażenie, które pomалу zaczęli dzielić i drudzy, jak to zawsze bywa w mieście. I jakże dzielić nie mieli, kiedy pan Ignacy o wszystkim decydował jak prawdziwa wyrocznia, rozprawał tonem pewnym, głosem stanowczym, każdy zarzut nazywał absurdem, zarzucającego zaś głupcem oczywistym, a co najwięcej, mowę swoją szpikował jak najrzęsiściej łaciną, której nie tylko że sąsiedzi nie rozumieli, ale podo-

bio i rzymianie ś. p., gdyby z grobu powstał, zrozumiećby nie bardzo potrafili.

Pan Ignacy był tedy ogromnie dumny, uparty przy zdaniu swoim jako kozioł prawdziwy, a w całej powierzchowności swojej nadęty niepospolicie. Zabawnie wyglądała jego śmieszna napuszczona postać. Był to bowiem malutki człowieczek, prawdziwy Łokietek, omal że nie karzeł, a przytem nadzwyczaj chudy, złożony z samych prawie kości powleczonej skórą żółtą, prawdziwym pergaminem, jakby ze starych aktów pożyczonym. Ledwie pojąć było można, jak w tej małej figurce może się pomieścić tyle silnego głosu, którym przyzwyczajony do wygłaszania przed kratkami sądowymi niemiłosiernie pisał, czy to gderając bez ustanku na domowników, czy przed obcymi, wywodząc wszystkie sprawy jakie zapamiętał i wszelkie konexyje, jakie przez całe życie miewał z największymi w rzeczypospolitej dygnitarzami. A dodajmy do tego, że pan Ignacy zwykł był najczęściej takowe konexyje przezywać gęsto parentalami, przez co słuchającym dawał niby do poznania, że jest spokrewniony z najpierwszymi domami; a powtarzał to tak często, że na końcu sam uwierzył, stosunki klienteli mieszając z stosunkami rodzinnymi. Co do twarzy, nie wiele o niej było do powiedzenia, prócz chyba nosa śpiczastego, który przy opowiadaniach lubiał palcem ostrzyć; prócz warg dumą wydętych, oczków nie wielkich i świdrowatych, a mianowicie głowy starannie ogolonej, z małym na środku kosmykiem szpakowatym, któremu w objętości omal się nie równały dwoje brwiów długich i obwisłych i wąsiki przed nosem starannie a krótko na kształt szczoteczki ostrzyżone. W stroju zaś był pan Ignacy nadzwyczaj staranny i jakkolwiek był potężnie skąpy, o czem i sąsiedzi i osobiście domownicy doskonale wiedzieli, i nie mało mieli do rozprowadzania, garderobę miał jak na stan swój wykwinutą i nadzwyczaj doborową w rozmaite garnitury i stosowne do nich pasy; a pasy lubiał jak najszersze i najdłuższe, to też łatwo pojąć, jak pocieszenie wyglądać musiał, gdy swoją figurę chudą takim pasem kilkakroć obwinał. Gust ten do wytwornego ubioru zachował aż do najpóźniejszego wieku, już bowiem sześćdziesiątkę minął, w chwili gdy go poznajemy i to głównie dla tego, że był kawalerem jeszcze, a strój staranny uważał za obowiązek kawalerski.

Wejdźmy teraz do dworu, który na małym podniesieniu wznosił się po nad stawkiem w około wierzbami otoczonym. Dwór ten był przerobiony widocznie ze starego jakiegoś zameczku, siedliska niegdyś zamożnej rodziny, podupadłej przez wojny, a może i przez zabiegi pieniaczkie pana Ignacego, który dosyć tanim kosztem przyszedł do tej majątności. Stary zameczek długo zaniedbany, zaczął się walić w gruzy, dach opadł, mury zaciekwały. Najwięcej ucierpiał sam środek, to też gdy pan Boski wziął się do reperacji, a przy znanem już skąpstwie, tanim to chciał zrobić kosztem, środek czyli sam korpus gmachu oczyściwszy z dwupłatowych gruzów, pokrył dachem, pozostawiwszy dwa skrzydła mniej zniszczone o całe piętro wyższe jako tako zreperowane, co nadzwyczaj pocieszną powierzchowność całemu dawało dworowi, wyglądającemu z daleka jakby cegielnia

między dwoma kominami. Sprawiedliwość wszakże oddać trzeba panu Ignacemu, że stare to domostwo, które sam rezydencją nazywał, było nadzwyczaj porządnie i czysto utrzymywane. Porządek był prawdziwie kawalerski, wygderany, wymuskany, drobiazgowo punktualny. Biada domownikowi, któryby śmiał choć jeden stołek czy ławkę z miejsca na miejsce przesunąć. Batogi były zaraz w robocie, bo w tej mierze nieubлагanym był pan cześnik. Zapomnieliśmy bowiem jeszcze dodać, że pan Ignacy Boski był cześnikiem; jakim? przez kogo i kiedy był mu ten tytuł nadany, tego nigdy znaleźć nie mogłem, ani dzieje bowiem, ani kroniki nic o tem nie wspominają, mimo że sam Boski to cześnikostwo wysoko cenił i głosił i nie mało z tego tytułu był dumnym.

Lecz wejdźmy do wnętrza domu, przystrojonego w odwieczne Wazów jeszcze pamiętające sprzęty, które pan Boski z niepospolitą pielegnował troskliwością. Nie dzisiejsze bo też to wówczas bywały sprzęty, tak filigranowe, jak filigranowe dzisiejsze pokolenie, o tak cieniutkich nóżkach, że ledwie pojąć można, jak się stołek i człowiek na tak nie tęgiej utrzymać może podstawie. Były to ciężkie, ale zato mocne sprzęty, które nieraz od dziada na wnuki przechodziły; a miały też w sobie wartość, co pochodziła z gatunku drzewa, z nieprzeżytej trwałości owych skór złotem wyciskanych, ciężkich aksamitnych i innych węzłowiów i drogocennych makat, będących razem obrazami historycznymi, na których wszakże nie petzły barwy, jak na dzisiejszych naszych wyrobach, gdzie się krzyżują jakieś fantastyczne esy i floresy, jakieś kapryśne arabeski, niemające za prawdę wiele sensu.

Ulubionym cześnika pokojem, była podłużna salka w jednym ze skrzydeł rezydencji, którą nazywał biblioteką, dla tego że było parę pótek starych ksiąg i pargaminowych zwitków. Były to same prawnicze księgi z czasów mecenasowskich pozostałe i rozmaite dokumenta, które byłemu mecenasowi z każdego niemal procesu pozostały. Choć już nie czytał, bo i nie wiele już widział zużytemi oczyma i wszystkie księgi i dokumenta umiał na pamięć, rad był choć wachać starych zbutwiałych przyjaciół, co mu najświetniejsze przypominały czasy młodości i trybunalskiego życia. Okna salki wychodziły wprost na ogromną ulicę lipową, co się ciągnęła wzdłuż staroświeckiego szpalerowego ogrodu i która była w lecie najdoskonalszym schronieniem, bo chłodnem jakby kościelne sklepienie. Gdzie się podziały te nasze pocziwe ulice lipowe, pod których cieniem przechodziły pokolenie po pokoleniach, zostawując tam każde coś z swych myśli i uczuć, które wnukom szmerem liści rozpowiadały o dziadów sławnej i krzepkiej przeszłości? Zastąpiliśmy je angielszczyzną kusą i karłowatą, kłębami, coto niby mają być gaje, i ścieżkami, co niby mają być drogami; powycinaliśmy stare lipy nasze, które po szlacheckich domach naszych były niejako świadkami dawnych obyczajów naszych. Wycieliśmy w pień! i słusznie; na co nam świadków!... chybaby nam maluczkim wstydzić się przyszło olbrzymiej przeszłości, którąby nam ci świadkowie rozpowiadali...

Cześnik miał przy oknie ogromne krzesło poręczowe i tak wy-

sokie, że gdy w nie usiadł, znikał zupełnie prawie i wyglądał jak dziecko, którego nogi nie dostają jeszcze do ziemi. Ale z tego krzesła mógł patrzeć na ogród, a lipy owe, jakkolwiek prozaiczna dusza mieszkała w ex-mecenasie, cieszyły go niepospolicie. Nieraz po obiedzie gdy usiadł w krzesło przy oknie otwartem, i lekkim wietrzykiem poruszone zaszumiały lipy, a woń kwiatu lipowego upajająca rozeszła się po sali, rozmarzony cześnik zadrzynał błogo i zamarzył, co mógł najprzyjemniejszego, bo sławną jaką mową swoją w sprawie jakiej przed trybunałem, co mu przyniosła wziętość i pieniądze do kalety.

I dzisiaj gdy go poznajemy, drzemał sobie stary cześnik: głowa opadła mu na krzesło ciemną w chińskie wyłacania skórą wybite, a nos naprzód wydany, zdawał się wciągać cudną woń ogrodową: ogolona głowa, na której znać jeszcze było kilka kropelek potu, jakie zawdzięczał skwarnemu dniowi, smacznie zjedzonemu obiadowi i gderliwemu przez cały ranek po wszystkich kątach łożeniu, osychała i stygła pod wpływem miłego chłódka, który wiał od zaciemnionej ulicy. Pan Boski drzemał już czas jakiś, a sny jego były błogie zapewne, bo na ustach jego wystąpił uśmiech lekki, który rzadkim był tej twarzy gościem. Gdy nagle otwarły się drzwi dosyć głośno, i wpadł przez nie mężczyzna jakiś wysoki, barczysty i siwy jak gołąb, ale z twarzą czerstwą i rumianą i wąsem szpakowatym, do dwóch i to wielkich mioteł podobniuteńkim. Ubrany był po letniemu w drelchowy nie wielki kubraczek, z pod którego płócienkowy dłuższy wylazł żupanik. Na głowie miał ogromny kapelusz słomiany domowego wyrobu, który wszakże wchodząc do sali zdjął z pospiechem.

Zachnął się cześnik nagle obudzony, oczy zaspane spojrzały niepewnie naprzód, a na czoło, twarz i usta wystąpiła chmura niechęci, zwiastująca długą i niebezpieczną burzę.

— Cóż waś wpadasz, jak mente captus jaki? — wypiszczał rozniewany cześnik.

— Byłem na wieży pana starosty! i...

Jedno ze skrzydeł rezydencyi wyższe od drugiego nosiło nazwę wieży starosty. Przyczyny tej nazwy nikt nie wiedział, czyli raczej nie wiedział, którą wybrać z pomiędzy niezliczonej liczby gadek i bajek, jakie rozprowadano o okropnościach, jakie w tej wieży za króla Popiela podobno jeszcze wyprawiał starosta jakiś. To pewna, że ta wieża najgorszą w okolicy miała reputację; bo nawet i domownicy i sąsiedzi rozpowiadali sobie na ucho, że dotąd dziwne słychać tam głosy i widać postacie około północy, dziwne wyprawujące hece. Cześnik choć jako promotor pieniactwa i samego djabła bać się nie był powinien, bo pieniactwo to już diabeł nad wszystkie djabły, miał wielkie poszanowanie dla tej wieży, w której noga jego nigdy nie postąpiła. Po prostu bał się strachów; snąć nie zupełnie tam mu czyśto być musiało na sumieniu; to też zawsze nie mile przyjmował każde wspomnienie o wieży starosty. I tym razem nieznacznie przeżegnał się krzyżem świętym. Bo choć to dzień jeszcze, ale ostrożność nie zawadzi.

— I dla tego wbiegłeś z hałasem i zbudziłeś mnie waś! — krzy-
czał cześnik coraz głośniej.

— Przepraszam...

— Co mi tam z przeprosin; post festa... Że też waś wiecznie
łazisz po tych dziurach. Schody licha; jeszcze waś kark skręcisz..

— Bylem w zbrojowni.

W wieży starosty była na górze samej wielka izba bez okien,
zapełniona całą rozmaitemi staremi to zbrojami, to orężami, po wię-
kszej części wyszłemi już z użytku, które tam zrzucano jako sprzęt
mniej już potrzebny.

— A wiem, że waś tam gmyrasz po tych starych zardzewia-
łych żelazniach i nieraz brzękiem straszysz ludzi.

— Są tam oręże i puklerze, i hełmy dobre jeszcze, a jakie oręże!..

I szeroka twarz mówiącego zarumieniła się jeszcze, siwe oczki
zaiskrzyły się, usta wydeły, jakby co smacznego skosztować miały,
a wąsy najeżyły się jakby szerść u rozjuszzonego dzika.

— Jeszczeby się waści chciało wojować! tfu! głupi ludzie!..
Stultum genus!.. a przecież masz znak doskonały.

I palcem wskazał na czoło miłośnika starych orężów. Snać mu
się jeden z tych przyjaciół niepospolicie dał we znaki, bo miał kresę
nie lada; zaczynała się gdzieś za czołem wysokiem aż pod czupryną,
i głębokim ciągnęła rowkiem pomiędzy okiem i nosem, przez szeroki
policzek, aż znikwała wreszcie w lesie wąsów.

— To z pod Chocimia, gdyśmy z ś. p. królem, gdy był jeszcze
hetmanem... — zaczął i z uśmiechem, który mu całą twarz dziwnie pię-
knym rozpromienił wyrazem, pociągnął prostą i żylastą ręką po
bliźnie. Snać mu ta blizna najmiłszą w życiu była pamiątką. I tak
to dawniej bywało; po bliznach rachowano pamiątki dziejowe, wypisane
na twarzach i piersiach bitnej szlachty naszej. A blizny te były
drogie i warte pamięci, bo nie w jakichś pojedynkach (prawda, że
teraz i w pojedynkach miasto krwi, wino rzęsiście przelewają) lub
innych nocnych zdobyte rozgardyjaszach, ale na polu sławy.

— Słyszałem! słyszałem! — przerwał cześnik z niesmakiem — te
wszystkie głupie wojackie awantury, z których waś wyszedłeś pokie-
reszowany i goły jak tureckie święty.

— Ale szczęśliwy, bo miałem zaszczyt być rotmistrzem pod
najsławniejszym wojownikiem, którego chwała w niebie zapisana.

— A wiem! scutum Sobiescianum! a na ziemi dzieci rozbiegły
się po całym świecie, bez korony i bez sławy...

— Ale zawsze Sobiescy! — ozwał się rotmistrz z pewną dumą...

— Przestań! przestań!.. bo mi znowu uszy nakryczysz temi
głupstwami... Vana verba!

— Ale...

— Milcz już raz! — krzyknął cześnik, i wylazłszy z biedą z krze-
śla ogromnego poskoczył gniewnie do rotmistrza, przy którym jak
karlik przy olbrzymie wyglądał. — To aż waś tu przylazł?... i przer-
wał mi sen...

— Przepraszam pana brata! — odpowiedział rotmistrz cofając
się o parę kroków, z widoczną nieśmiałością i pokorą.

Byli to rzeczywiście rodzeni bracia; i jakkolwiek dziwną to mogło się wydawać rzeczą, pan Stanisław Boski, były rotmistrz dzielnych Sobieskiego zastępów, atleta budową, a niegdyś zuch nad zuchy, sławny z siły i śmiałości, dziś ulegał z pewną nawet bojaźliwością malutkiemu, chudziutkiemu bratu swemu, wysuszonemu palestrantowi jakimś, któregoby szczutkiem o ziemię mógł powalić. Jest to dziwne zaiste, ale trafia się nieraz, że siła fizyczna ulega sile moralnej. Tę pomiędzy bracią reprezentował pan cześnik i pan rotmistrz, jakkolwiek tęgi do korda i zgrabny w rycerskich sprawach sam przyznawał niższość swoją przed bratem, w którym podziwiał i szanował wielki rozum, uosobiony w jego wyobrażeniu posiadaniem sporej majątności cum attinentiis, zdobytej przewagą tegoż rozumu. Rotmistrz wróciwszy z wojaczki golutenkim prawie, po kilku latach rozmaitej włóczęgi pomiędzy obcymi, gdzie mu się rozmaicie jak to bywa powodziło, bo to panie i pod wozem i na wozie, postradał wiele w tych ciągłych walkach z trudnościami życia z owej dawnej energii; to też gdy w końcu koniecznością przymuszony dostał się w dom pana brata, stał mu się zupełnie uległym. Ktoby ich nie znał, a nagle przypatrzył się obopólnemu ich pozyciu, nie uwierzyłby, że to są bracia — tak jeden ulegał, a drugi tej uległości nadużywał.

Pocziwy rotmistrz, a że był pocziwym, to dosyć było popatrzyć na jego twarz otwartą, z temi jasnymi oczami, przez które każdy mógł zajrzeć aż do głębi prawego serca, jakie biło w łonie starego wojaka; pocziwy tedy rotmistrz miał rozmaite nawyczki, jakie nabył przez ciąg życia swego; przybywszy do brata wszystkiego się wyrzec musiał, bo z uległością pana Stanisława rosły despotyczne chętki pana Ignacego, który chciał mieć brata zupełnie podległego wszelkim fantazjom swoim, a jako stary kawaler miał ich podstatkiem. Z początku chciał rotmistrz walczyć nieco, porzucić nawet dość despotycznego brata, ale jakiż opór nie zwalczy żelazne konieczności jarzmo. Stary już, bo był starszym od pana Ignacego, styraną wojaczką, a więcej jeszcze położeniem swoim i mnogimi zapasami z tem codziennem życiem, cóż miał robić; oto pomodlił się, westchnął nieraz do Pana i Stworzyciela, do najświętszej Panny, której wizerunek na blasze nosił na piersiach swoich i pozostał w braterskim domu na łasce. Oj! to na łasce!... smutne słowo, smutnem dawniej bywało, jak i dzisiaj, gdy je komu do siebie zastosować wypadnie z kolei.

Najtrudniej przyszło rotmistrzowi odzwyczaić się od gadulstwa, do którego miał wielki pochop, już to zwykle jako człowiek stary, już to jako bywały wojak, który ma tyle do rozpowiadania, a do gawędki przyzwyczaił się przy obozowem ognisku. Lecz rady nie było, bo jeżeli pan Stanisław chciał opowiadać, jak to bywało pod Wiedniem, albo pod Parkanami, pan Ignacy, może to już taki był narów familijny, lubiał szeroko a długo rozwodzić się nad dziejami trybunałów, przy których figurował, klientów spraw, jakie przebył bądź jako mecenas broniący, bądź jako gromiący przeciwnik.

I dla tego to rotmistrz tak lubił wydrapać się na wieżę pana

starosty, bo tam biedak przynajmniej, wlaższy między stare zbroje, jakby między starych znajomych druhów i towarzyszy, których się przeżyło, tam sobie pozwał. Chodząc pomiędzy zbroje, dotykając ich, przypatrując się temu lub owemu orężowi, wracał stary rotmistrz do swojej przeszłości tak cudownie pięknej, i tam się rozgała aż miło, nie tylko myślami i marzeniem, ale i słowami. Bo gadulstwo to jakby słabość jaka, co musi gwałtem wysypką wybiedz na skórę; choremu wpędź wysypkę nazad, a zaśnie może śmiertelnie; gadule nie daj się wygadać, to gotowe go połknięte zadusić słowa. Chodząc więc od zbroi do zbroi, rozповідаł głośno pan Stanisław, co kiedykolwiek sam i jego wojenni przebyli towarzysze; przed nimi jak przed przyjaciółmi skarżył się na te wszystkie drobne zaprawdę ale dotkliwe przykrości jakie znosić musi. I jakoś mu lżej było na sercu, gdy się tam na górze wygadał; słowami wewnętrzny wyrzucił niepokój, a oczami przez okna w daleką patrzącą okolicę wszystką swą tęsknicę za burzliwą przeszłością. Bo choć dobrze już stary, ale tyle w sobie czuł sił fizycznych, że chętnieby dziś jeszcze dosiadł konia, odział się w ciężką zbroję, i wyruszył tam het na szerokie pole poharcować z niewiernym Turkiem lub Tatarem.

— Hej! hej! — kończył zwykle swoje podumanki i pogadanki, zwrócony do niemych słuchaczy swoich. — Gdzie to te czasy, kiedy człowiek gonił na ostre z wrogiem, i świat niemal cały przewędrował z wielkim naszym królem Janem. Oj! żyło się, żyło!... a dziś pożał się Boże!... tfu! — Splunął, westchnął i wracał na dół, pokorniu-tenki dla brata.

I teraz gdy pan brat gniewnie przyskoczył do niego, wnet pierzchnęły dumne obrazy, jakie przyniósł z sobą z góry, a pozostała codzienna pokora.

— Przepraszam pana brata, ale patrząc z góry przez okno...

— Za gawronami, co się po powietrzu uwijają. Ot próżniactwo mosanie!...

— Zobaczyłem kurz na drodze...

— Res magni momenti!... to pewnie Franek trzodę pędzi.

— Mnie się zdaje, że to goście!...

— A toż po co? — zawołał pan cześnik, który niekoniecznie lubił gości, choć gdy już przyjechali, mimo skapstwa swego, obyczajowi powszechnemu gościnności w niczem nie uchybiał. Waśc jesteś zawsze ptakiem mali ominis.

— Ja myślę, że to pan stolnikiewicz Wroński.

— I cieszysz się?...

— A przecież pan brat wie! — zawołał rotmistrz z naiwnem podziwieniem, że on tu jeździ nie bez pewnych myśli.

— Którym waśc sprzyjasz! equalis equali gaudet; jeden i drugi hołysz...

— Stolnikiewicz przecież ma wioskę, i sam pan brat dawał się już nakłaniać...

— Ot bredzisz!... Si taciisses sapiens mansisses!...

Rotmistrz, choć go język świerzbiał, kiwnął tylko głową i nie odpowiedział na braterską sentencję. W tej chwili otworzyły się

drzwi pomału i nieśmiało, i wejrzała przez nie główka tak śliczna, jakby malowanego aniolka jakiego. Na widok tej twarzyczki zająśniała twarz rotmistrza błogim takiej radości i takiego uczucia uśmiechem, że aż zdał się odmłodzić i wypięknąć. Ba nawet i na pergaminowej pana cześnika twarzy odbił się wyraz przyjaźniejszy, a jego małe świdrowate i ostro patrzące oczy jakoś się udobrochały słodsze niż zwykle spojrzeniem. Za twarzyczką wsunęła się i postać dziewczyna, wysmukła, pełna wiosnianego uroku. Spojrzała na obu mężczyzn, śmiejąc się na rotmistrza, bojaźliwej na cześnika, zarumieniła się jak najrumieńsza wiśnia, i stanęła w milczeniu.

— Chodź bliżej! — przemówił stary wojak głosem tak czułym, że aż za serce chwycił.

— Co nam przynosisz? — przemówił cześnik głosem także zmienionym, bo z piskliwego przechodził w śpiewający dyszkant.

Dziewczyna jeszcze więcej zarumieniła się, oczy to wzniosła, to znów ku ziemi spuściła, a na usteczka małe do pączka róży podobne wystąpił tak lekki luby uśmieszek, że nie można było bez uczucia patrzeć na to śliczne stworzenie boskie. Było to prawdziwe polskie dziewczę, bo i wdzięków i niewinności i naiwnej prostoty. Białe to było jak mleko, a krasne rumieńcem zdrowia na licu, jak pierwsza zorza na niebie; a nosek delikatnie zakrojony, tak jakoś odważnie i figlarnie a z lekka w górę się podnosił, a na oczki prawdziwe fioletki wiosenne, tak cudownie spadały ciemne i długie rzęsy, a nad białem jak śnieg czołem wznosiło się takie bogactwo ciemnych i lśniących włosów, że trzeba było nie mieć oczów, by nie podziwiać tej żywej piękności, nie mieć serca, by w niem coś nie zadrżało na ten uroczy widok.

Obaj starszycy coraz czulej spoglądali na śliczną dziewczynę, która była rzeczywiście tem jednym, ale silnem ogniwem, co łączyło ich obydwu, mimo całej położenia i usposobień sprzeczności. To była Hanna, jedynaczka pana rotmistrza, o której słyszeliśmy już z ust pana Piotra Wrońskiego. Dla niej to stary rotmistrz zaparł się rogątej duszy wojackiej, a przybrał pokorę na siebie. W późniejszym już ożeniwszy się wieku, stracił kilkoro dzieci i drogą żonę. Ta mu jedna pozostała całym skarbem, całą pociechą, wszystkim w życiu, bo na nią patrząc i przeszłość puszczał w niepamięć, i teraźniejszość obojętnie puszczał, i wszelkie na niej pokładał plany i nadzieje. Dla niej to starszy brat ulegał młodszemu, żołnierz prawnikowi, bo młodszy brat bezdzietny kawaler miał majątek, a rotmistrz dla córki dałby sobie ostatnią kroplę krwi wypuścić, byle dla niej wyczarować z tej kropelki jaką przyjemność. On nawet chętnie uznał wyższość brata; wszakże ten brat ma majątek, którym chce obdarzyć synowicę; mimo gderliwości cześnika, której pan Stanisław był najeczęściej ofiarą, rotmistrz czuł w sercu rodzaj wdzięczności dla brata za to, że umiał dorobić się majątku, nie ożenił się i nie ma dzieci.

— Poczcwiy Ignaś! co ma, to dla mojej córki! — odzywało mu się serce przy każdej nowej brata gderaninie.

Dla niej nareszcie i pan Ignacy nieraz wstrzymywał się od wybuchów swego żółciowego humoru, i za żadne skarby świata nie

byłby się rozstał z bratem, choć go nieraz hołyszem i darmożjadem nazywał. Pomału ani wiedział, jakim sposobem tak mu się dziewczeczka wśliznęła w serce, że cześnik nie byłby dnia jednego wytrzymał, gdyby mu w nim zabrakło szczebiocącego bratanicy głosu. Przykry dla wszystkich, dla niej jednej był słodszy niż zwykle, i w duszy się cieszył, że ma majątek, którym może drogą bratanicę po swojemu uszczęśliwić. — Głupiec! — myślał nieraz o bracie — zkad on do takiej przyszedł córki. — A przecież za tę właśnie córkę kochał go w duszy i szanował choć trochę, bo bał się, by mu kiedy z dziewczyną razem z domu nie umknął.

— Co powiesz Haniu serce?... —

— Co powiesz Hanko? — powtórzyli pytanie ojciec i stryj.

Dziewczynka znowu podniosła oczy i wyrzekła wreszcie nie bez silniejszego zarumienienia:

— Goście przyjechali!...

Cześnik nic nie odpowiedział, ale skrzywił się.

— Stolnikiewicz pewnie! — przemówił zato rotmistrz wesoło.

Obaj kochali piękną dziewczynkę, obaj wiedzieli, choć się stolnikiewicz nie oświadczył, że jeździ w celu starania się o rękę panny rotmistrzówny, dla której byłby ze wszech miar stosownym konkurentem. Ale wielka była różnica w obydwóch uczuciach. Ojca uczucie mniej było egoistyczne; cieszył się nawet, choć się musiał rozłączyć z córką, miarkując, że pan Piotr zdoła być dobrym i kochającym mężem. Przywiązanie stryja było zupełnie egoistyczne; nie cierpiał stolnikiewicza, bał się bowiem, że mu lube dziewczę z domu zabierze. A Hanna?... jakież jej w tem uczucia, wnet się dowiemy.

— Nie tylko pan stolnikiewicz! — odrzekła po chwili, schylając ku ziemi zawstydzoną główkę. Jeszcze ktoś drugi!...

— Czy młody? — zapytał cześnik z złośliwą radością; bo młody mógłby osadzić stolnikiewicza, a więc zyskałoby się choć na czasie.

— Nie wiem! — odrzekła dziewczynka, i spłonęła karmazynem. Bo choć od dziecka kłamstwem się brzydziła, tym razem minęła się z prawdą; ale jakże tu przyznać przed ojcem i stryjem, że ten drugi nieznajomy wydał się jej nie tylko młodszym, ale i piękniejszym od stolnikiewicza.

Stryjaszek jeszcze się złośliwiej uśmiechnął, a ojciec nie mógł już dłużej wytrzymać. Mimo całego respektu dla pana brata, przyskoczył do Hani i przycisnąwszy ją serdecznie do łona, ucałował białe dziewczyny czoło. I wszyscy razem poszli do bawialnej izby, aby przyjąć przybyłych gości.

Naprzód weszli panowie sami, Pan Piotr Wroński przedstawił obu gospodarzom sąsiada swego i przyjaciela pana Jana Magnuszewskiego.

— A znałem moci dodzieju! — ozwał się pan Ignacy — ś.p. pana Franciszka Magnuszewskiego, który wraz ze mną atentował sprawę pana wojewody Malborskiego.

— Był to stryj mój — odpowiedział pan Jan.

— I był bezdzietny si non fallor.

— Nigdy się nie żenił.

— To się nam moci dodzieju trafia często; przy trybunale multissimos casus matrimoniales poznać można — odpowiedział pan exmenas z uśmiechem, który miał niby być żartobliwy.

— Stryjaszek dobrodziej, o ile pamięcią zasięgnąć mogę, był wcale majątny i posesionatus w ziemi krakowskiej.

— Tak jest rzeczywiście; ja wziąłem po nim sukcesję...

W tej chwili weszła Hanna. Pan Piotr poczerwieniał i ledwie ze skóry nie wyskoczył na widok ślicznej dziewczyny, lecz musiał poprzestać na ceremonjalnym ukłonie.

I pan Jan spojrzał na dziewczynę raz i drugi, z coraz większem zadziwieniem. Sam przed sobą przyznać musiał, że nawet na tej pięknej a klasycznej ziemi włoskiej nie piękniejszego nie widział. Coraz też więcej patrzył na nią, a oczy jego ciemne puszczały iskry, które dziewczynę młodą i niedoświadczoną prawdziwie jakby żarem posypały. Patrzała z pod oka na obu młodzieńców, jakby ich porównać chciała. I sama pojąć nie może, dla czego się jej Piotr mniej przystojnym wydaje, jak pierwiej. Zaczerwieniona po uszy, z oczkami niby spuszczone, siedzi biedaczka jak trusia, bo się panience odzywać nie godzi; a choćby się godziło, to pytanie dopiero — czyby się zdołała zdobyć na słówko jakie? Ale niemniej przeto serce bije w łonie, a myśli jak ptaszęta latają po głowie; i serce coraz gwałtowniej puka, a w główce coraz jakoś gwarniej niestychane jakieś tłumią się myśli. Dziwna rzecz, bywało dawniej, jak przyjeździe pan Piotr, jakoś spokojnie było i w główce i w serduszk. Hanna lubiła nawet pana Piotra, i choć to w owych czasach głowy i serca dziewczę nie były przemądrzałe i zarażone romansami, o których się żadnej nie śniło, miarkowała przecie, że pan Piotr jakoś inaczej patrzy na nią, niż inni jej znajomi, i nieraz naturalnie pomyślała sobie trochę z westchnieniem a trochę bez westchnienia.

— Ha! jeżeli już taka będzie wola Boga, ojca i stryjaszka; posłuszną być należy. — A z resztą — dodawało cichym głosem serduszek — przystojny chłopak z pana Piotra i przyzwoity i dobroć patrzy mu z oczów tak jasnych, jak to niebo na górze pogodne.

Dla czegoż dzisiaj wszystko zupełnie się jej inaczej wydało. Bo dzień dniowi nie równy, myśli się zmieniają, a cóż zmienniejszego jak serce kobiece: niech się schowa dzień kwietniowy — Co za oczy! o mój Boże! drżało dziewczęce w głowie, a bolało aż w sercu. Ależ bo pan Piotr antiquo more, jako prawdziwie skromny młodzieniec, nie wiele mówi, a co powie, to Hanna już nieraz słyszała, ba na pamięć umie i mogłaby mu powtórzyć.

Pan Jan co innego. Jak z oczów spojrzenia, tak ze ślicznych ustek rumianych, z pod tych czarnych wąsików tak ładnych i delikatnych a nie tak przecie sumiastych jak one dwie miotły na twarzy pana Piotra, syją się słowa nowe, dotąd przez dziewczynę nie słyszane, a tak jakoś wyraziste, że każda zda się trafiać i do główki i do serduszka. Rozповіда o podróżach swoich, o pobycie za granicą takie rzeczy ciekawe; a opisy jego tak są żywe i gorące, jakby

przesiąkły onem słońcem skwarnem południowych stref. Jakże tu nie słuchać całemi uszami, kiedy dziewczica przyzwoitość nie pozwala całemi patrzeć oczami. Ciekawość to podobno od wieków najniebezpieczniejszy dla niewiast szkopuł, a i ów wąż w raju, był to podróżny podobno przybysz, który miał wiele do rozpowiedzenia o rzeczach, co się za rajem dzieją. Gdyby nie ta ciekawość, Ewa nie byłaby ukąsiła w mądre jabłko; my bylibyśmy nieco głupszy, ale za to szczęśliwsi może, bo w raju, za którym darmo wdychamy, darmo go po całym świecie szukamy.

Rozmowa rzeczywiście była ożywioną. Z początku rozmawiano o rzeczach potocznych; trochę o gospodarce, o pogodzie, o rozmaitych stosunkach rodzinnych, o których pan Ignacy lubił rozprawiać, bo jako dawny pieniaka, znał pół kraju najmniej, wiedział o wszelkich związkach, kto kogo rodzi, jakimi zaszczyca się kolligacjami i jakimi pieczętuje herbami. Lecz gdy się ta materja wyczerpała, pan Jan Magnuszewski pomалу rozmowę sprowadził na swoje podróże, o których umiał rozmawiać.

— Expedyte moci dodzieju, znasz waś Włochy! — powiedział pan Ignacy kilka razy. — A mądry to kraj, bo to Rzym moci dodzieju, to kolebka wszelkiego prawodawstwa. Panie! niema nad Pandekta i Justiniana codex, to rozum; a co za pole do prawdziwej wymowy trybunalskiej, jak to się moci dodzieju praktykowało.

— Rzymianie pono nie tylko się prawowali, — ozwał się rotmistrz nieśmiało — ale i do szabli tędzy bywali.

— U waści tylko szabla! — przerwał z niesmakiem — dobrać to rzecz ta szabla, ale to rany rozdaje...

— Ale to polska i szlachecka rzecz! — zawołał Magnuszewski pięknym i tak śpiewnym głosem, jakby go sobie wyrobił w tej śpiewów i harmonji ojczyźnie, w której lat kilka przepędził.

Pan Piotr to samo pomyślał, ale gdzieżby się zdobył na tyle odwagi, by myśl swą wymówić. Nie mógł wszakże wytrzymać, aby choć nie potwierdzić zdania kolegi.

— Rzeczywiście szabla to rzecz nasza! — rzekł z zapałem.

Szkoda było gęby. Myśl się ta podobała dziewczynie, bo szabla znajdzie zawsze odgłos w sercu polskiej niewiasty, ale podobała się tylko w oryginalnem wydaniu. Drugie wydanie, jeżeli je nawet zastała, wydało się jej mdłą kopią. Tak to rzeczy idą na tym świecie, i tak poszły obu kawalerom. Nie zawsze zwycięża prawdziwa zasługa; nieco od szczęścia zależy, a wiele więcej od zuchwałej śmiałości.

Późno już było, konie przyczepione u słupa, co stał na dziedzińcu, rżały czas nie mały niecierpliwie, zanim odjechali nasi kawalerowie.

— To mi człowiek moci dodzieju! bywały widać, a rozprawia jak z księgi — powiedział pan Ignacy.

— Nadto miele mi gębą!... ozwał się pan Stanisław — a więcej tam otrębów niż maki.

— Zapewne najlepiej mrukiem siedzieć, jak ten waścin stolnikiewicz, który gęby podobno nie otworzył.

— Nieśmiały jak na młodzieńca przystało, ale co to za złote serce, panie bracie!

— Że waśc zawsze pleciesz, jak Piekarski na mękach: Co tam serce złote? ale u pana Magnuszewskiego złoto w szkatule, a i starość przecie.

— Tytularny! — mruknął nieśmiało pan rotmistrz nie rad, że mu przesadził stolnikiewicz, który był jego faworytem. Ojcowskiem sercem, choć nie arcymądą i doświadczoną głową, przeczuł serce pocziwe, choć proste i poezją nie przesiąknięte pana Piotra Wrońskiego, i pojął, że z takim mężem córka jego może być prawdziwie szczęśliwą.

A Hanna!... ta po wyjeździe kawalerów poszła do swej dziewczęcej izdebki, której okna wychodziły na ogród, a w nim na kwatere kwiatami przez starego rotmistrza zasadzoną. Usiadła w oknie, ale nie patrzała na te kwiatuszki, co tak cudnie i barwnie pod wieczór wyglądają rosą skłniane; ona patrzała w niebo, po którego błękiecie przesuwwały się lekkie obłoczki ubarwione promieniami zachodzącego słońca; i po raz pierwszy w życiu, obłoczki te przybierały w jej oczach cudowne jakieś kształty, mające tajemnicze znaczenie. Po raz pierwszy chciała odgadnąć to znaczenie i odgadła zapewne, bo choć oko jej rozmarzone błdziło po niebie, rumieniec ziemski zakwitł na dziewczęcej twarzy. Tam na niebie czerwieniło się słońce zachodzące a na Hanny twarzy rumieniła się zorza wschodzących uczuć.

Kawalerowie czas jakiś jechali stępo a w milczeniu: snać obaj zamyśleni. Pan Piotr razy kilka oglądał się za sobą i patrzył póki mógł dojrzeć stary dwór pana cześnika. Pan Jan nie patrzył za siebie; on marzył i dumał, ale już nie o pięknych krajach włoskich. Jemu świeciły przed oczyma owe oczęta; te dwa krasne fijołki skromne ale pełne tajemnego uroku, jakim je każda obdarza wiosna.

— No i cóż Jasiu? — ozwał się pierwszy pan Piotr, gdy już za laskiem znikły mu z oczów kominy cześnikowskiej rezydencji.

— A i cóż?... nic! — odpowiedział Magnuszewski zły, że mu towarzyszył próżnem słowem lubie przerwał marzenia.

— Prawda że śliczna! — rzekł znowu Pan Piotr.

— I cóż tobie z tego? — odpowiedział Magnuszewski i nie mógł powstrzymać szyderczego przycisku.

— Nie rozumiem ciebie Jasiu? — mówił Wroński trochę zadziwiony.

— Bo ona ciebie nie kocha! — zawołał pan Jan, zaśmiał się i puścił konia z kopyta.

A więc i Wroński puścił się wraz za nim; oba gonili szalonym pędem, ale nie mogli przecie przegonić raz rozbudzonych myśli i uczuć. Magnuszewski nie mógł zataić przed sobą, że mu dziewczyna podobiała się bardzo; a Wrońskiemu latały ciągle po głowie te złowrogie przez przyjaciela wyrzeczone słowa: „Ona ciebie nie kocha!“ I przychodziło mu na myśl na poparcie tych słów całe dzisiejsze przyjęcie; lecz nie śmiał nawet spytać o wytłumaczenie tych słów całe

dzisiejsze przyjęcie. Lecz nie śmiał nawet spytać go o wytłumaczenie tych słów, bo bał się przekonać o tem, czego sobie dusznie nie życzył.

Milcząc jechali dalej i milcząc rozjechali się każdy do swego dworu.

Od tej chwili pan Jan Magnuszewski coraz częściej bywał gościem w domu pana Boskiego i coraz miłszym dla cześnika i rotmistrzówny. Zdybywali się tam nie raz z Wrońskim, który codzień smutniejszy, codzień nieśmielszy, ani myślał już o oświadczeniu się; widząc jak go panna codzień zimniej przyjmuje. Jeden rotmistrz pocieszał go stałą przyjaźnią swoją, ale jak wiemy, rotmistrz nie wiele znaczył w domu braterskim i nie śmiał nawet wystąpić ze zdaniem swoim przed cześnikiem, który Wrońskiemu coraz kwaśniejszą okazywał minę, a za to coraz słodziej przyjmował Magnuszewskiego.

Ten zaś pokochał Hannę na prawdę, z całą siłą swojego namiętnego usposobienia. Wprawdzie odzywał się w nim głos niejako sumienia, wyrzucający mu, że zdradza przyjaciela, który mu się zwierzył, i który go przecie uprzedził w domu Boskich. Lecz co znaczy głos obowiązku naprzeciw głosowi rozbudzonej namiętności, a jeszcze w człowieku, który z natury był gorączką, popędliwym i niepohamowanym? A przykłady, jakie widział nie raz za granicą, zmniejszały winę jego w własnem wyobrażeniu i tłumaczyły to postępowanie, o którym coś mu tam ciągle w duszy gadało, że może być włoskie, ale nie polskie zaiste. Najlepszym dowodem, że wewnątrz sam siebie potępiał, było to, że się krył z uczuciami swemi przed przyjacielem, a nawet w obec niego, gdy się u cześnika zdybali, pilnował więcej i słów i spojrzeń swoich. To też jak to bywa zwykle, najwięcej interesowany wiedział najmniej. Skarżył się nawet przed Magnuszewskim na zimne z nim obęjście się panny i stryja.

— Zostaw to czasowi! — odpowiedział mu pan Jan.

— Dobrze tobie mówić! ale ja widzę, że codzień gorzej.

— Ha cóż robić! humor kobiet zmienny: istny kwiecień! —

Temi sposobami bałamucił niejako przyjaciela, który też odwlekał od dnia do dnia swoje oświadczenia, codzień mniej mając nadziei.

A Hanna!... ta nie mogła dać sobie rady z swoim serduszkciem, które tak żywo biło za każdym razem, gdy przyjechał Magnuszewski, a z twarzą rada by się pod ziemię schować, takim płonąła wstydem, byle tylko oczy zostawić, aby niemi choć ukradkiem spoglądać na chłopca tak ślicznego, że już wedle niej ładniejszego nie było na świecie. Czula i wyrzuty sumienia, gdy patrzyła na smutną twarz Wrońskiego; bo chociaż nic mu nigdy nie przyrzekała, ale nie mogła tego sama przed sobą zataić, że dawniej daleko była grzeczniejszą dla niego. I więcej nawet, nieraz gdy w samotności rozmyślała o położeniu swoim, o ile kochająca dziewczyna rozmyślać jest w stanie, przyznawała Piotrowi wszelkie zalety, i prawie dziwiła się sama sobie, dla czego mogła przenieść innego. Ojciec burczał ją nieraz:

— Coż robić kochany tatko! — odpowiadała dziewczyna z płaczem prawie. — Kiedy ja go nie kocham.

— Głupia dziewczka! — mruczał zły pod nosem, i coraz częściej uciekał do wieży starosty, i mścił się na starych zbrojach i orężach, któremi ciskał niecierpliwie.

Cześnik był najszcześliwszy; bo im dłużej taka trwać będzie niepewność, tem dłużej zostanie w domu szczerze przez niego ukochana synowica. Na każdy zaś wypadek był zdeterminowany oddać ją Magnuszewskiemu, w którym cenił światowość i większy majątek, dwie te pozorne zalety, które eks-mecenasowi imponowały całe życie. A że zwyczajnie jak jurysta miał nie mały popęd do złośliwości, nie mógł wytrzymać, by rozmaitemi sposobami nie okazać biednemu Wrońskiemu swojej niechęci, o ile to tylko godzić się mogło z gościnnością, która wówczas była nadto narodową cnotą, by się niej mógł cześnik wyprzeć zupełnie. I tak razu jednego, było to pod jesień, czy umyślnie czy przypadkiem dano na stół harbuza, do którego złośliwie cześnik namawiał biednego młodzieńca.

— Waś podobno lubisz harbuza! — powtarzał nie zważając na błagalny wzrok Hanny zarumienionej po uszy i na sapanie i rwanie wąsów rozgniewanego rotmistrza.

Po obiedzie odjechał Wroński rozżalony do żywego, i czwalem pogonił do przyjaciela, któremu wszystko opowiedział.

— Nic to! — ozwał się tenże na to z nieszczerą dwuznacznością — wszak się dotąd nie oświadczyłeś, więc harbuz żadnego niema znaczenia. A zresztą — dodawał z hipokryzją — wszak ty ją tak bardzo nie kochasz!...

— Zapewne! — odpowiedział Wroński i odjechał do domu, a po drodze i w domu szumiało mu w uszach — Oj co kocham to kocham! Ale od tej chwili coraz rzadziej odwiedzał cześnika.

Łatwo odgadnąć, jaki koniec być musiał. Magnuszewski oświadczył się i został przyjęty jakoś po św. Michale, a po nowym roku Hanna została jego żoną. Wroński dowiedział się ostatni o oświadczeniu przyjaciela, i to od obcego zupełnie człowieka. Przykro mu się serdecznie zrobiło, ale by rozpaczał bez miary, tego nie powiemy, bo romantyczne rozpacz nie były jeszcze w onym czasie weszły u nas w zwyczaj. Ani też pojedynkował się z współzawodnikiem, bo i pojedynki z powodów romantycznych, nie były się jeszcze u nas tak bujnie rozpleniły, jak to później nastąpiło. Wroński nadto był szlachetny, by się mścić za to, i mścić na kim? oczywiście na Hannie!...

Ona go kocha! szeptało mu pocziwe serce. Tyle tylko było jego zemsty, że unikał Magnuszewskiego; a gdy go przypadkiem zdybał, patrzył na niego jakby na nieznajomego.

— Mam słuszny powód nienawidzenia go — mówił nieraz do rotmistrza, gdy się z nim w Czersku lub gdzieindziej zdybał. — To też nie chcę póki żyje, nie mieć z nim wspólnego, ani grobu nawet. I niech mi nie włązi w drogę! powiedz mu to panie rotmistrzu, bo ja nie Włoch, by zdradzać, ale Polak by rąbać.

III.

W złej czy dobrej dobie czas przemija zawsze i zaciera wszystko prawie tak źle jak i dobre, prócz uraz osobistych, mianowicie między dawnymi przyjaciółmi, które zdaje się z czasem zwiększają się, o tyle właśnie, o ile silną była dawna przyjaźń. I nie nadto naturalniejszego; bo każda uraza między przyjaciółmi tem się z czasem większą wydać musi, im więcej się zmniejsza i rozrywa ta dawna przyjaźń i zażyłość, któraby mogła przemawiać za pogodzeniem i urazę w sercu tłumaczyć. Z każdym dniem rośnie to obopólne oddalenie się, ten rozdział dwóch serc, który sam przez się stając się przykrością, większym jeszcze jadłem napęlnia urażone serca.

Tak się też stało między naszymi bohaterami. W pierwszych czasach choć się nie widywali, ale pomni na dawną zażyłość, więcej doznawali smutku z rozerwania przyjaźnych stosunków, niżeli żalu lub złości do siebie. Pan Piotr czasem tłumaczył pana Jana w pocieiwem sercu, a pan Jan czując się winnym, tłumaczył sobie urazę przyjaciela. Lecz im więcej pamiątka dawnej przyjaźni niknęła, tem większą wydawała się panu Piotrowi winą pana Jana, którą już w sercu nie nie tłumaczyło, a którą duma, obrażona coraz większą wystawiała. Toż samo działo się w sercu i głowie pana Jana; wyrzut sumienia robił mu tem nieznośniejszym wspomnienie dawnego towarzysza, a powoli zapomniawszy własną winę, lub ją sam przed sobą wytłumaczywszy, począł się uważać słusznie urażonym, przez to niesłuszne usunięcie się pana Piotra od niego. Jednem słowem uraza obopólna stała się z czasem nienawiścią. Obaj dawni przyjaciele nie przestawali już na obojętnem milczeniu, ale obwiniając się głośno nawzajem, dawali sobie coraz nowe powody do złości na siebie, poduszczani jak zwykle przez bliższych znajomych i przyjaciół, którzy się zaraz skupiają w koło jednego i drugiego w stronnictwo.

Tak rzeczy stały, gdy nowe a ważniejsze zaszły w kraju zdarzenia. Nie jest rzeczą naszego obrazku, opowiadać dzieje owoczesne znane zresztą wszystkim dobrze. Bo któż nie zna owej smutnej epoki, gdy Karol XII. król szwedzki, ów sławny awanturnik w koronie, któremu spokój był nienawistny, postanowił zrzucić z tronu polskiego króla a elektora saskiego Augusta, a natomiast zrobić królem polskim Stanisława Leszczyńskiego. Wybór nie był złym zaiste, bo Leszczyński pełen był cnót prywatnych i zalet nawet monarszych, czego później dowiódł, gdy nawet w dziejach świata zaszczytne zachował miejsce pod nazwiskiem króla filozofa. Lecz najgorszy król nie wynagrodzi wojny domowej, tego ze wszystkich klęsk, jakie naród trapić mogą, największego naszego nieszczęścia. A z wyborem Stanisława Leszczyńskiego, wyborem zrobionym pod wpływem prywatnych nienawiści do dawniej już wybranego króla i zbrojnej interwencji wojska szwedzkiego, musiała nastąpić wojna domowa. Rozbudziły się wszystkie złe chęci, wszystkie złości i zawziątki prywatne, wszystkie zadawniałe kłótnie, nienawiści i pretensje ro-

dzinne; jednym słowem poruszone zostały wszystkie męty, jakie zawsze być muszą w każdym składzie społecznym. Obce wojska stały się narzędziem nienawiści i zemsty prywatnej. Obywatele rozdzieleni w zdaniach swych, trzymając się to jednej lub drugiej strony, korzystali z tego powszechnego zamieszania i używali wojsk obcych, aby nienawistne sobie włości i domy pod pozorem, że do przeciwnego należą stronnictwa, skazywać na rabunki i pożogi. A i same wojska obce tak szwedzi jak i sasi, wojując owoczesnym zwyczajem, który głównie na rabunku polegał, łupili i niszczyli na wyścigi okropnie. Szwedzi gdzie byli mocniejsi, napadali stronników Augusta, pałac i mordując; a gdy nastąpili na ich miejsce Sasi, mścili się sowiec nie przebacząc przyjacielom Stanisława. Wojna domowa prócz tego ma to jeszcze w sobie najgorszego, że rozbudza wszystkie najgorsze namiętności, i przez to samo przyprowadza walczących do zawziętości niesłychanej w każdej innej walce, zawziętości tem karygodniejszej, że to synowie jednej matki, bratobójczą prowadząc walkę, krew własną wylewając i popełniają niezaprzeczenie rodzaj samobójstwa, które się takiem prędzej czy później okaże. Najsmutniejszy tego corzekliśmy przykład podać mogą własne nasze dzieje, w których domowe niesnaski tak obszerne a w smutne następstwa bogate zajmują miejsce.

Lecz wracajmy do naszych bohaterów. Łatwo pojąć, że pan Jan i pan Piotr, choćby ich inne ważniejsze nie wiodły powody, przez samą już prywatę, w przeciwnych stanęli obozach. Magnuszewski pierwszy oświadczył się za królem Augustem, do czego przyłożył się może najwięcej względy, jakich rzeczywiście doznawał u dworu; a potem jako człowiek majątny, żonaty, ojciec rodziny, wołał się trzymać tego co jest, niżeli puszczać się na niepewne hazardy. I stał się tak gorliwym stronnikiem Augusta, że w naturalnej każdego konserwatyzmu konsekwencji, zbrojno nawet wystąpił, by utrzymać Sasa.

— To mu Bóg poddał tę myśl — zawołał pan Wroński, gdy się o tem dowiedział. — O kobietę nie mogłem, ale o tron to możemy się zdybać w walce z sobą. — I zaiskrzyły mu się oczy, gdy w chwili zapału dobył szabli i przejrzał się w polerowanej stali, która mu błyskawicą na łyskawicę spojrzeń odpowiedziała.

— A potem co Piast to Piast mospańie! — potakiwał mu rotmistrz Boski, który swoją własną wenerację dla Sobieskiego przeniósł na Leszczyńskiego, a Augustowi tego nigdy nie mógł zapomnieć, że wyrugował Sobieskich ród z tronu im należącego. — Niegodziwy szwab nie znam go — krzyczał teraz głośno pan Stanisław Boski, bo prócz zmian politycznych wiele także zmieniło się w prywatnych stosunkach jego.

Zaraz z samego początku, gdy się zabierało na wojnę domową, pan Ignacy mocno się zgryzł i przestraszył.

— Kłócić się to rozumiem! — mówił nieraz — ale bić się, to oczywiste głupstwo. — Jako prawnik nie lubił krwawych rozpraw, chyba prywatnych, mogących dać assumpt do pieniacstwa. — Arma togae! powinny ustępować, utrzymywał zawsze. A co go najwięcej bolało, to że się ta wojna przysuwała coraz bliżej do jego okolicy. Jako

człek skąpy i chciwy bał się utracić majątek, który cenił nad wszystko. Dosyć że tak się zgryzł i przestraszył, że wkrótce obłożnie zanie-mógł. Słabym już będąc, codzień się do tego gniewał na brata, który choć gębą, nie mogąc czem innem, promował Piasta. Dosyć, że się zółć rozlała, i nie chcąc się przez skąpstwo radzić żadnego cyru-lika, jak wszystkich doktorów nazywał, coraz było mu gorzej. Po kilkunastu dniach słabości umarł, nie zostawiwszy, co wszystkich mocno zdziwiło, żadnej pisanej woli ostatniej. Rotmistrz wziął po nim ma-jątek. Pochowawszy go należycie, zdawało się rotmistrzowi, że już wszystko dlań uczynił, co uczynić należało; w wielkie wszakże nie wdawał się żale, ile że się nigdy bardzo nie kochali i czas nie był po temu.

— Niech sobie w Bogu spoczywa! — mówił do Wrońskiego, którego ze wszystkich najserdeczniej kochał. — Dla niego mospanie i lepiej. Tam mu spokojnie, a tuby się ciągle gryzł, bo to mospanie czasy wojenne nastały; to nie dla jurystów i kauzyperdów.

Pierwszem zaś dziełem samowoli pana rotmistrza było, że owe ulubione zbroje i oręż z wieży starosty na dół znieść kazał, i naj-piękniejszą salę w nie ubrał.

— Jabym rotmistrzowi radził, aby się do niczego nie mieszał — mówił pan Piotr.

— Panie Piotrze, ja cię kocham, boś pocziwy chłopiec, ale rozum mam własny, i jak tylko wszystko będzie gotowe, i konie, i rzędy i ludzie, to się przyłączę do partji króla Stanisława!

— To jest do Szwedów! — przerwał pan Piotr z gorzkim uśmiechem.

— Patrzaj go mospanie! — a waśczę co lepszego robisz?... z tą różnicą, że ja jeszcze nie miałem czasu i nie mogłem za życia nieboszczyka, a waśc mospanie już tam uganiałeś i wojowałeś.

— Uganiałem i wojowałem kochany rotmistrzu — odpowiedział z smutnym przyciskiem. — Wojowałem, bo miałem nadzieję zdybać się...

— A z tym Włochem, paniczem!...

— Jest przecie mężem córki waszej! — mówił Wroński coraz smutniej.

— Bo głupia! ja temu nie winien, ja jej mospanie zawsze mówiłem: idź za Wrońskiego...

— Tamtego kochała!...

— Rzucił na nią jakieś włoskie uroki. Ale dobrze jej tak; cierpi za swoje...

— Cierpi? — zawołał pan Piotr — wszak żyją z sobą bardzo dobrze...

— Ot dla oka ludzkiego... Ale paniczowi dom, żona i dzieci nie w głowie; jemu mospanie państwo w głowie i ambicja — jemu się roi kasztelanja, wojewódzkie krzesło, ot próżny i dumny człowiek! zwyczajnie za granicą chowany...

— Ale jest waleczny przynajmniej! Wszyscy mówią, że się bije tego...

— A przecie nigdzie go nie zdybałeś...

— Nigdzie! — wykrzakał pan Piotr, i oczy jego zaiskrzyły się dawnym gniewu zapałem. — Tak Bóg chciał — mówił dalej — a może jeszcze go zdybię... to moja rzecz; ale wy rotmistrzu nie występujcie naprzeciw własnej córce...

— Właśnie ja za nią występuję; ona zawsze tam sama jedna, nudzi się i tęskni!... Razem go poszukamy, a damy mu przecie radę... no a jak już takie przeznaczenie panie Piotrze... ja mam majątek — wdówka będzie jeszcze młoda!...

— Panie rotmistrzu! nie mów takich słów, bym do reszty nie zmierzył sobie tej okropnej wojny...

— Bo to za Piastem przecie...

— Ale wojny domowej zawsze...

— Nie długo mosanie trwać będzie...

W tej chwili wszedł dworzanin pana rotmistrza i przyniósł list jakiś.

— Posłaniec od państwa starościców! — rzekł oddając.

Był to list od pani Hanny Magnuszewskiej, donoszący o smutnem wydarzeniu. Jan Magnuszewski, mocno dosyć ranny pod Klissowem, leży w domu. Biedna kobieta sama jedna wzywała ojca, aby przyjechał do niej.

— A co nie mówiłem; już ranny! — ozwał się rotmistrz, podając przyjacielowi list córki.

— Ranny! — zawołał pan Piotr, i w pierwszej chwili nie zdołał przytłumić błyskawicy, co mu z oka wystrzeliła; lecz wnet opamiętał się, zamyślił i posmutniał.

— Biedna Hanna! — ozwało mu się z cicha pocziwe serce.

— Pan rotmistrz pojedzie do córki? — zapytał po chwili.

— A gdzież ja mogę jechać; oni tam sobie dadzą rady; jak sobie posłała, niech się i wyspi. Zresztą może z dziećmi do mnie przyjechać, bo wiesz przecie, że mamy zjeżdżać się na sejmiki, celem uznania króla Stanisława.

— Z woli i rozkazu jenerała szwedzkiego Steinboka! — dodał Wroński coraz smutniejszy, bo coraz mniej zadowolony ze sprawy publicznej

Na tem skończyła się tym razem rozmowa, bo pan Piotr wrócił do siebie, a rotmistrz odpisawszy córce, by do niego z dziećmi przyjechała, uwijał się ciągle z przygotowaniami na wyprawę tak sejmikową jako i wojenną. Stary chodził i biegał jakby tuman prawdziwy, oszołomiony zdarzeniami politycznemi i upity, żeby się tak wyrazić, wolnością, którą przez śmierć brata po tylu latach niewoli odzyskał.

Zdarzenia tymczasem szły swoją drogą. Wojna domowa wrzała na piękne. Wszystkie wojska skupiały się w okolicy, która naszemu obrazkowi służy za widownię. Wojsko szwedzkie stało obozem pod Czerskiem, dowodzone przez jenerała Steinboka, prawdziwego condotieri owych czasów, który nie znał wojny bez srogości, bez rabunku i pożogi. O mil dziesięć dalej oddziały saskie, które się zbierać zaczęły na nowo po klęsce pod Klissowem, snuły się po kraju, odbywając rodzaj partyzantki. Obywatele okoliczni opanowani szalem

wojny domowej, prawdziwym szatanem, co ich głowy i serca pomącał, latali jak szaleni, ci tu, owi tam, do obozów to saskiego, to szwedzkiego, jedni drugich oskarżając i wywołując okropne dla obu stron wdawanie się wojsk obcych. Pobyt w takiej okolicy nie był bardzo bezpieczny, czy dla stronników Augusta, czy dla przyjaciół Stanisława; ci ostatni wszakże chwilowo byli górą, były bowiem liczniejsze a bitniejsze zastępy szwedzkie.

I to było zapewne powodem, że nagle przed starą rezydencję cześnika, dziś przerobioną przez rotmistrza na rodzaj forteczki, zajeżdżała kolasa i bryk parę, i z niemałym zadziwieniem rotmistrza, a większą jeszcze radością, wysiadła córka z trojgiem drobnych dzieci. Biedna Hanna bardzo była zmieniona; zawsze piękna jeszcze, ale w oczach przyćmionych znać było smutek jakiś, znać było łzy częste, te wrogi najzawziętsze kobiecej piękności. Hanna nie była tak szczęśliwa, jak sobie roiła w dziewiczej duszy, gdy oślepiona spojrzeniem ognistym pana Jana, z bijącym radością sercem szła do ołtarza. Pan Jan Magnuszewski kochał żonę dotąd, a co więcej szanował ją, poznawszy jej prawdziwie szlachetne i poczciwe usposobienie; ale oczywiście po roku czy dwóch małżeństwa, nie mógł zachować tych przesadnych i romantycznych uczuć, które pobudzone jego ognistym temperamentem i nawyczkami za granicą przybranymi olśniły swym cudnym blaskiem prostoduszną dziewczynę. Ona myślała idąc za pięknego Jasia, że całe życie bujać będzie po tych poetycznych obszarach pełnych cudów i uroku, które jej Magnuszewski przez czas starania się odsłonił, trwoniąc dla przypodobania się dziewczynie wszystkie skarby swojej bogatej wyobraźni, pod włoskiem niebem wybijając i włoskimi pieśniami karmionej. Kobieta zaś, gdy raz wejdzie na tę drogę złudzeń, ku której i tak ciągnie ją jej usposobienie, już z niej zejść nie potrafi, i w prozie koniecznej życia stratę poetycznych złudzeń oplakuje, jakby stratę wszelkiego już dobra, wszelkiego szczęścia. Dla tego Hanna nie czuła się zupełnie szczęśliwą, i nieraz w chwilach samotnych, a takich chwil było coraz więcej, przychodziło biednej na myśl, że stokroć byłaby szczęśliwszą wyszedłszy za mniej pięknego i mniej poetycznego pana Piotra, bo ten nie byłby jej wprawdzie otworzył nieznanego pełnego urojen światła, ale by też był go nie zamknął przed nią, i byłby nie tak może gorąco przez chwil kilka, ale kochał ciągle i bez wszelkiej zmiany. Kochała ona zawsze męża swego i zarzucała sobie chwilowe myśli takie, ale nie mogła nie czuć tego i nie widzieć, że ona niczem jest w życiu męża, którego niespokojne usposobienie i namiętny charakter, nie mogą się wiecznie zajmować jednym ładnem, ale chwilowem tylko cackiem. Zapłakana przyjechała do ojca, bo jej to było przykro w głębi serca, że ją sam mąż wyprawił do ojca. Rozsądek jej mówił, że mąż zrobił to właśnie przez szczere do niej i dzieci przywiązanie.

— Tam będziecie bezpieczniejsi! — mówił do niej na pożegnanie. — Ja wyzdrowieję i sam, a będę o ciebie i o dzieci spokojniejszy.

Ale serce, to serce zepsute przedślubnem rojeniem, nie mogło być zadowolone. Ona wolałaby przebyć najwyższe niebezpieczeństwa, byle widziała, że się mąż bez niej obejść nie może. Rotmistrz ucie-

szyl się widokiem córki, nawet rozculił na godzin kilka, ale wnet wrócił do swoich przygotowań wojennych, któremi prawdziwie jak stare dziecko bawił się ciągle. Widząc smutek córki, mówił jej czasem prosto z mosta :

— Wszystko to przez tego zapalonego Włocha. Ale on podobno mocno ranny. Bóg wie co robi. Zobaczysz pana Piotra, jak on tego wygląda. To mi człowiek, to mi chwata!... i Piasta utrzymuje, nie jakiegos tam Sasa. Zobaczysz go Hanusiu moja! — dodawał z uśmiechem — on ma do mnie dziś-jutro przyjechać.

— Ja go widzieć nie będę — odpowiedziała Hanna poważnie. — Za twojem ojcie pozwoleniem, zostanę w swojej izbie.

— To ci pewnie mąż tak nakazał...

— Nie ojcie! on sam nadto szlachetny, aby nie ufał mojej prawości.

— Róbcie co chcecie!... ja nie mam czasu gadać z babami! — zawołał rotmistrz i wybiegł na dziedziniec, gdzie gwałtem chciał podanych swoich pocziwych Mazurów wy kierować na tęgich kawalerzystów.

Ślusznie Hanna powiedziała, bo panu Janowi ani przez myśl nie przeszło, że może się u ojca zobaczyć z dawnym swoim wielbicielem. Był jak mówiła Hanna zanadto szlachetny, a może czego się sam nie domyślał, za mało już dbały o tę, tak gorąco pierwiej ukochaną Hannę. On był do niej przywiązany jako do matki dzieci swoich, jako do pocziwej kobiety, ale grzechem i nieszczęściem jego żywota była ta namiętna niespokojność jego duszy i umysłu. Życie domowe nie mogło mu wystarczyć, a więc z całą namiętnością rzucił się na burzliwe morze życia publicznego. Ambicja rozbudziła się w nim, ta ambicja, która jest najwytrwalszą namiętnością, bo najwięcej daje żywiołu niespokojnym burzy ciągłej pragnącym umysłom.

Po wyjeździe żony rad był, że ona i dzieci już bezpieczne, ale ani myślał o niej, a może nawet umyślnie się jej pozbył, aby nie zawadzała jego marzeniom, aby lamentem kobiecym nie przeszkadzała cierpiącemu. Leżał na łożu blady i zmęczony cierpieniem, bo mu cyrulik musiał kulę wyjmować z ciała, i marzył niecierpliw o wyzdrowieniu. Utrzymanie Augusta przy tronie, to było marzenie jego ambicji. W ustalonym Sasa tronie, przewidywał wszelkie dla siebie zaszczyty. — Żeby nie ta głupia rana! — mruczał sam do siebie dzień i noc. I krzyczał na cyrulika, krzyczał na dworzan, co koło niego siedzieli, zarzucając im, że go umyślnie w łóżku trzymają. Taki niepokój nie pomógł kuracji, to też przez kilka dni po wyjeździe żony było mu gorzej, o czem dworzanin posłańcami donosił pani swojej. Biedna kobieta gryzła się tem więcej, że jej utyskiwania ojciec przyjmował z pewnym uśmiechem, który ją bolał, jakby wyrzut własnego sumienia.

— Coraz mu gorzej! — mówił rotmistrz do pana Piotra, który go odwiedził, by z nim razem na konwokacyjny sejmik pojechać.

— Gorzej! — odpowiedział pan Piotr zamyślony z niepewnym wyrazem. On mimowolnie marzył o tak szczerze kochanej Hannie, której widzieć nie mógł.

— Boi się go głupia kobieta! — powtarzał rotmistrz patrząc na Wrońskiego ze znaczeniem.

Pan Piotr nie na to nie odpowiedział, jeno zamysłony patrzył przez okno.

— Jakiś tuman kurzu widać na drodze — zawołał nagle. — Poczet zbrojny jedzie!... dodał po chwili.

— To Szwedzi! — zawołał rotmistrz patrząc także przez okno, a głos jego był niby wesoły, chociaż starowina poskrobał się w głowę, bo już i jemu zaczęli się naprzykrzać ci goście wymagający zanadto.

Po chwili nadszedł szwedzki oficer, młody jeszcze, ale mocno zarosły, z rudym wąsem ogromnym i wyrazem dzikim na twarzy. Był to prawdziwy żołnierz owoczesny, bez litości wszelkiej, zdolny wypełnić rozkazy najokropniejsze, byle tylko wyszły od starszego. Miał z sobą szlachcica jakiegoś zagonowego pół pijanego, który mu służył za tłumacza, bo szwed ani słówka po polsku nie umiał; on umiał tylko polską ziemię łupić po szwedzku.

— Jestem rotmistrz Goldstiem — rzekł przez tłumacza. — I przyszedłem tu u was odpocząć — mówił dalej — bo mój generał zapewnił mi, że wy szwedzki przyjaciel.

Rotmistrz kłaniał się a kłaniał i kazał przarządzić śniadanie.

— Dla mnie i dla mego szwadronu! — mówił Goldstiem pokrecając wąsa. — Tylko żeby wszystkiego było dosyć, bo wy polacy to lubicie wszystko chować i przed wrogiem i przed sprzymierzeńcem.

— Ale gdzież tam! — tłumaczył się pan Stanisław.

— Nam to wszystko jedno! — ciągnął wąsaty Szwed dalej stawiając wściekłego marsa — bo my potrafimy znaleźć, choćbyście jak schowali. Tylko prędzej! bo my mamy jeszcze drogę przed sobą.

— I gdzież, jeżeli wolno spytać? — ozwał się pan Stanisław.

— A z wizytą! — odrzekł Szwed i dzikim parsknął śmiechem, aż nawet rotmistrz zadrżał.

— Z wizytą! — powtórzył Goldstiem — do jednego z waszych, spodziewam się, że będzie rad. Znają w całym wojsku naszym i zna generał Steinbok, który mnie wysłał, jakie to są moje wizyty.

— Do kogoż? — pytał rotmistrz stary dalej.

— Do Magnuszewskiego! — ryknął ze śmiechem rudy Szwed.

— Do niego? — mruknął rotmistrz.

Pan Piotr nie nie rzekł, jeno wypatrzył się na Szweda i natężył ucha.

— Nie chciał przyjechać na sejmik zwołany przez naszego generała, z woli najjaśniejszego króla naszego, który wam Polakom chce z łaski swojej dać króla; a więc ja jadę do niego.

— On ranny podobno! — ozwał się rotmistrz.

— To właśnie gorzej dla niego, gdy ranny odważył się wystąpić zbrojnie naprzeciw nam. Już ja mu dam za to! Mnie przywołał generał Steinbok, a to wielki generał, pierwszy po naszym królu, a ja po nim pierwszy, bo on mnie zna dobrze. I powiedział mnie generał tak: weź szwadron z sobą i wpadniesz na dom tego rebelizanta Magnuszewskiego, i spalisz mu dom i spalisz mu wieś, a zabierzesz

wszystko było i wszystkie konie i każesz mu zaraz zapłacić dwa tysiące złotych dukatów, za karę jego przychylności widocznej do nieprzyjaciela naszego króla, do tego saskiego Augusta, który się śmie nazywać królem, wtenczas, kiedy my tu innego przyprowadzili króla; a jego, samego tego buntownika Magnuszewskiego przystawisz mi do mojego głównego obozu. I ja go przystawię! — dodał po chwili z dzikim śmiechem, potrząsając głową i pokręcając rude wąsiska.

Pan Stanisław spojrział z ukosa na pana Piotra, i sam nie wiedział, jaką tu przybrać minę. Pan Piotr zaś miał oczy spuszczone w dół, i nikt się też domyślić nie mógł, co ma na myśli.

— No dawajcie prędzej jeść i pić! — wołał Szwed głosem rozkazującym, jakby w kraju był zawojowanym.

Służba weszła wnosząc do sali stoły i jadło rozmaite. — W tej chwili zamieszania przybliżył się nagle pan Piotr do pana Stanisława i ścisnąwszy go za rękę szepnął mu do ucha:

— Bądź zdrów panie rotmistrzu! ja odjeżdżam...

— A gdzie?... — spytał rotmistrz patrząc ciekawie na mówiącego.

— Jadę przed wami na sejmik!... wy macie gości! spodziewam się, że potrafcie uraczyć takich gości, jak się należy; ale oni się uraczają i sami.

— Co on zamyśla?... pytał się pan Stanisław siebie samego; on jakoś dziwnie mówi: czy nie myśli on przy tej sposobności zrobić obrachunek z tym Włochem.

Pan Piotr wyszedł i dopadłszy konia, a był to dziarski koń prawdziwej rasy polskiej, puścił się gościncem. Ledwie wyminął bramę, wypuścił konia jak szalony i leciał wiatrem, burzą, łyskawicą; leciał jak wściekły, aż się chmury piasku z ziemi aż pod niebo podnosiły. Czas jakiś pędził gościncem, lecz ledwie lasek przemiął, puścił się na przełaj, a puścił cwałem bijąc konia! bo i żaden na świecie koń tak szalonej nie wytrzyma jazdy; trzeba na to ludzkiej namiętności.

Zostawmy go tak goniącego i wróćmy do Szwedów, zmiatających śniadanie. Oni nie tylko jedli, choć jedli ogromnie, jak prawdziwe żołdacy najeźdźnicze, których żołądki bywają nienasycone, ale ponczu pili jeszcze więcej. Pili jak prawdziwe kufy bez dna. Zdawali się mieć pragnienie niczem nie nasycone. To szczęście, że pan Stanisław miał piwnicę dobrze zaopatrzoną. Jakkolwiek zawsze gościnny, ale zaczął się już skrobać w głowę. Najwięcej podobał się Szwedowi stary miodek nieboszczyka cześnika.

— To jedno u was Polaków najmądrzejsze, ten wasz miód! — powtarzał z ukontentowaniem.

Dobrze już było ku wieczorowi, gdy wyruszyli przeciw Szwedzi pijaniuteńcy. Rotmistrz popatrzył za nimi kiwając głową i jakkolwiek Włocha, jak Magnuszewskiego nazywał, nie lubił, żał mu się go przeciw zrobiło.

Rotmistrz Goldstiem jechał na przedzie, i co chwila był gorszy i gniewliwszy; najwięcej mu zawadzało, że musiał porzucić dobry miodek; postanowił też zemścić się za to na Magnuszewskim, jako

najwinniejszym w tej mierze. Ale dobrze to mówią, że człowiek strzela, a pan Bóg kule nosi. Zmrokiem zbliżył się do włości pana Jana. Nagle ozwał się strzał. Upadł rajtar szwedzki jadący w świetle rotmistrza.

— Co to? — krzyknął przeraźliwie Goldstiem pełen gniewu. — Ten rebelizant chce się bronić jeszcze? Naprzód! siekać! zabijać! mordować! co tylko nadybiecie!..

Nowe padły strzały. Krzyki i jęki rozległy się po pustym obszarze.

— To Sasi! krzyknęli Szwedzi!

— Sasi! — zawołał Goldstiem; a oni tu zkad!?

— Ktoś ich musiał uprzedzić! — zawołał inny.

Kusa była rada. Przeklinając i wściekając się ze złości, musieli się cofnąć Szwedzi, i co prędzej, bo siła Sasów była przemagająca. Rotmistrz Goldstiem wysypał całe bogactwo luterskich zaklęć, przysięgając sobie, że dowie się, kto mu tego figla wypłatał i że się zemści na nim srodze. Toż samo powtórzył sam generał Steinbok, który nie mógł się uspokoić i rotmistrza nałajał sownicie. Generałowi nie tyle szło o Magnuszewskiego osobę, ile o owe dwa tysiące dukatów. Nie szło mu wcale o stronę polityczną tej wojny, i było mu to rzeczą obojętną, czy Stanisław czy August panuje w Polsce, jemu szło o stronę finansową, by kase swoją napęlić nałupionem złotem.

Nie długo też zostało tajemnicą, kto Sasów uprzedził. Już rajtary szwedzkie pijąc na dziedzińcu u pana Stanisława Boskiego zauważali szczególny pospiech, z jakim tak nagle wyjechał Wroński; a wracając z niudalej ekspedycji znaleźli niedaleko od wsi pana Jana Magnuszewskiego rozciągniętego konia, po którym poznali, że do jakiegoś bogatego należał szlachcica. Wkrótce pokazało się, że to koń naszego stolnikowicza. Pan Piotr to, mimo nienawiści i słusznej, jaką miał do Magnuszewskiego, nie chcąc korzystać ze sposobności, jaka mu się do zemsty nastręczała, poruszon szlachetnością, skoro dowiedział się o niebezpieczeństwie grożącym Magnuszewskiemu, nie zważając na nic, polecił wprost do posterunku saskiego o parę mil odległego i ostrzegłszy go, sprowadził Sasów na obronę mienia a może i życia Magnuszewskiego. Sasów to wiedząc ku włości pana Jana postradał zmęczonego konia swego, do którego był przywiązany mocno, lecz go nie szczędził wcale, chcąc ratować człowieka który mu wydał możnaby powiedzieć całe jego życie. Mściwi Szwedzi, mianowicie Steinbok, który nie mógł tak łatwo straconych strawić dukatów, ścigali wszędzie szlachetnego Wrońskiego, który musiał się kryć i tułać, tem się pocieszając, że ochronił od nieszczęścia i zguby ojca rodziny i współobywatela, i tem samem zemścił się na nim w sposób szlachcica Polaka godny. Zemścił się prawdziwie szlachetną szlachetnością. Nie mogąc znaleźć go nigdzie, zemścili się Szwedzi na jego majątności, którą złupili, zrabowawszy i spaliwszy dwór. Dopiero gdy Szwedzi ustąpili z kraju, któremu tak się dali we znaki, że dzisiaj jeszcze lud mazurski ze zgrozą o nich wspomina, wówczas

dopiero mógł powrócić Wroński do swojej biednej własności. Wrócił starszy, słabszy, uboższy, ale otoczyła go cześć zasłużona współobywateli, którzy spieszyli na wyścigi, by mu pomódz do wybudowania nowego dworu i podniesienia upadłego gospodarstwa.

— To warjat! — zawołał rotmistrz Boski, usłyszawszy o postępku Wrońskiego. — Ale szlachetny człowiek! — poprawił się stary Sobieskiego wojak.

I poruszony tem pielęgnowaniem, które się nie mogło ukryć przed Hanną, sam pojechał do Magnuszewskiego i przywiózł go do siebie, gdzie był bezpieczniejszy i przy czułem pielęgnowaniu żony wnet przyszedł do zupełnego zdrowia. Skoro dowiedział się, że Wroński po wyjściu Szwedów z kraju powrócił do siebie, pospieszył do niego.

— Bracie! — rzekł do niego ze szczerem z serca pochodzącym zalem: zemściłeś się najlepiej. Bo ja nigdy w życiu nie zapomnę, żem zgrzeszył przed tobą.

— A ja tylko pamiętam, żeś pocziwa dusza, choć gorączka. Ale taka to już twoja natura. Byłeś mi zawsze i będziesz najdroższym przyjacielem.

I padli sobie obadwa w objęcia i splakali się szczerze; a te łzy serdeczne najlepszą były rękojmią, że ta przyjaźń nigdy się już nie rozerwie.

Nie rozerwała się też nigdy. Całe to zdarzenie silny i zba wienny wywarło wpływ na Magnuszewskim, który więcej domowemu oddał się życiu, i uszczęśliwiając Hannę dozgonną a pocziwą miłością małżeńską, chciał niejako dać najlepszy dowód swojej dla Wrońskiego przyjaźni. Wnet też i Wroński wynalazł pocziwą jakąś szlachetną dziewczkę i pojął ją za małżonkę. Oba domy żyły w najściślejszej z sobą przyjaźni. Stary żołnierz póki żył, a później dożył starości, cieszył się serdecznie tą przyjaźnią; ale mruczał mimo to zawsze swoje:

— Szkoda przecie Leszczyńskiego, bo co Piast to Piast!... Ot naprzykład, Sobieski!... A popatrzcie na tego Sasa!... pożał się Boże, że siedzi na stolcu Chrobrych i Jagiellonów.

PŁACZ i ŚMIECH.

(Pierw. wyd. 1838.)

I.

— I cóż ci jest Leontyno?

— Auguście, czy kochasz mnie?

— I skądże to pytanie — odpowiedział August, wpatrując się z upodobaniem w zwierciadło, które wiernie odbijało jego żywe i młode rysy — po jutrze nasz ślub i ty pytasz czy ja ciebie kocham moja Leontyno — pozwól, to śmieszne pytanie...

— Auguście śmieszne? a przecież to jest pytanie całego życia mego, całego szczęścia mego. Mój Auguście, ty mnie znasz od dzieciństwa, ty wiesz jak ja ciebie kocham... czy pamiętasz Auguście dzień twego powrotu z zagranicy?

— Z Paryża, ach pamiętam! któżby zapomniał, że był w Paryżu, w stolicy świata. Wiesz Leontyno, ja miałem wtenczas ten pyszny faetonik jak gdyby prosto z bułońskiego wrócił lasku.

— Nie pamiętam twego powozu, ale pamiętam kiedyś wrócił; cały dzień spodziewałam się ciebie, cały ranek siedząc w alei, którą miałeś do nas przyjechać, rozpamiętywałam chwile przepędzone razem w błogiem dzieciństwie, przypominałam sobie wszystkie uroczne sceny naszych lat minionych, od pierwszego cacka coś mi darował, od pierwszego uściśnienia, którem nadgrodziłeś wziętą za ciebie karę, aż do smutnego pożegnania, w którym przeczuwałam już uczucie mające mnie na wieki przykuć do ciebie, i żywo stanęły mi przed oczami sceny minione, swobodne, te chwile niepowrotne, i widziałam ciebie dzieckiem z przywiązaniem do mnie dziecinnem, z przywiązaniem starszego już dziecka, którem jak brat otaczałeś mnie, bawiłeś, cieszyłeś się śpiewem moim, wesołością moją, dzieliłeś się ze mną wszystkim, biorąc na siebie co było tylko przykrzejszego; pamiętałam nawet owe imieniny wujaszka, na których graliśmy oboje na cztery ręce; jam się pomyliła w taktcie, a ty widząc pomieszanie moje krzyknąłeś: jakżem niezgrabny! — wszystko, wszystko pamiętałam.

Westchnął August cisnąc w rękę pomięty kapelusz. On myślał w tej chwili o aktorce, która go oczekuje, o ślicznej cudownej Laurze, której paluszki tak zręcznie skaczą po klawiszach, że niewiedzieć czy podziwiać grę artystki, czy całować śliczne, białe ręce.

Leontyna tylko westchnienie usłyszała; cień wesołości rozlał się po twarzy natchnionej chwilowym zapalem: ona kobiecem mierząc czuciem, inaczej wytłumaczyła to westchnienie — Augustcie tyś był dobry dla mnie, ty jesteś dobry, ty mnie kochasz Augustcie?... I zaturkotał powóz na końcu alei, serce zaturkotało w łonie — to ty byłeś, ledwem cię poznała, ty wyładniałeś; jak piękny byłeś witając się ze mną, jak piękny chodząc ze mną wieczorem po ogrodzie słuchałeś z uwagą mego szczebiotania dziecinnego, opowiadania moich pamiątek: zdziecinniałeś prawie ze mną i skacząc po ogrodzie jak dawniej, nazwałeś mnie raz jeszcze jak dawniej: moja Leontynko!

— Moja Leontynko! — wymówił August jak mógł najczulej, dobrawszy głosu jak najwięcej dziecinnego, pieszczotliwego, a tymczasem naciągał rękawiczki pachnące, wizytowe.

— Leontynko! Leontynko! Augustcie, to właśnie co rani serce moje, jam zawsze dla ciebie owa Leontynka, dziecko z białym włosom z kapeluszem słomianym, pękiem róż w fartuszk, jam dla ciebie nie wyrosła od tego czasu, jam się dla ciebie nie zmieniła. Augustcie jabym chciała być ową Leontynką z lekkim sercem, ale ten pieszczotliwy zdrobniały wyraz dzieciństwa — to naigranie się, to szyderstwo.

Tego August nie zrozumiał, popatrzył na nią okiem zadziwienia i pytania razem; w tej chwili doświadczony młodzieniec nie wiedział, co powiedzieć, szczęściem spojrzawszy na zegarek, przypomniał sobie czas szybko lecący; zerwał się z krzesła i zdobył na co mógł najgrzeczniejszego, byle się wysliznąć z tego położenia dokuczliwego.

— Nie dziw się kochana Leontyno, czas przy tobie tak szybko ulatuje, że nieraz zdaje mi się być dzieckiem jeszcze przy Leontynce; twoja to вина moja śliczna, czarująca Leontyno, i teraz ubiegła godzina jakby sekund parę... a ja mam jeszcze kilka wizyt do zrobienia... pozajutro nikt mnie już nie oderwie... bądź zdrowa, — zakreślił się zgrabnie na pięcie rzuciwszy tryumfujący wzrok na zwierciadło.

— Ty idziesz Augustcie?

Obrócił się raz jeszcze August, przyskoczył z teatralnym wyrazem podnosząc oczy do góry. — Pozajutro... bądź zdrowa, muszę odejść — i nieoglądając się wyleciał z pokoju, złożony jednakże wprzódby mocne, przeciągłe i głośnie pocałowanie na białej ręce Leontyny. To mu najłatwiej przyszło, bez kosztu słów próżnych złożył, jak mu się zdawało najwymowniejszy dowód uczuć swoich; a tak po zagranicznych i krajowych salonach, buduarach i kulisach, wyuczył usta przez używanie, że umiał pocałowaniem różnej mocy jak alfabetem ułożyć całą mowę uczuć; posiadał w najwyższym stopniu sztukę przyciskania ust do ręki od grzecznego pocałowania pierwszej znajomości, do pocałowania wyznaczonego, od całusu rokosznego, dziękczynnego, aż do tragicznego, pożegnawczego — to był Talma w pocałowaniach — to też w krytycznej chwili pocałowania tyle pomie-

szal odcieniów, wyrazów i zapału, że aż czerwony znak na dłoni wycisnął.

Nie wiem czy umiała to dosyć ocenić biedna Leontyna, ale spojrzawszy za nim ze łzami i z piersi dziewiczej wymknęło się westchnienie ciche, niezrozumiałe, głos rozpamiętywań samotnych, głos prawdziwie kobiecy, święta i tajemna skarga. — Pozajutro, pozajutro — wyjęła w zadumaniu — a dziś o godzin kilka pierwej, nie mogę pomówić i nierozumiejąc się mamy stanąć przed ołtarzem — Auguście, biedna Leontyno!... Wyszła do ogrodu i tam chodząc po ścieżkach tak sobie znanych, pomiędzy klomby pachnące wonią wiosny, po lipowej ulicy, świadku niemych zabaw dziecka, chodziła jak pomiędzy odżywionymi scenami przeszłych czasów. Wszystkie marzenia, nadzieje i chęci dawne zaszeleściły jej w koło z drzew, klombów i kwiatów i nie w koło niej się nie zmieniło, nawet wiosna taka jak była przed laty, drzewka ledwie powyrastały nad krzaczki, a ona z marzeń wyrosła w rzeczywistość odmienną o całe niebo, a jej myśli dawne poleciały gdzieś w świat wraz z żółtym listkiem, z pączkiem wiosnianym od drzewa oderwanym... I niema ratunku, pozajutro westchnienie żalu będzie już grzechem — a przecie ona kocha tego Augusta jak to marzenie, tę wiosnę, ten ogród, ten listek — i zerwała gałązkę bzu, powiernicę jej nadziei przez tyle wiosen, i kwiat ten sam i woń ta sama i barwy jednakowe a w jej łonie... płacz Leontyno!

August tymczasem wyleciał jak z procy, ani się obejrzał pełen bojaźni, by go co nie zawróciło do domu: i on myślał, wiele myślał, bo w rozmowie z narzeczoną przyszły mu na myśl ubiory weselne — te przekłete pończochy — co za głupi zwyczaj, kiedy kto nie ma dobrych łytek! Stał wreszcie przed teatrem i szczęście nadzwyczajne jeszcze się próba, na którą się przyrzekł, nie zaczęła, a co więcej Laura nie przyjechała; zastał przed drzwiami teatru kilku ze znajomej młodzieży.

— Witaj kochany Auguście!

— Zkąd lecisz?

— Dziś obchodzisz tłusty czwartek twego kawalerstwa. — Śmiech wzbudził ten concept, jeden tylko Ernest najmniej związany przyjaźnią z Augustem nie roześmiał się: mimowolnie obraził Augusta ten śmiech, tem bardziej mu się podobał obojętny Ernest.

— Cóż u diabła! zpoważniałeś jak gdybyś przeszedł już przez tę tryumfalną bramę złotego jarzma.

— A daruj, w wilją wilji wielkiego dnia myśleć jeszcze o akto-
torce.

— Mając do tego w perspektywie tak śliczną żonę.

— Na honor, w czepkuś się urodził.

— Co za kibić! co za nóżka! — ciesz się Auguście — jaka nóżka!

— A usta, niech mię diabli wezmą; ust zazdroszczę ci.

— A oczy; czemuś są bure, fałszywe a nawet zezowate nieco oczy siniory Laury, przy szafirowych pełnych oczach, w których łączy się gołębia prostota i niewinność z węzowym, bo kobiecym rozumem.

— Cóż za koncept starotestamentowy!

— To epigrammat, panie!

— Bravo! epigrammat z starego testamentu. I cóż wlepiłeś oczy w ulicę, Augustcie, nie bój się, przyjedzie twoja Laura — czegoż tak milczysz?

— To mi właśnie wszystko jedno, przyrzekłem, a milczę, bo mi czasu nie dajecie mówić, malując epigramatami starotestamentowemi piękność mojej żony.

— Nie, nie — coś ci jest innego.

— Nawet Ernesta zaraziłeś, który przed twojem przyjściem pustował niemało.

— Zupełnie nie, ale ja równie z panem Augustem słuchałem waszych konceptów, nadto zaś szanuję pannę Leontynę, abym o niej wiele rozprawiał; zresztą o czemże tu gadać, panna młoda ładna, pan młody piękny, będzie zatem śliczna para i tam dalej — do tego wyznam szczerze że moje wyobrażenie o piękności kobiet zupełnie inne, daruj Augustcie, ale nie lubię blondynek.

— Leontyna nie jest zupełna blondynka, szatynka raczej — odpowiedział August, któremu się Ernest coraz więcej podobał; przez dziwną bowiem sprzeczność natury ludzkiej właśnie teraz myślać o aktorce, obwiął go jakiś wiatr małżeński i nie podobały mu się wychwalania młodzieży, z którą on dzielił nieraz wyprawy mniej bezpieczne dla mężów: ztąd mu też więcej podobał się Ernest; w tej chwili był już jego przyjacielem.

— Być to może, ale powiem prawdę, nie przypatrzyłem się; widziałem ją bowiem parę razy tylko na balach zapustnych, a nawet wyznam ze wstydem, że się jej nie prezentowałem.

— A to ja ciebie zaprezentuję; dziś nie mam czasu, jutro będę okropnie zatrudniony — ten przekłety krawiec — ale chcę koniecznie, byś był na ślubie, a więc przyjedź pozajutro o czwartej po południu, wezmę cię z sobą i zaprezentuję.

— Bardzo wdzięczny jestem.

— Ale pewnie — słowo —

— Słowo.

— Jak gdyby już mężem był — szepnął jeden drugiemu i śmiech powstał ogólny, ale wnet zwróciła się uwaga, bo zajechał powóz i August zapomniawszy i krawca i Leontynę, podał rękę siniorze, której dosyć powabna twarz uśmiechnęła się z wyrazem tryumfu do wysadzającego.

August był synem hrabiego S., którego siostrzenica Leontyna D. razem się z nim wychowała; August miał po matce dosyć przez podróże uszczuplony majątek, a po ojcu prócz tytułu i nadziei, same tylko wielkie i zadłużone dobra. Panna Leontyna zaś, córka jakiegoś szlachcica z Ukrainy, zupełnie przeciwnie; wzięła po wcześnie zmarłej matce bardzo szczupły majątek, ale za to po ojcu zmarłym na dzumę w zbożowym magazynie w Odessie miljonowy majątek, a co więcej tak czysty i jasny, że nawet hrabia przepominał urodzenie po ojcu, o którym ani Niesiecki ani Paprocki, mimo wszelkich kwerend, wspomnieć nie chcieli, i z wielką konsyderacją trzymał w domu kochaną

siostrzenicę pannę łowczankę D. — A że hrabia był szambelanem za księstwa Warszawskiego, widział Pradta przez dwie godzin, biuletyny Napoleona umiał na pamięć, a nawet jeździł raz do Drezna w bardzo ważnej misji względem stajen królewskich, więc oczywiście wytrawnym był diplomata, i wszystko co go otaczało traktował po ministerjalnemu; wyrachował tedy z prawdziwie finansowym rozumem, że miliony łowczanki z tytułem hrabiego połączone utworzą całość niepospolitą i głuchy na jęki Paprockich i Niesieckich, postanowił skojarzyć to małżeństwo. Chcąc jednakże być przezornym i odkrywwszy niepospolite talenta gabinetowe w synu, wysłał go zagranicę, dawszy na drogę godne Talejranda nauki, miał bowiem już w głowie drugi projekt, wedle którego syn wsparty wiadomościami ojca, własnymi zdolnościami, tytułem hrabskim i demokratycznym majątkiem łowczanki, postępywał szybko po dyplomatycznej drodze, aby mógł potem z Londynu lub Lizbony pisać do ojca tajemnicze, cyframi pokryte listy. Z drugiej zaś strony z całą szambelańską zręcznością przygotowywał łowczankę do tego niepospolitego szczęścia, że będzie mogła swojemi pieniędzmi wykupić hrabiowskie dobra.

Oto cały stosunek zwyczajny, tuzinkowy Leontyny i Augusta; to próby ich całego życia a dramat w ich usposobieniu, w ich umysłach i sercach, mający jak zwyczajnie odegrać się na niskiej scenie pożycia domowego, a przecież obejmujący cały los dwojga, zupełnie różnych od siebie istot. Leontyna już ze krwi odziedziczyła po matce, która przez przywiązanie za mąż poszła, tę delikatną czułość i tkliwość kobiecą a może i słabe spazmatyczne nerwy biednej matki, która za to małżeństwo prześladowana od własnej rodziny nieczem nienagrodzona przez zimnego męża, niezrozumiana od nikogo jak listek burzą pchnięty, cierpieniami nerwowemi skurczona skończyła przed czasem, błogosławiąc jeszcze ostatnim konwulsyjnym ruchem ręki, biedną córkę. Osierocona tak wcześnie Leontyna zawczasu przyzwyczaiła się cierpieć; najdroższa nawet pamiątka, która się jej została, pamiątka matki, była pamiątką okropnych kureczowych jej cierpień; ojca prawie nie знаła, a potem wychowana w domu wuja z rostrzepanym i przyjemnym Augustem, pieszczona dla swego majątku i widoków wujowskich, wzrosła w coraz większą czułość, w coraz większą drażliwość uczucia i nerwów. Nie było matki, której by rozsądne przywiązanie umiało nawrócić jej umysł w jeden kierunek nagięty; nie miała w koło siebie przedmiotów co by ją rozrywały, przywiązała się zatem do jedynego towarzystwa Augusta, z całą siłą swojego spazmicznego romantycznego usposobienia. — August był ładne dziecko, dobre dziecko, kochał Leontynę z całą mocą na jaką rostrzepany pieszczotami zepsuty hrabiowski jedynak mógł się zdobyć; ciągle z nią razem, przywiązał się do niej, jako do jednej zabawy towarzyszeki z całą siłą miłości własnej, którą po dyplomatycznym odziedziczył ojcu: nabył on ją bez wrodzonej szlachetności i dla tego póki był dzieckiem, wdzięczność za ślepe przywiązanie Leontyny zastępywała zapal. I ciągle z nią wychowany aż do dnia ślubu mimo wad krwi, wychowania, możeby się ożywił w elektrycznym oddechu czułości Leontyny, możeby się wydobyła z zimnego

łona iskra wydmuchnięta czarem przywiązania, możeby się przetrworzył pod magnetycznym wpływem kochającej istoty, onby się może rozkochał w niewinnych spojrzeniach dziewicy; ale za rozkazem ojca wyjechał za granicę i w wielkim świecie pogubił wszystko, co ledwie przystało do zepsutej natury, okrył się światowym polorem, ale z serca wyrzucił wszystko, co mu daremnie ciążyło; nie został wprawdzie dyplomata, ale za to wesół i dowcipny wywiózł z kobiecych gabinetów sztukę zepsucia, by nią potem w koło siebie zarażał. Leontyna tymczasem została sama jedna między pamiątką matki, co do niej cierpieniem przemawiała, a pamiątką Augusta mówiącą do niej niezrozumianem tęsknem uczuciem; w samotnem zupełnie życiu zbierając myśli wszystkie porozrzucane w koło siebie, przemawiające do jej serca czulego wiosną, kwiatem, wonią, utworzyła sobie ideał i ten czarem młodej wyobraźni stroiła, doskonaliła: w tych to chwilach rozpamiętywań głębokich, czuciem odgadła przeznaczenie szczytne kobiety pełne cnót tajemnych i poświęceń niezrozumianych i uczuła w sobie siłę być kobietą: kochać i cierpieć. Zgoła ona żyła zupełnie życiem idealnem wewnętrznem, kiedy młody hrabia bujał po zewnętrznych buduarach i kulisowych rokoszach; i takie dwie osoby zeszyły się z sobą, by się już przez ślepe zrządzenie losu i głupie widzimisie dyplomatycznego starca nigdy nie rozłączyć, a co gorsza, Leontyna kochała Augusta z całym zapalem wylęgłym w takiej piersi, a August cośkolwiek przenosił ją nad inne kobiety, ale więcej nic; aktor nie mógł porzucić, konie ze stajni wypędzić, bo na to dobry ton nie pozwalał, po ogrodzie nie mógł zbierać niezapominajków z Leontynką, bo by go wyśmiano.

I ślub się odbył wśród zwyczajnej wesołości, wśród uroczystego obchodu, obok ubranego w mundur szambelański ojca, ustrojonego syna; nikt nie spostrzegł nic więcej na twarzy panny młodej prócz zwyczajnego pannom młodym rozczulenia, bladoci jej, łez, westchnienia, łkania: to weselne formalności; spojrzenia pełne rozpaczki na rostrzezanego męża: to miłośne spojrzenia. Były družki śmiejące się z spojrzeniami zalotnemi, byli družbowie z odwiecznemi konceptami, były wonne bukiety, suknia biała osłonięta welonem weselnym jak mgłą, co kryje małżeńską przyszłość, był wieniec miękkiej, zielonej na dziewiczo-rozczesanych włosach, choć może cierniami kłóć w głowę i mózg; a więc wszystko było — było wesele. Znikły słowa przysięgi pełne znaczenia pod niemem sklepieniem kościelnem, wśród całego towarzystwa obojętnego, niezrozumianego; powstał młodzi małżonkowie, kapela zagrziała na chórze kaplicy, hrabia August S. pojął za żonę pannę Łowczankę Leontynę D. — A kiedy Leontyna powstawszy od stóp ołtarza łzawo oczy pełne świętego postanowienia podniosła na męża, postrzegła wśród spojrzeń na poły obojętnych na poły ciekawych, jedną tylko łzę w całym tłumie. Ernest patrzył na nią ze łzami w oku, z współczuciem na twarzy; miłą jej była ta łza jak miły przyjaciel na wygnaniu w niewoli, była to jej znajomość rodzinna na cudzym świecie.

— Prezentuję ci Leontyno przyjaciela mego, pana Ernesta C.

Z niemym wyrazem czulej litości skłoniła się, ledwie rozumiejąc w tej chwili słowa męża, chociaż ciemno jakoś przypomniała sobie, iż dawniej już ten pan Ernest był jej znajomy i prezentowany; ale w tej chwili nie miała nawet czasu się zadziwić, bo to był dzień reprezentacyjny dla niej, ona musiała odegrać wszystkie uroczystości dnia tego, ona była główną aktorką, na którą wszystkie oczy zwrócone, jej kroki wszystkie, siadanie, wstawanie, były to sceny wystawne jej gry dzisiejszej. I odbyła biedna Leontyna ruch po ruchu, wszystkie dnia tego programatycznie już ułożone działania; nie tam nie brakowało, były błogosławieństwa, tańce, cukierki, wino i karty dla mężczyzn, lody i kwiaty dla kobiet; była wesołość towarzyska, zwyczajny fajerwerk słów, spojrzeń, śmiech — aż do łożnicy, tego rozwiązania ledwie nie publicznego całodziennej komedji — wszystko było. I siedzi już w małżeńskim pokoju sama jedna, wpół rozebrana, marzy; dziwnie wydaje się jej biała, jasna postać w pół oblana światłem buchającym od gotowalni, a w pół okryta cieniem od kotary marszczącej się nad małżeńskim łożem; to blask dziewiczy, niewinny, oświeca ją, to cień poważny, małżeński zaciemnia. Marzeń dziewiczych, przy łożu małżeńskim pełnych uczuć ciekawych, rozkosznych, ty nie znasz Leontyno, bo twarz twoja już zwrócona do cienia, już tylko część bukietu, część sukni atłasowej zasłony prężniejszej światłem obleczona, ty cała już myślą i duszą w ciemnej smutnej przyszłości.

Wpada August pełen przekonania, że dziś już jego Leontyna rada będzie z niego, ależ bo ją kocha niepospolicie, bo dziś Leontyna tak piękna, tak zajmująca, z mgłą na czole, ze łzą w oku, z bladością na twarzy, prawdziwie nie pamięta żadnej tragicznej aktorki tak zajmującej, nawet przebiegając geograficznie i statystycznie wszystkie buduary, nie przypomina sobie takiej piękności; nareszcie trzeba być poważnym, trzeba się przyzwyczaić do życia małżeńskiego, bo też nudne to kawalerskie życie; przy kochanej i wdzięcznej Leontynie będzie żył przyjemnie i wesoło; prawdziwie August wszedł z nadzwyczaj rozsądnymi i poważnymi myślami, sam dziwi się nad sobą. Zbliży się do niej, ledwie w głos nie zaklął się na wszystkich szatanów, że cudownie piękna, bo w tej chwili swawolna wyobraźnia wy czarowała mu cały widok rozkoszy, pieszczot, potem tak mu dosadzili szampanem na cukrowej wieczerzy, musiał pić dla przykładu, musiał popoić swoich kochanych przyjaciół, i w tej chwili żywo przypomniał sobie całą rozmowę przy wieczerzy; tej pijanej przedmowie do rozkosznego życia. — Kochana Leontyno! żono droga! — usiadł koło niej i porwał w pół — ja cię kocham moje życie — pojrzał w oczy — ty śliczna, ty anioł — i pocałowanie gorące złożył na ustach niewinnych. — Leontyna odechnęła go od siebie, bo w tej chwili nie był ładnym August, nawet znośnym nie był; to pocałowanie, którem tylko co ścisnął pianę szampana, sprawiło jej obrzydzenie; ona nie pocałowań pijanych, ale miłości żąda.

— A jużcić wolno żonę pocałować — dziecko jesteś Leontynko — objął jej łono jedną ręką, a drugą z nadzwyczaj figlarnem spojrzeniem wskazał na kotarę.

Spojrzała mu w oczy z wyrazem tak silnym, że się aż zmieszał pan August, była tam miłość, ale i duma, prośba i rozkaz razem — Augustcie powiedz mi szczerze czy kochasz mnie? —

W swoim był żywiolo August, nie darmo pił dziś tyle: — moja Leontyno czy ja ciebie kocham, i możesz że wątpić o tem, ciebie kochać mój aniele z tem spojrzeniem niewinnem, jabym tylko całował te rumiane usta, te oczy szafirowe; te białe dłonie; jabym cię ścisnął, całował, udusił prawie z miłości — ty moja, ty kochana żono moja, Leontyno! ja cię nad życie kocham, rozwesel to śliczne czoło, popatrz na mnie, roześmiej się mój aniele! Ja teraz dopiero poznaję, że cię nad wyraz kocham; aleś ładna, słowo honoru ci daję, ja szaleję za tobą. — Nie mogła znieść spojrzeń jego i choć zupełnie nieswiadoma tego wyrazu co strzelił z nich, było w nich coś tak przykrego, że się przestraszyła niewinna Leontyna i w tej chwili przeczuła może to czego nie rozumiała. W jej sercu walka ciekawa; ona go kocha, onaby chciała paść w jego objęciu i w niem pozostać na wieki, ale jego zapal jest lodem dla niej, jego słowa odpychają. Wyrwała się drugi raz z jego objęcia. — Daj mi pokój mój Augustcie! ty mnie nie rozumiesz; ja ciebie kocham, ale ty mnie... my się nigdy nie zrozumiemy. —

— Nie wierz temu moje życie, doskonale się zrozumiemy, bo widzisz, to są przesady dziecinne.

— Co! moja miłość jest przesadą, to uczucie żebym dla ciebie chciała poświęcić wszystko; ledwiebym nie chciała, byś był w jakim nieszczęściu, jabym zawsze koło ciebie, jabym łyzy twoje połykała, jak niewolnica służyłabym tobie. Mój Augustcie, ty nie znasz serca mego, nie pogardzaj niem na miłość Boga; pogarda twoja, obojętność, to śmierć dla mnie. Mój Augustcie, błagam cię — i uderzyła kolanami o posadzkę — zaklinam cię na wszystko co ci jest świętem, na nasze pamiątki niewinne, na nasze dzieciństwo spokojne. Augustcie kochaj mnie tak jak ja ciebie kocham; niech ja także będę dla ciebie wszystkim: życiem, szczęściem, aniołem, matką nawet, moją biedną matką.

— Ależ czego chcesz, ja ciebie kocham; porzuć tę postawę błagającą, chociaż dalibóg jesteś nie zrównana w niej; chodź Leontyno tu na łono moje, chodź żono! ja ci wycaluję te myśli z głowy, wyszę te żale z ust.

Zerwała się Leontyna, padła bez czucia prawie na krzesło i porwała się za głowę: — moja głowa, moja głowa! moje marzenia dziecinne; moje myśli, moje uczucia! matko, matko! i ja będę nieszczęśliwa... Augustcie daj mi pokój, idź, bo pogardzać będę tobą — i łzami napełniły się piękne oczy.

— Wiesz Leontyno, że to śmieszne, na honor to dzieciństwo; tyś przecie już nie dziecko, na honor śmieszne.

— Śmieszne, śmieszne, mój Boże! — i potoczyły się łzy po bledem licu.

— Prawdziwie szkoda, że nie mamy widzów, bo pocieszną odgrywamy scenę, na honor pocieszną.

— Proszę cię mój Augustcie, jeżeli chcesz, bym cię kochała,

jeżeli pragniesz swego i mego szczęścia, oddał się; zrób to dla mnie, niech ja widzę, żeś w stanie zrobić co dla mnie; wyjdź na chwilę, ja cię sama zawołam. Auguście zaklinam cię — i łkania spazmoe, przerwały jej mowę i lzy gorącemi kroplami padały na bukiet weselny.

Roześmiał się tak głośno August, że śmiech się rozległ po pustym pokoju i przez chwilę słysząc tylko było łkania towarzyszone głośnym śmiechem. — Daruj Leontyno, ale to tak śmieszne, prawdziwie ja wytrzymać nie mogę — i nie mógł się wstrzymać, bo w tej chwili przypomniawszy sobie jakąś scenę buduarową... tak śmieszna. Długą dościsnąć chwilę trwało milczenie, przerwane płaczem Leontyny i śmiechem Augusta.

— Ty się śmiejesz Auguście, ty się śmiejesz mężu, ha mąż, ja żona twoja, dobrze — śmieć się, pamiętaj byś nigdy nie pożałował tego śmiechu, tego szyderstwa okropnego... Auguście i wstyd i żal mi ciebie.

Cudowna była Leontyna w tej chwili; zapal łyskał z oczów, piersi podniesione łkaniem oswobodzone prawie z zasłon oślepiły Augusta. Co jemu płacz, co jemu jakieś słowa próżne, niezrozumiane, śmieszne... i śmiejąc się do rozpuku porwał w silne dłonie płaczącą oblubienicę.

II.

Zamilkła muzyka; piękna to i poetyczna chwila w balu, to pauza odetchnienia. Tańcem zmęczone zarumienią się twarze, oczy zaiskrzą się wesołością, postawy wszystkie kobiece i męskie tańcem rozkołysane nabiorą nowych wdzięków i lekkości, umysły nawet rozognione ciepłem, światłem, wonią, nowej dowcipnej nabędą giętkości; całe towarzystwo z początku nieme, uroczyste, wchodzące do sali balowej z poważną układnością, z domowemi jeszcze myślami na czole, ze znudzeniem kilkogodzinnej toalety na ustach, po pierwszych tańcach nabiera życia, barw, cieniów, śmieje się, dowcipkuje, umizga, mruga oczami, strzela zalotnemi spojrzeniami. Jednostajność nawet różnobarwna wykwiutnych strojów znikła, ta jednostajność głów zaczesanych gładko, piór w jeden kierunek zagiętych, bukietów nieruchomych u łona, puklów geometrycznie prawie zaokrąglonych, urozmaica się wnet: tu się wdzięczniejsz pióro pochyli, ożywioną twarz czarującym pokryje cieniem, pukiel do pół rozwinięty mglistym obłokiem nad gwiazdą oka zawisnie, bukiet tańcem i oddechem ściśnionej piersi rozruszany, drży jak za wiatru powiewem pod westchnieniem ulotnem tęsknoty lub roskoszy. Rozbiegają się chwilowo połączone pary, by tu owdzie w kącie salonu, przy oknie otwartem, przy obrazie jakim, przy fortepianie, zejść na nowo i tam kończyć głosem drżącym od zmęczenia, poruszonym od uczucia, zaczęta pierwej rozmowę w tańcu spojrzeniem, ściśnieniem, uśmiechem. W gabinecie oświeconym światłem buchającym z balowego salonu usiadła w oknie

kobieta, której strój bogaty i pełen wdzięku świadczy o jej bogactwie i dobrym smaku. Oparta w otwartem oknie, marzącami oczyma to w ogród popatrzy, to w oświeconą salę; z zielonych kłębów oblatuje ją woń wiosny świeża, upajająca, z jasnego salonu ciśnie się płomie-nisty duszy oddech, z ogrodu woń natury, z balu woń sztuki, cała prawda natury czysta i niewinna ogarnia ją od ogrodu, całe złudzenie towarzystwa wrzawa, światłem, gorącym oblewa ją z salonu. W tem podwójnem uczuciu dwoją się jej myśli; z ogrodu śmieje się do niej przeszłość, z sali balowej wyszczerza rzeczywistość i cała sychowa rzeczywistość jej życia, a tak zamarzyła biedna, że aż ją powiew świeży, ożywczy z ogrodu ogrzał, a powiew gorący duszny salonu oziębł. Szkoda tej pięknej młodej twarzy, widać na niej to podwójne uczucie falami grające, z niebieskich oczów, z czoła alabastrowego, z ust rumianych patrzy jeszcze dawna piękność wesołości, świeżość wiosny, ale z żyłek niebieskich pod oczami, z wyciśniętych zmarszczków koło ust wyglądają całe warstwy różnych i ciężkich cierpień, a po-dług wpływu obudwu sprzecznych uczuć to uśmiech jakiś dawny zapomniany przeleci, to spazmowy kurcz przebiegnie; czasem wy-gładzą się zmarszczki, twarz nabierze nieruchomości, do oczów ucie-knie cały wyraz zmarszczek i kurczu i z nich strzela ciemny ogień głębokiego, trawiącego wewnątrz cierpienia. I ta kobieta ustrojona, tylko co z balu wybiegła, po tańcu oddycha, ta sama twarz uśmie-chem odpłacała grzeczne gości słowa, te same usta witały uprzejmymi wyrazy wszystkich gości na bal zaproszonych. Okropna podwójność na twarzy i duszy, a gdyby wśród muzyki, wśród tańców, z pomiędzy gaz, blondyn, piór, kwiatów i brylantów wydobył się głos wewnętrzny, prawdziwy, jakie byłoby osłupienie tych balowych postaci, jaki okropny dramat by się objawił — prawdziwy dramat towarzyski uru-zowany, ufryzowanany, ustrojony, tańczący, płaczący śmiechem szaleń-stwa; ale nie, ty musisz milczeć biedna kobieto, musisz być grzeczną biedna gospodyni; obraz twej twarzy nie może, nie powinien być transparentem duszy.

— I czemuż tak samotna moja Leontyna — przerwał jej ma-rzenie głos mężki, w którym trudno było rozróżnić grzeczność od czułości. Zadrżała Leontyna usłyszawszy głos ten, chciała się zerwać z krzesła, ale tylko konwulsyjnym ruchem podskoczyła. Wyraz szy-derezy odbił się na twarzy mężczyzny, oparł się na krzesło i przez chwilę z rozpustnem upodobaniem patrzył na białe łono z pod zgra-bnej dobywające się sznurówki, z słodką przyjemnością oddychał wonią włosów lekkim tokiem przykrytych; dopiero po chwili prze-mówił, a słowa dobywały się z ust jakby od niechcenia powoli, leniwie. On z uczuciem zupełnie zmysłowem smakował tę piękną, bladą, cierpiącą postać.

— Znikłaś moja luba z salonu, próżno cię wszędzie okiem szu-kałem, tylko pochwalne słowa zewsząd mnie dolatywały — jak piękna dziś — jak interesujący wyraz na twarzy — jaki smak w ubiorze, co za lekkość ulotna, idealna w całym stroju. Wierz Leontyno mnie, tak miło było siedzieć po tańcu, oddychać po zmęczeniu i zbierać nchem te pieszczące słowa twoich pochwał, a w duszy myśleć, ta

Leontyna ustrojona kocha mnie, jest moją — i ten przeklęty August zbudził mnie z tego odurzenia, pytając czy nie wiem, gdzie jego żona.

Leontynie płakać się chciało, a przecież milczała, raz tylko rzuciła wzrokiem na twarz uśmiechającą się, wesolą.

— Pobiegłem cię szukać, by tu w twoim widoku przy tobie kończyć moje słodkie marzenia; kochana Leontyno czegoś tak smutna?

— Ja nie smutna i ja oddychałam po tańcu i ja marzyłam — szepcząc odpowiedziała i gwałtem dobywające się połknęła westchnienie.

— Leontyno tyś zmieniona od tak dawnego czasu, tyś już nie ta, co dawniej, inną byłaś przed rokiem, kiedyś mi z miłem wzruszeniem po raz pierwszy powiedziała: kocham cię.

— Przed rokiem — przed rokiem, byłam jeszcze szczęśliwą.

— Szczęśliwą? czy i Leontyna umie mówić nieprawdę, szczęśliwą byłaś, niekochana, niezrozumiana od tego zimnego roztrzepanego Augusta, który już przez lat pięć truje ci życie swojami awanturami miłośnemi, a przecież kiedy po czterech latach szczerej miłości dałaś się ubłagać, byłaś nieszczęśliwą zdybawszy serce co cię zrozumieć mogło? Leontyno niesprawiedliwą jesteś!

— Byłam niewinna, ledwie dosłyszczanym głosem odpowiedziała — daj mi Ernście, tyś mi dał to jedno szczęście, jakiegom w życiu pragnęła. Ernście na coś mnie tak kochał, jabym ciebie zawsze kochała, Bóg jeden by to widział! na cóż się dałam ubłagać! ja jeszcze dziś widzę łzę w twoim oku, tę jedną łzę w twoim oku, tę jedną łzę współczucia w owym dniu nieszczęsnym mego wesela.

— Dajmy temu pokój, na co minione czasy przypominać, nie wart August, aby o nim myśleć.

— Nie wart — nie wart — ale on przecie mąż mój, Augustcie! o czemuż nie chciałeś...

— Leontyno! — urażonym przerwał głosem Ernest — nie daj mi myśleć, żem winien twą miłość urażonej miłości własnej lub zemście — tak często mnie męczysz przypominaniem tego nieznośnego Augusta.

Zadrżała powtórnie Leontyna na ten ton, który się od niejakoż czasu często odzywał w mowie Ernesta, gwałtownie zatem i szybko wyjąknęła.

— Daruj Ernście, ja ciebie kocham — ciebie.

— Słuchaj życie moje, mam do ciebie prośbę.

— Czego żadasz?

— Żądam? cóż to za wyraz — i uśmiech pogardy prawie przeleciał przez twarz — żądać i czegoż jeszcze miałbym żądać, ja ciebie proszę, ty wiesz jak nienawidzę Augusta, jak mnie gniewa ta myśl, że on o każdej godzinie przyjdzie do ciebie może, ciebie uściskać...

— Ernście przestań — błagającym przerwała głosem.

— Kiedym przed pięć laty był na twoim ślubie, jaka złość, jaki gniew wrzał w mojem łonie; dziś jest rocznica twego ślubu, twego nieszczęścia, rocznica, którą on za twoje pieniądze tak hucznie obchodzi. Leontyno, życie moje! — objął ją w pól, pocałowanie gorące złożył na puklach, na czole, na oczach — moja luba, ja cię tak kocham, jabym chciał, żebyś ty nigdy razem nie była z tym...

— Erneście zmiłuj się przestań, wszak wiesz najlepiej, że musiałaś. Erneście miej litość nademną.

— Ale już teraz nie musisz...

— Mój Erneście ja ci przysięgam, że nigdy...

— Wierzę, wierzę, nie przysięgaj; ale dziś w rocznicę tego dnia, w którym ja ledwie w łeb sobie nie strzeliłem — bo ty nie wiesz co to jest zazdrość u mężczyzny — dziś właśnie moja luba — i zbliżył się do jej ucha — daj mi klucz od ogrodu, który kazałaś sobie oddać.

Uderzyła się rękami w czoło — oczy sobie zakryła — Boże, Boże mój! i toż to miłość? nie, nie Erneście, ani on ani ty — przysięgam, puść mnie.

— Leontyno! to dzieciństwo, to przesady śmieszne.

— Dzieciństwo, przesady, i on tak mówił — idź sobie, idź — puść mnie panie Erneście!

— Jeżeli mnie kochasz, jeżeliś mnie kiedy kochała, Leontyno nie gniewaj mnie.

Wstała z krzesła i rzuciła wzrok dumny i surowy — zapominasz się panie Erneście.

— Panie Erneście, panie Erneście! — syczącym ze złości krzyknął głosem, z kądże przychodzę do tego tytułu — nie wiedziałem, że moje miodowe miesiące minęły.

— Boże, Boże! — zająkła Leontyna i ukryła oczy w dłoni. — Zagrzmiała muzyka z salonu, a Ernest zacisnąwszy tylko zęby ze złości puścił śmiech przeciągły, szyderczy i wyszedł z gabinetu. Długo jeszcze siedziała Leontyna w oknie, a kiedy powstała i weszła do balowej sali drżącej od wesołej mazura nuty, niema twarz była tak gładka jak gdyby palcem śmierci rysy przeciągnięte były, uśmiech tylko czy kurcz przelatywał po twarzy, gdy odpowiadała na grzeczne zapytania. Zagrano galopade, kto ją wtenczas ujrzał kręcącą się, lecącą po powietrzu, ledwie ziemi dotykającą, krzyczał: cudownie, lekko jak sylfida!

Bal ustał; porozjeżdżali się goście, wynosząc z sobą przedmioty do dziennych rozmów i do marzeń nocnych; po drugiej tylko stronie salonu w pokoju Augusta trwa jeszcze zabawa. Kilkunastu młodzieży z rozpalonemi oczyma, ubiorem pomietym od tańca i wina siedzi przy kartach; stół jeden cały pokryty wypróżnionemi butelkami, porumienione graczów policzki, pot ściekający po czołach, mowa krzykliwa, urywana, skacząca dowodzi, że za głęboko zajrzeli w kielichy. Pijani siedzą nad kupami złota, niedbałą ręką rzucają garście złota na pogięte karty; czasem milczenie osiądzie głębokie, przerwane niecierpliwemi ruchami graczów i wyleci karta z rąk bankiera; wszystkie oczy na nią zwrócone nabiorą dziwnych okropnych wyrazów, i powstaje wrzawa, śmiechy szalone przenikliwie wygrywających, krzyk niesforny, pół przekleństwa a pół ryku bydlęcego przegrywających i różnotonna mozaika wykrzykników obojętnych widzów, którzy w około stojąc obłokiem z cybuchów okrywają tę scenę całą. Pierwszy bankier wytrzeźwił się na widok złota, co szalenie, kapryśnie przewala się z rąk do rąk; bankierem był August, wygrywał bez pamięci

i ciągle nowe kupy złota i banknotów lecą w bezdenną przepaść jego szczęścia dzisiejszego — śmieje się, wrzeszczy, żartuje z przegrywających, sypie dowcipami; naprzeciw niego siedzi najtrzeźwieszy z całego towarzystwa Ernest, pił i on wiele, ale czy głowa mocniejsza czy usposobienie dzisiejsze gniewliwe, milczący z zaciśniętymi zębami siedzi naprzeciw szczęśliwego Augusta; okiem tylko na pół pijanem, na pół gniewnem rzuca na niego; gdyby mógł onby go zabił tym wzrokiem a przynajmniej stopił, popalił te kupy złota, banknotów. Sam nie gra, bo raz w cnotliwym zapale przysiągł ojcu, że grać nie będzie, ale nieraz mimowolnie zadrgała mu ręka do tej lub owej karty i rzecz dziwna, każda zamysłona wygrywa, gdy tymczasem wszyscy koło niego przegrywają i wzmaga się w nim chęć do gry; im więcej August wygrywa, tem silniejszy instynkt, tem szaleńsza chęć gry. Jeszcze się wstrzymuje, nawet żarty Augusta ku sobie zwrócone z zimną krwią przyjmuje i lakonicznem „nie gram“ na nie odpowiada; aby się zagłuszyć wypił już z dziesięć kielichów wina i przepił wszystkich, wyścignął wszystkich, wśród wytrzeźwionych upił się, a szczęście Augusta coraz większe, drga ręka do kart, szaleje za grą nie za złotem, ale aby to szczęście przemódz, to szczęście znienawidzonego Augusta. Nie może się już wstrzymać, szalony instynkt dzwoni mu dukatowym głosem: dama, dama, szeleści banknotami dama.

— Attendez! — krzyknął aż się wszyscy obejrzeni. — Dama sto dukatów.

— Ha, ha, ha, i ty przecie mój Erneście, życzę szczęścia; trzeba było na waleta, widzisz wygrał, ale ty masz cudowny instynkt — ha! dama przegrała.

— A rebour!

Pauza milczenia — płacisz trzysta. — Połknął kielich szampana Ernest, już nie wie, co się z nim dzieje; wyjmuje pulares rzuca parę papierów na stół. — Lapa — krzyczy chrapliwie.

— Uparł się na damę. Przegrasz Erneście. Damy w kartach to nie w buduarze — krzyczą mu w ucho. On milczy, oczami tylko pociąga za każdym ruchem Augusta.

— Przegrała dama sześćset dukatów.

— Stoi tyleż — krzyknął przytłumionym głosem — i tyleż mazo.

Aż ręka zadrgała bankierowi, aż grający powstawali, widze głowy powyciągali, a milczenie trwa głębokie, tylko Ernest jedną ręką bębni w stół a w drugiej ciśnie próżny kieliszek.

— Daj pokój — przebąknął August — zapalasz się, dama czwarta może przegrać, w drugiej talji możesz się odegrać.

— I jeszcze drugie tyle mazo! — krzyknął z wściekłością Ernest zgrzytając zębami, a kawałki kieliszka krwią dłoni powalane potoczyły się do złota.

— Zastanów się, to wielka suma, to majątek prawie.

— Czy żartujesz, czy tchórzysz? — pociągnął August i dama przegrała. — Widzisz, mówiłem.

— To nie — rzucił mu banknotów kilkanaście, już ich nie miał więcej w pularesie a grać chciał koniecznie.

— Co za szalony! idź spać. Z gry dla zabawy, robisz grę szaloną — krzyczą mu w koło, a on tupnął nogą aż się kilka dukatów posypało ze stolika na podłogę.

— *Le jeu est fait — tout va* — zimno odezwał się August złożywszy wygrane banknoty i nową wzięwszy talję do ręki.

— Dama tysiąc dukatów!

Spojrzał August na niego, zatrzymał się chwilę i pociągnął. — Przegrałeś — obojętnie powiedział.

— *A rebour!*

— Daruj mój Erneście, ale ja nie gram na kredyt; dam ci jutro rewanż, ale bez pieniędzy grać nie będę — daj dziś pokój, jesteś w nieszczęściu. *Messieurs tout va!*

— Na moje słowo nie chcesz...

— Nie, nie gram bez pieniędzy.

— Boś wygrał nędznych parę tysięcy dukatów, więc żal ci je nazad przegrać — brudnyś, brudny.

— Pijany jesteś i szalony! — zimno i obojętnie odpowiedział August.

Łyskawicą strzelił z oczu Ernest, zęby mocniej jeszcze ścisnął, pot mu ciekł z czoła i przeleciał przez usta jadowity uśmiech. — Ja pijany, ja szalony! dobrze więc na gotówkę gram, ja ci gotowiznę trzymam. Na damę stawiam żonę twoją przeciw tysiąca dukatów.

— Co to! ha, ha! upiłeś się — śmiech i wrzawa w koło.

August zbladł, zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę jakby chciał porwać za piersi Ernesta. Opamiętał się jednakże i siadając zimno powiedział: — nawet i na pijanego za gruby żart.

— Żart, to u ciebie żart, mój miły Auguste — na damę stawiam gotówkę własność moją, twoją żonę.

Wszyscy się porwali, by zatrzymać Augusta, który piniąc się ze złości wyciągnął obiedwie ręce na Ernesta.

— Kłamiesz niegodziwy!

— Ciągnij bankierze! — krzyczał dalej zimny w szaleństwie swoim Ernest, trzymam na damę własność moją, twoją żonę, warta tysiąca dukatów — ciągnij.

— Kłamiesz! — ryczał wyrywając się August.

— Masz gotowy pieniądz, chciałeś go! — zasyczał Ernest jak gadzina i rzucił na stół wyjętą z pugilareshu miniaturę Leontyny i kilka jej listów rozwartych.

August rzucił na nie okiem, snadź poznał, bo się porwał za głowę, potem chwycił za miniaturę i listy, trącił stolikiem aż się złoto potoczyło po całym pokoju, rzucił wzrok wściekły na Ernesta.

— Z tobą niegodziwy jutro! — i wyleciał z pokoju.

Śmiechem szyderezym, głośnym odpowiedział pijany Ernest; wszystkich zastraszyła i na skróś przenikła ta scena, w milczeniu wytrzeźwieni prawie wybiegli do swoich pojazdów i śmiejący się Ernest z nimi. Leontyna pożegnawszy gości swoich wbiegła do sypialni. Nic się prawie w niej nie zmieniło od lat pięciu, łóżko tylko Augusta zastąpiła kołyska; siadła jak owej nocy na krzesle w pół

oświecona światłem gotowalni, w pół zaciemniona cieniem kotary; wszystkie w koło niej te same przedmioty, twarz jej tylko zestarzała się cierpieniem i świadczy o długich godzinach, miesiącach, latach, które od owej nocy przeleciały: na niej chronologia jej marzeń samotnych, rozpamiętywań i cierpień. Leontyna nie przeżyła wielkich nieszczęść, jej życia nie pokrzyżowały wielkie znaczące zdarzenia, ona nie poniosła tych strat ogromnych, zabijających; jej całe życie było proste i zwyczajne domowe drama, nieszczęścia; wydarzenia były drobne, pokojowe, nie wychodziły za obręb mieszkania, a straty były zupełnie wewnętrzne. Ona w sobie tylko przez długich pięć lat traciła jedno uczucie po drugim, ale w takim sercu jak jej, uczucia, marzenia, nadzieje były całym światem, były wpłatały w nerwy, w krew; ona tracąc je traciła codziennie garście lat swoich. I to życie na zewnątrz niczem prawie się nie objawiało; czasem bledsza, smutniejsza czasem; chwilami szalenie wesoła, kilka żyłek więcej pod okiem, kilka zmarszczek koło ust, to wszystko — nikt jej nawet nie pożałował; ale za to wewnątrz, kto zdoła wyrazić całe życie kobiety spaczone, podeptane, wszystkie uczucia niezrozumiane, pogardzone, podeptane, wszystkie te drobne prawdziwie szpilkami kłujące cierpienia.

I tak przecierpiała lat pięć, ale nigdy może nie poznała takiego uczucia z jakim wpadła dzisiaj do sypialni, chwilami tak się jej mąci w głowie, że się szaleństwa boi, tak drżące i ściśnione jej serce, że się już umrzeć spodziewa; ona marzy niby, ale jej myśli tak się pomieszały, w takim bezładzie tańczą i skaczą, że jej wszystko w oko, wszystko co przeszło i co teraz dolega, wydaje się być jednym, długim, bolesnym snem. Raptem musiała jakaś jaśniejsza w głowie błysnąć myśl, zerwała się z krzesła, zaszeleściła strojna suknia i zapatrzyła się na kochanego Alfredzia. Patrzy na jego czoło, oczy, usta małeńkie a wzrok, którym zdaje się rozbierać całą twarz dziecka jest obłąkany prawie; a na czole rozpacz, na ustach kurecz spazmowy a w sercu — któż odgadnie to jedno z tysięcznych uczuć co się po nim krzyżują? W takim stanie zastał ją August; silne uderzenie drzwiami zbudziło ją, obróciła twarz od kołyski trzymając ją rękoma przez instynkt macierzyński. Raz tylko spojrzała na Augusta i czy twarz jego wyrażała z czem przyszedł, czy chwilowe przecucie zagadało do niej, zrozumiała do razu jego przyjście, zgadła całą rzecz; z niemym wyrazem na twarzy czekała na słowa Augusta, które jej mają może całą przyszłość odsłonić, a taka dziwna spokojność osiadła, że ktoby znał jej cierpienia, ktoby znał jej stan cały, zdrząłby ze strachu — był tam spokój rozpacz, silne postanowienie i spokojność czy niewinności czy zatwardziałego występku. Przeciwnie zaś August był nad wszelki wyraz poruszony, tak raptem przeskoczył z myśli swobodnych do uczucia cierpkiego, tyle wypił dzisiaj, iż gniew, oburzenie i uczucie nawet wyższe bólu wewnętrznego gorączką rozlały w jego łonie. On śmiał się tyle razy z mężów, co byli w jego położeniu, on nawet w swoich filozoficznych chwilach uciekając przed własnym sumieniem, tłumaczył sobie tę śmieszność, przesąd towarzyski, ale bo pewien swojej żony, która się szalenie w nim kocha;

pełen miłości własnej, która takiej nie dopuszczała myśli, nigdy siebie samego nie mógł w takim wystawić położeniu. On jeżeli się kiedy nad tem zastanawiał, to były tylko słodkie marzenia o przyszłych rokoszach, z pomiędzy których w wonnym lulkę obłoku śmiał się do niego uroczy obraz żony, która tak śmiesznie, tak głupio w nim zakochana, i podchlebiała mu ta myśl. Co się z żony sercem dzieje, on ani czasu nie miał w to wchodzić, to tylko pamiętał, że nieraz musiał się śmiać z tych naiwnych wyskoków jej zapalczywej miłości — a to tak słodko, tak miło być kochanym, choć się nie dzieli tego uczucia. Tak raptownie, tak publicznie trafiło go to nieszczęście, iż teraz dopiero poznał jak kocha żonę, przynajmniej zdaje się iż w tej chwili zapалу byłby w stanie rozedrzeć niewierną — jego drobne, mało znaczące uczucia zolbrzymiały, zeszlachetniały w tem nowem dla niego cierpieniu.

I przystąpił do niej spokojniej, niż sam się spodziewał, bo już w tem chwilowem natchnieniu zrozumiał, że więcej na niej zrobi wrażenia spokojny na pozór ale mocno uczuty wyrzut, niż najgwałtowniejsze rzucanie się. — Znasz te lisy? — zapytał tonem krótkim.

Nie nie odpowiedziała, czy tylko wlepione w listy przed nią trzymane wyraźnie wyznają.

— Twoje milczenie, twój wzrok mi wystarcza. Leontyno, na Boga powiedz jeszcze jedno słowo, jedno tylko, ja uwierzę to potwarz, szkaradna potwarz — to okropnie! tybys mnie zdradzić miała, tyś mnie tak kochała, prawda Leontyno, tyś mnie kochała!

Leontyna porwała się za głowę. — Kochałam! kochałam! i kocham, kocham cię jeszcze! — krzyknęła tak przeraźliwie a tak wymownie, że nie mógł August nie zrozumieć głosu prawdy. Biedna Leontyna w tej chwili obudziła się z osłepienia; w tej chwili słysząc czulsze słowa Augusta zrozumiała, że jej miłość dla Ernesta złudzeniem była.

— Nie! to być nie może, tybys miała równie innym kobietom zdradzać mnie, tybys miała jak te wszystkie roztrzepane, zalotne kobiety, na łonie kochanka żartować z męża. Leontyna, ta Leontyna, co mi tyle razy miłość przysięgała, co tyle razy się skarżyła na mnie, że ja nie czuję twojej miłości, że ja ciebie nie tyle kocham — i ty miałabyś z Ernestem!! — Zapalał się August coraz więcej im więcej mówił, w tej chwili był zupełnie szczery, bo to przykre uczucie wstydu i urażonej miłości własnej rozognione winem brał za uczucie miłości zdradzonej. — Leontyno! ja ciebie zawsze kochałem, być może że dawniej tyś sprawiedliwie mi zarzucała pozorną oziębłość, ale widzisz to bardzo naturalne: myśmy się razem chowali, ja cię z początku, jak siostrę uważałem, a potem ja byłem mężczyzną, nasze usposobienia różniły się — ale ja ciebie zawsze kochałem, Leontyno ja ciebie z duszy kochałem.

— Tyś mnie kochał Augustcie, tyś mnie kochał — krzyknęła z największem natężeniem, oczy na niego wypatrzyła a na wierzch wybiegły a rękami trzymała się za gorące czoło, usta spazmami pokurczone drgały.

— Leontyno, gdyby kto przyszedł i powiedział, żeś ty niewierna, gdyby najszczęszyć przyjaciel, gdyby mój ojciec rodzony się przysięgał, jabym nie wierzył nikomu, bo ja w tobie miałem ufność zupełną, ufność w twoją dla mnie miłość, ufność w te lata niewinne razem przepędzone — tyś mnie miała za nieczułego. Nie Leontyno! ja dziś pamiętam jeszcze sceny naszych lat niewinnych, nasze zabawy, twoje serce dzieciinne, pocziwe, kochające — powiedz, że nie prawda, tego kłamcę zabiję. ja ci uwierzę, bo cię szczerze kocham.

— Ty mnie kochasz, ty mnie kochasz — krzyczy Leontyna i bije się w czoło. Te czule wyrazy, prawda zapatu strzelająca z oczów Augusta zabija ją.

— I żebyś mnie była powiedziała: Auguście ja cię już nie kocham, tyś dla mnie zimny, tyś mnie zniechęcił! jabym ci do nóg upadł, jabym cię przeprosił; bo widzisz ja roztrzepany, przyzwyczajony do światowego życia, ja mam wiele do zarzucenia sobie — ale tak walić wstyd na głowę moją, hańbić nazwisko moje, rozedrzyć serce moje — wszak to nie prawda Leontyno, powiedz, oszukaj mnie! ja ci podziękuję i będziemy żyli szczęśliwi — ja byłem rozwiązły, rozpustny, ale ciebie Leontyno, żono moja nad życie kochałem, jabym dla ciebie był wszystko porzucił, ale się ty odemnie oddaliłaś, jam to obojętności twojej przypisywał. Leontyno! czy kochasz mnie jeszcze? ja ciebie kocham, tyś dla mnie wszystkim, mojem szczęściem całym, moją sławą, moim aniołem... Leontyno kochasz mnie?

Ona już szaleje, w jej łonie spazmy... tego już wytrzymać nie może, on mówi do niej słowy jej własnymi, on mówi prawdziwem miłości uczuciem... on ją kocha, onaby mogła być szczęśliwą — i kurcz ścisnął serce, szaleństwo przemawia w głowie, miesza wszystkie przedmioty, i przychodzi jej w tej chwili na myśl rozmowa przed pięć laty, w której ona te same słowa mówiła, a on dziś do niej — i szalony, spazmowy, przeraźliwy śmiech ją porywa i dobywa się gwałtownie z piersi. — Ty mnie kochasz! cha! cha! cha! ja ciebie błagałam, tyś się śmiał Auguście, to pocieszne, cha! cha! cha! ty teraz tu przedemną — Auguście to śmieszne cha! cha! cha! Auguście kochaj mnie! ja ciebie kocham jak Boga, jak szczęście, cha! cha! cha! — Leontyno kochaj mnie, ja ciebie kocham, cha! cha! cha!

Przestraszył się August, przyskoczył do niej i woła w ucho z szczerem, bolesnym wyrazem. — Leontyno opamiętaj się — kochana Leontyno! życie moje! zapomniane wszystko, ja ciebie kocham.

— Ty mnie kochasz, cha! cha! cha! — kochasz; cha! cha! cha!

— Leontyno! zmiłuj się, przyjdź do siebie, błagam cię, zaklinam cię — i kląkł przed nią.

A ona tarza się po posadzce w balowym stroju. — Ty mnie błagasz, cha! cha! cha! zaklinasz, ty klęczysz, cha! cha! cha!

— Moje życie ja w nic nie wierzę — to potwarz, patrz! drę te listy, niech przepadną. — August sam nie wie co robi, widok spazmów okropnych, tego śmiechu strasznego, co tak przeraźliwie rozchodzi się po cichym pokoju, tak go wstrząsł i poruszył, że mimowolnie łzy mu się puściły.

— Ty płaczesz Augustcie, cha! cha! cha! płaczesz, to śmieszne, cha! cha! cha!

Może sobie i przypomniał w tej chwili scenę przed laty pięciu, zadrżał okropnie, a tak różne i niezrozumiane uczucia przepełniły mu serce, że mu łona rozeprzeć groziły; głośnie łkania dobywały się z piersi, łzy rozczulenia, żalu ciekły po licach... Okropne było milczenie w pokoju przerywane tylko łkaniem i płaczem Augusta żalonym, a przeraźliwym, szalonym śmiechem Leontyny; musiało to być okropne, bo się aż dziecko przebudziło i krzyknęło z przestachu. Przyszedł nieco August do siebie na ten krzyk, porwał dziecko, ciśnął do łona matki a sam krzyczał jej w ucho głosem przez łkania przerywanym: — Leontyno! życie! aniele! patrz to twój Alfred, to mój Alfred, to nasz Alfred, zmiłuj się Leontyno!

Ledwie usłyszała Leontyna, niewyraźnie zrozumiała i ciągle w spazmicznym śmiechu wykrzykiwała: — to nie twój, to nie twój, cha! cha! cha! to mój tylko Alfred! cha! cha! cha! to nie twój Augustcie, cha! cha! cha! — Kilka jeszcze konwulsyjnych śmiechów wyrwało się z łona zmęczonego i uderzyła zemdloną głową o drewnianą posadzkę. — To okropnie! to strasznie! — krzyknął łkając August — rzucił dziecko w kołyskę i wybiegł jak szalony z pokoju... I milczenie zostało głębokie — matka leżała bez czucia a dziecko zadrze-mało spokojnie.

III.

A potem — w kilka dni Leontyna umarła na familijną po matce odziedziczoną spazmową słabość, a August po zdybaniu się z Ernestem z kulą w nodze pojechał do Tręczyna. Przyszedszy do zdrowia, wierny radom ojcowskim wyjechał do Paryża kształcić się na ministra; stary szambelan wychowuje wnuka, o którym August nigdy nie spominał, ma zupełnie nowy polityczno-dyplomatyczny sposób. A Ernest... lecz na cóż o tem mówić; wszyscy wiedzą jaki los Ernestów, jakie uczucia w Ernestach.

IGNACY MIŁASZEWSKI

zegarmistrz

we Lwowie, ulica Halicka l. 1

poleca swój

wielki skład zegarków kieszonkowych

z sławnych genewskich i innych znakomitych fabryk

Wybór najmodniejszych

ZEGARÓW STOŁOWYCH

ściennych szwarcwaldskich i w podróży używanych.

☛ Każda sprzedaż i reperacja pod gwarancją roczną.

MAGAZYN MÓD
W. MANTUANI

z Paryża

we Lwowie w Hotelu George'a

poleca

Szanownym P. T. Damom najobfitszy wybór wszelkich
w zakres modniarski wchodzących, o każdej porze
roku odpowiednich **strojów.**

Zamówienia na prowincję uskuteczniam szybko i najakuratniej.



czyli nadania siwym włosom koloru naturalnego, o których nieszkodliwości i wielkiej skuteczności jesteśmy praktyką przekonani.

K. BAYER & LEON

przedtem L. JANOWSKI

we Lwowie, ulica Teatralna l. 7

polecają Szanownej P. T. Publiczności

swój zakład

fryzjersko-perukarski

zaopatrzony w wszelkie

perfumerye i artykuły toaletowe

z najśliczniejszych fabryk francuzkich i angielskich.

Warkocze z prawdziwych włosów, w cenach od złr. 3 i wyżej, loki, pukle i krepony z włosów po cenach niskich. — Wszelkie roboty z włosów, peruki i tupety na najdelikatniejszych sprężynach i zamkach, agafowe siatki do skóry ciała zupełnie podobne, całe ubiory z włosów i inne wyroby fryzjersko-perukarskie przyjmujemy, i po cenach najtańszych wykonujemy. — Salony do fryzowania strzyżenia, czesania gołenias i farbowania włosów urzadzone z wszelkimi dogodnościami dla Szanownej P. T. Publiczności — Szczególniejszą uwagę pozwalamy sobie zwrócić na wielki zapas tych jedynie farb do włosów, i wód do odświeżania

Główny skład Tapet

Rekwizyta szkolne

HANDEL TOWARÓW PAPIEROWYCH

i rekwizytów szkolnych

pod firmą

A. J. Połuszkiewicz i Spł.

we Lwowie

(plac Maryacki).

Załatwia i dostarcza obicia pokojowe i dekoracye.

Przybory do pisania

Towary włóczkowe

S K Ł A D

obrazów, papieru, wszelkich potrzeb do pisania, rysowania i malowania, ram do obrazów i fotografij.

A. ROZŁOWSKI

we Lwowie,
przy ulicy Halickiej l. 16

przyjmuje zamówienia

NA BILETY WIZYTOWE LITOGRAFOWANE
i szybko prasowane,

na odciski różnego rodzaju

na papier listowy i oprawy książek.

*Wszelkie zamówienia zamówione
uskuteczniłam jak najrychlej.*

S K Ł A D
książek do rachunków, galanterji, towarów skórzanych
perfum, pomad, mydełek i wody kolońskiej prawdziwej.

KSIEGARNIA

A. Seyfartha i D. Czajkowskiego

WE LWOWIE, RYNEK GŁÓWNY 24

zaopatrzona we wszystkie gałęzie literatury krajowej i zagranicznej

przyjmuje prenumeratę

na wszystkie Czasopisma krajowe i zagraniczne.

Główna agencja:

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO wychodzącego w Warszawie.

WĘDROWCA. Pisma ilustrowanego, zawierającego przeróżne opisy podróży, kronikę z wiadomości z granicą.

BIESIADY LITERACKIEJ. Pisma ilustrowanego wychodzącego każdego tygodnia w Warszawie, zawierającego: powieści, wiadomości naukowe i kronikę krajową i zagraniczną itp.

Skład i wypożyczalnia fortepianów, pianin i harmonium.

Wielki skład i wypożyczalnia nót
pod nader korzystnymi warunkami.

Wybór wielki, robota doskonała, materiały trwałe
ceny niskie stałe.

**Skład fabryczny parasoli
i parasolek**

JULII SEDZIMIRÓWEJ

we Lwowie,
w hotelu angielskim.

Wszelkie do zawodu należące naprawy
przyjmuje się i uskutecznia najdokładniej.

T. MAJEWSKA

SKŁAD STROJÓW DAMSKICH

ulica Hetmańska l. 4.

FABRYKA WYROBÓW SŁOMIANYCH JÓZEFA TEGISCHERA

we Lwowie, plac Maryacki, hotel Langa
odznaczona na wystawie wiedeńskiej w roku 1873, Medalem zasługi
i 3ma medalami dla współpracowników
poleca



dla dam i mężczyzn, dla dziewcząt i chłopców
po najniższych cenach fabrycznych.

Odbiorcy w większych partjach otrzymują odpowiedni opust.

Na porę wiosenną i letnią skład mój zaopatrzony obficie w kapelusze słomkowe z ubraniem lub bez takowego tak również w plecionki i garnitury włoskie, francuskie, angielskie, belgijskie i szwajcarskie wyrobione ze słomy, włosienia, jedwabiu, kotonu i t. p.

Na porę jesienną i zimową posiadam w wielkim wyborze kapelusze filcowe, z pluszu, aksamitu, rypsu i sukna z ubraniem i bez tegoż, również czółenka do kapeluszy damskich z drutu, petinety, apręty i tiulu, i kapelusze lakierowane.

Kamasze, filcowe buciki i podeszwy do wykładania butów filcowe i ze słomy.

Posiadając maszyny najnowszej konstrukcyi jestem w możności największe zamówienia jak najdokładniej i w najkrótszym czasie skutecznie, czego dobra reputacya firmy mojej, jaką uzyskała u Szanownej Publiczności najlepiej dowodzi.

Z wysokim szacunkiem

J. Tegiszer.

MAGAZYN
TOWARÓW BŁAWATNYCH
PŁÓCIEN I BIELIZNY
stołowej
F. KNAUERA

WE LWOWIE,

pod „Złotym Lwem“ plac kapitulny Nr. 2.

poleca

najnowsze materye wełniane, mohaire i rypsy prawdziwe angielskie na suknie damskie, czarne materye jedwabne, aksamity i manszestry, damskie szale i chustki wełniane, berlińskie i krajowe, wiedeńskie, plaidy i szale męskie, różne kapy do pokrycia łóżek, serwety wełniane i niciane, flanelki białe i kolorowe, kamizelki, chustki do nosa fularowe, płóciennie białe i kolorowe, chustki na szyje jedwabne, batystowe i perkalowe, pończochy damskie i męskie, tudzież szkarpetki niciane, bawełniane i wełniane, pończochy wełniane strzeleckie, kaftaniki i spodnie bawełniane (trykotowe) wełniane (flanelowe i merynosowe), barchany kolorowe i białe, perkale, dymki, płócienka, zapal i nankin na poszwy, nici rozmaitego gatunku, bawełnę pottendorfską, Estramadura i amerykańską, koce i kołdry wszelkich gatunków jakoteż gotową bieliznę męską i damską.

Utrzymuje również wielki zapas czysto lnianych płócien, bielizny stołowej i płótna bez szwu na prześcieradła z najpierwszych i najlepszych rumburskich, szwajcarskich, holenderskich i szląskich fabryk. Sprzedaje takowe jako i powyżej wymienione towary po niskiej cenie i poręcza ich dobroć.

Podwzory do haftu przyjmują się do wybicia za mierną cenę i skuteczniają się w najkrótszym czasie.

MAGAZYN NOWOŚCI

pod firmą:

LEON FEINTUCH

we Lwowie,

przy placu Maryackim w nowym gmachu Banku Hipotecznego,
vis-à-vis hotelu Georga,

poleca Szanownej P. T. Publiczności

Wielki wybór **kwiatów francuskich** po cenach bardzo przystępnych. — **Gorsety** od złr. 2.75 do 7.50. **Wachlarze** od 1 złr. do najbogatszych. — **Szale himalaya, Pledy, Koldry, Płaszcz gumowe, Kamasze** do konnej jazdy i polowania, **Kalosze, Parasole, Łaski i Spieruty.** — **Koszule męskie białe** po 4 złr. i kolorowe oxford, **Kaftaniki, Skarpetki, Pończochy i Chustki.** — Wielki wybór najnowszych **kravat dla dam, męczyzn.** — **Kapelusze męskie i Rękawiczki.** — Wielki wybór najnowszych wzorów **biżuterii.** — Wielki skład **Parfumerii francuskiej i angielskiej.** — **Kufry i Torby** z urządzeniem i bez. — **Wyroby z brązu, skóry, porcelany i drzewa.**

Zamówienia zamiejscowe uskutecznią się odwrotną pocztą.

U w i a d o m i e n i e.

Niniejszem mamy zaszczyt zawiadomić szan. Publiczność, że z d. 3 maja otworzyliśmy na nowo w Rynku pod l. 45

Magazyn i pracownię jubilersko-złotniczą

od lat czterdziestu w temże samem miejscu pod firmą „Józefa Ostrowskiego“ z różnemi odmianami znaną a dziś pod nową firmą:

J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI

prowadzoną. Niezachwiane zaufanie i poparcie P. T. Publiczności, która dotąd tę jedną z najstarszych firm we Lwowie wspierać raczyła, pozwalają nam liczyć i na dalsze względy szan. odbiorców, których oraz mamy zaszczyt zawiadomić, że zaopatrzywszy magazyn nasz we

wszelkie najmodniejsze towary ze złota dukatowego 18 i 14 karat. —

srebra 13 próby cechowanego i jubilerskie, sprzedajemy takowe po cenach jak najprzystępniejszych, przyjmując zarazem wszelkie zamówienia i naprawy, które w pracowni naszej z największą dokładnością i umiejętnością wykonane będą. Kupno lub zamiana zużytych przedmiotów, uskutecznią się jak najkorzystniej, zaś zlecenia z prowiniey będą jak najrychlej i najsumienniej załatwiane.

W końcu zwracamy uwagę szanownej Publiczności na wielki skład **chińskiego srebra** ze znanej już u nas słynnej fabryki paryskiej Christofle & C., które po cenach fabrycznych z rzetelną gwarancją na długie lata — sprzedajemy.

Z najgłębszem uszanowaniem
J. Ostrowski & J. Strzelecki.



NOWE KAPELUSZE FILCOWE

najnowsze fasony i wszelkiego koloru

po złr. 1.80, 2, 2.50, 3, 3.50, 4, 4.50, 5, 5.50,

CYLINDRY

po złr. 3.50, 4, 5, 6, 7,
i prawdziwe angielskie najlepsze gatunku po 8 złr.

Poleca niżej podpisany Szan. P. T. Publiczności, zwracając uwagę szczególnie Panów przybywających z prowincyi, aby w dobrze zrozumianym własnym interesie nie pomijali sposobności, i pozwolili wziąć sobie miarę za pomocą nowo wynalezionego przyrządu zwanego **konformatorem** według której to miary jedynie, staje się możebnem kapelusz tak dokładnie dostosować do głowy, że ani bólu, ani najmniejszego nie sprawia ośmienia. Wskutek tego prawdziwie dobroczynnego ułatwienia kapelusze jakiegokolwiek zamawiać można listownie, z tem niezachwianem przedświadczeniem, że najwybredniejsze nawet wymagania zaspokojonemi być mogą, przez co kupującą Publiczność od niewygody odsyłek zwrótnych, jak i od wydatków niepotrzebnych się ochrania.

Osobliwie zwraca się uwagę na **kapelusze filcowe na Galecie**, o podwójnych kryszach, które nigdy nie lamia się, **jakoteż nieprzepuszczają gumy na powierzchnia kapelusza jak to się dzieje z zwykłymi pojedynczymi kapeluszami filcowymi.** Jeżeli wypadek zdarzy, że kapelusz na galecie pognie się, to pogięcie takie nie pozostawia po sobie żadnych śladów na kapeluszu i łatwo da się wyprasować. Za kapelusze filcowe na galecie daje się **dwuletnia gwarancja.**

Obywajsz po ojeu moim **F. Fiala** znany zaszczytnie w kraju handel wyż pomienionych przedmiotów, dołoży wszelkich starań, ażeby punktualnością i doborowem materyałem zjednać sobie i nadal względę Szanownej P. T. Publiczności.

O liczne zamówienia uprasza

KAROL FIALA

fabrykant kapeluszy we Lwowie.



F. GROS i W. STRUS

we Lwowie, ulica Hetmańska 1. 6

CUKIERNIA

zaopatrzona

wielki wybór ciast, konfitur, cukrów, likworów i win

poleca o każdej porze dnia napoje gorące, jako to:

wyborną kawę, herbatę, poncz i czekoladę, przymem
znaczną ilość gazet.

Pierwsza krajowa

FABRYKA CZEKOLADY

F. GROS i W. STRUS

we Lwowie, ulica Hetmańska 1. 6

wyrabia maszynami wszelkie produkty z kakao i czekolady
z czystego ziarna i cukru po cenach o 80% niższych,
jak fabryki zagraniczne.

Właściciel magazynu

CZEKOLADY i CUKRÓW

F. GROS i W. STRUS

we Lwowie, ulica Hetmańska 1. 6.

jest zaopatrzony w wielki wybór bombonierek
po różnych cenach.

Wszystkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się niezwłocznie.

Powiększony i nowo obficie zaopatrzony
specjalny i wyłącznie

GLÓWNY SKŁAD NASION TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie, plac Halicki 1. 15 w gmachu banku hipotecznego
poleca

Nasiona wszelkiego rodzaju szlachetne i pewne, Jarzyn, Kwiatów, Drzew
szpilkowych, liściastych, Krzewów, Roślin pastewnych, Traw i wszel-
kich ekonomicznych, Lucernę francuską, Turnips szkocki i Rzepe-
ściarniową. Róże szczepione, Drzewa owocowe, Szparagi olbrzymie,
Truskawki, Poziomki miesięczne i t. p.

Pflance jarzyn i kwiatów wszelkiego rodzaju w stosownej porze. Haar-
lemskie Cebulki kwiatowe oryginalne, Hyacenty, Tulipany, Tacety,
Lilie i t. p. od września do końca grudnia. Narzędzia ogrodnicze, noże,
nożyce, pilki. Masę do szczepienia, Łyko indyjskie, rogowe Trzaski
Mączka, Kości mielone, Atrament Graefa.

Paliki i blykioty do kwiatów, Ziemia do kwiatów, Worki płócienne i oryginalne Koldry
Pławuckie. — Bukiety i wieńce najgustowniejże świeże i zasuszane. — Ordery
Kotylionowe w wielkim wyborze.

Pasy do maszyn i młócarń najlepsze belgijskie gat. I. Oliwa do maszyn,
Smarowidło belgijskie do osi i Tuszcz do pasów. Rzemyki i spinki do
pasów, Klucze do spinek, tudzież wyroby z dóbr JE. Alfreda hr. Poto-
ckiego: Sukna na Bundy i Kurtki, gotowe Bundy do podróży, Koee,
sukna podłogowe, Starka żytnia 14-letnia, Rosolisy i Likiery.

NA WYSTAWIE
WIEDENSKIEJ
z r. 1873 premjowany
medalem zasługi.

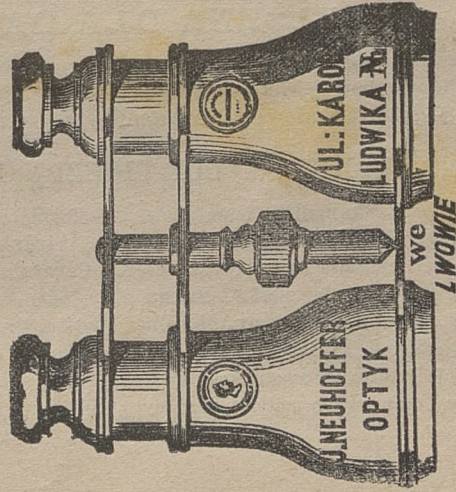
J. NEUHÖFER

C. k. nadworny optyk i mechanik z Wiednia

NA WYSTAWIE
WIEDENSKIEJ
z r. 1873 premjowany
medalem zasługi.

we Lwowie, ulica Karola Ludwika 1. 9 i róg ulicy Sykstuskiej

poleca swój



doborowo zaopatrzony skład wszelkich przyrządów

optycznych i mechanicznych
po cenach fabrycznych.

Szczególną uwagę zwracam na mego własnego wyrobu

OKULARY i PINCENEZ'S
(CWIKIERY)

o białych i kolorowych szklach w najrozmaitszych oprawach

po cenie 1 złr. i wyżej

Binokli teatralnych, lunet dla marynarki i polowych, perspektyw podróżnych z 6 i 12 szklami po złr. 7 i wyżej. — Wielki wybór mikroskopów, barometrów, termometrów, wag wodnych, taśm mierniczych, wszelkich narzędzi dla inżynierów i fabryk.

Reparacye skuteczniam w najkrótszym czasie.

CENY STAŁE.

CENY STAŁE

ROMAN WOJCZYŃSKI

we Lwowie,

ulica Halicka, róg Wekslarskiej l. 11

poleca

WIELKI WYBÓR NAJMODNIEJSZYCH MATERIJ

wędnianych, czarnych i kolorowych
na suknie i kostiumy damskie,
lyońskie materje jedwabne, kolorowe i czarne (garantie).

NA SUKNIE i OKRYCIA
aksamity lyońskie czarne, welwety angielskie
czarne i kolorowe.

Gotowe suknie damskie, okrycia i płaszcze.

Pledy, Chustki himalaja, Chustki i Szale czarne.

PŁÓTNA IRLANDZKIE, HOLENDERSKIE I RUMBURGSKIE.

Bieliznę stołową, Ręczniki, Chustki do nosa,
Valencienne batysty i chustki batystowe do nosa.

BIELIZNA DLA DAM.

Koszule płócienne i perkalowe, spodnice perkalowe i barchanowe
Kaftaniki negligé perkalowe i barchanowe, Reniuary, Czepeczki
nocne, Majtki perkalowe i barchanowe, Kołnierzyki i manszety.

Kompletny wybór bielizny męskiej.

Pończochy i Skarpetki bawełniane i wełniane, damskie i męskie
Kaftaniki i Majtki flanelowe i trykotowe, Firanki do okien, Kapy
gobelinowe i rypsove do nakrycia stołów. Cerata na meble, oraz fladrowana do pokrycia stołów, Sukna (drap de dames) flanele, lamy barchany, Perkale, Kretony, Mouśliny, Jacona, Organdisy białe i kolorowe, w różnych jakościach artykuły podszewkowe i do ubierania sukien. Ałasy jedwabne i bawełniane, Rypsy, Damisy, Nankiny, Organtyny, Mouśliny, oraz wybór materji na wsypy i poszwy jedwabnych, niecia-nych i bawełnianych.

CENY STAŁE.

CENY STAŁE.

F. S. BARDASZ

we Lwowie,
naprzeciw kościoła katedralnego l. 9

poleca

PŁÓTNA I STOŁOWĄ BIELIZNĘ

największy wybór gotowej bielizny
angielskich płaszców od deszczu
deszczochronów i pledów,
saskich pończoch i skarpetek
najmodniejszych krawatek, manszet i kołnierzyków.

☛ Na jesień i zimę ☛

największy wybór trykotowych towarów.

Towar doborowy. Ceny stałe najmienniejsze.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

najpiękniejszych i najmodniejszych

STROJÓW z PARYŻA

a mianowicie

kapelusze, stroje balowe, czypeczki wizytowe, negliżyki,
ubrania, kokardy, berty, pelerynki, rękawki, kryzy, szaliki,
weloniki, szarfy do sukien, kapelusze podróżne itp.

Kwiaty, wieńce mirtowe, welony ślubne, pióra strusie, fantazyjne itp.,
kapiszony, chustki włóczkowe garnirowane i różne okrycia na głowę.

Na bale układam z kwiatów całe garnitury do przystrojenia
głowy i sukni, podług najnowszej mody.

Posiadając od wielu lat zaufanie Szanownych Dam, polecam moje stroje, jako
najgustowniejsze i po umiarkowanych cenach.

M. Topolnicka

we Lwowie, plac Halicki l. 1.

Zamówienia z prowincyi zaraz skuteczniām.

JAKÓB PRIESTER

we Lwowie,
przy ulicy Sobieskiego pod l. 5
poleca swój

SKŁAD OBUWIA MĘZKIEGO

we wszystkich gatunkach,
także z rossyjskiego juchtu i przyjmuje obstalunki,
które w najkrótszym czasie wykonane zostają.
Dalej utrzymuje na składzie wybór gotowego obuwia po najtańszych
cenach oraz szware do czyszczenia butów
z najlepszej fabryki wiedeńskiej bez wytryolu.

Główny skład nafty



salonowej i gospodarskiej.

Naftowe i Olejne Lampy

R. DITMAR

C. K. UPRZ. FABRYKA LAMP

we Wiedniu

główny skład na Galicyę
we Lwowie, (plac Maryacki Nr. 3)

LAMPY WISZĄCE

SALONOWE, STOŁOWE i ŚCIENNE

KANDELABRY.

WSZELKIE ARTYKUŁY OŚWIETLANIA
we fabrykach.

SKŁAD
rozmaitych przyborów szklanych
do LAMP

jakoteż niepękających marką fabryczną X zaopatrzonych szkiełek (cylindrów).

CES. KRÓL. UPRZYWIL.

AZIENDA ASSICURATRICE W T R Y E Ś C I E

najstarsze Towarzystwo Asekuracyjne w austriackiem państwie,
założone w roku 1822, a tu w kraju od roku 1830 operujące,

ubezpiecza po stałych i miernych premiach:

- a) budynki i ruchomości przeciw szkodom ogniowym;
- b) ziemiopłody przeciw szkodom gradowym;
- c) bydło opasowe i gospodarze przeciw zarazie;
- d) życie człowieka we wszystkich kombinacjach.

Bliższych wyjaśnień udziela z całą gotowością

Reprezentacya we Lwowie, przy ulicy Akademickiej pod liczbą 5,
jakoteż agencye we wszystkich miastach i miasteczkach.

ZAKŁAD artystyczno-fotograficzny

uskuteczniający
wszelkiego rodzaju w zakres
ten wchodzące zamówienia
po najtańszych cenach.

Obstalunki
z prowineyi w y-
konuje się
punktu-
alnie.

S. ROSENBAACH
we Lwowie, plac Maryacki pod l. 3.
między hotelem Europejskim a Georgea na dole w podwórzu.

Ceny:

Za tuzin fotografii w całej postawie 3 zł.
W popiersiu 4 „
Od żelatynowania pół tuzina . . . 2 „
Od całego tuzina 3 „

Handel założony w roku 1789.

ZBIÓR MAJOWY 1877.

Zupełnie świeży transport

HERBATY CHINSKO-ROSSYJSKIEJ

otrzymał handel

Fryderyka Schubutha i Syna

we Lwowie, rynek l. 45.

pół kil. herbaty Congo . . .	złr. 1.60	pół kil. herbaty Pecco przed. . .	złr. 3
„ „ „ Souchong . . .	2.—	„ „ „ „ najprzed. . .	4
„ „ „ „ przed. . .	3.—	„ „ „ „ karaw. zł. 5, 6 i 8	
„ „ „ „ najprzed. . .	4.—	„ „ „ „ żółtej . . .	złr. 5
„ „ „ „ Pecco . . .	2.50		

Okruchy herbaciane pół kilo złr. 1.20, najlepsze złr. 1.50.

Ośmioletni stary RUM bremski

butelka cała . . .	złr. 1.50	butelka cała . . .	złr. 2.—
„ pół . . .	—75	„ pół . . .	1.—
„ ćwierć . . .	—40	„ ćwierć . . .	—50

Cenniki rozsełamy franko!

Zamówienia z prowineyi odwrotną pocztą wysła się.

Opakowanie bezpłatne!

Ceny oznaczone na pół kilo w paczkach $\frac{1}{2}$, $\frac{1}{4}$ i $\frac{1}{8}$ kilo.

Nowa waga metryczna.

Nowa waga metryczna.

Najsłynniejsza w Austryi i zagranicą

FABRYKA
WYROBÓW SŁOMIANYCH

pod firmą

J. OBERWALDER & CO

we Lwowie, ulica Karola Ludwika 1. 5

poleca

swój magazyn zaopatrzony w największy wybór

najpiękniejszych i najmodniejszych

KAPELUSZY SŁOMKOWYCH

tudzież

wyroby plecione ze słomy

wszelkiego rodzaju i w różnych deseniach

 po cenach fabrycznych. 

Utrzymuje także na składzie

NAJWIĘKSZY WYBÓR

KAPELUSZY FILCOWYCH

najmodniejszych i po cenach najprzystępniejszych

gdyż

magazyn ten także i w porze zimowej otąd otwarty będzie.

Na żądanie sprzedaje się kapelusze już ubrane
według najnowszej mody.

*Zamówienia z prowincyi, uskutecznia się natychmiast, cenniki
zaś rozsyłają się na żądanie gratis i franco.*

Magazyn nowości damskich
również
przyborów krawieckich i szewskich
W. BYSTRZONOWSKIEGO

we Lwowie, ulica Halicka 1. 18

zwracając uwagę na ceny nader przystępne

poleca nowo zaopatrzoney

SKŁAD TOWARÓW

*z fabryk pierwszorzędných
francuzkich, angielskich i niemieckich.*

Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą.

Na żądanie przesyła spis artykułów franco.

☛ Zamówienia wyżej 10 złr. przesyła franko, nie licząc za opakowanie.

O P T Y K
MAURYCY BOSCOWITZ,

we Lwowie, róg placu Marjackiego 1. 7.

poleca PT. Publiczności swój

największy, nowo usortowany

SKŁAD TOWARÓW OPTYCZNYCH

☛ *po najtańszych cenach.* ☛

Okulary, cwikiery, sztechery, lornetki, dalowidy, barometry, termometry, tudzież dla lekarzy lupy, szkła do czytania, mikroskopy we wszystkich możebnych fasonach, manometry do kotłów parowych, instrumenta miernicze, colsztoki, tasiemki do mierzenia, reiscergi, laterna magica, maszyny elektryczne, w ogóle wszystkie w zakres optyczny wehodzące przedmioty w najlepszej jakości i w największym wyborze.

☛ *Przyjmuje urządzenie dzwonekóv telegraficznych pokojowych i domowych, tudzież konduktorów piorunowych. Tego rodzaju urządzenia wykonują się najdokładniej lub udzielam informacyi do urzędów.*

☛ *Reparacje wszystkich przedmiotów optycznych i mechanicznych, także instrumentów, wykonuje po najtańszej cenie i najrychlej.*

Listowne zlecenia, także zapytania załatwiam natychmiast.

Pierwszy zakład wyrobów
GALANTERYJNO-TOKARSKICH
istniejący od roku 1836

A. NADWODZKIEGO

we Lwowie, rynek l. 27.

poleca swój magazyn, zaopatrzony w największy wybór **cygarniczek bursztynowych, piankowych, z drzew rozmaitych, cybuchy wiśniowe, antypki, jaśminowe laski, harapy, spicruty itp.**

Fajki prawdziwe tureckie „**STAMBUŁKI**“

WIELKI WYBÓR

Grzebieni rogowych, z rogu bawolego, ze szylkretu, z kości słoniowej, z bukszpanu,

Szczotki do włosów i sukien, do ust i paznokci z najznakomitszych fabryk francuzkich.

Szachy, szachownice, domina, tacki, marki i sztony do preferansa, arcaby, kule do kręgieł itp.

Kule bilardowe z kości słoniowej.

Wyroby drobiazgowo francuzkie.

➡ Po stałych bardzo przystępnych cenach. ➡

ANTONI SCHWETLICH

we Lwowie ulica Trybunalska l. 10

poleca swoją

od wielu lat znaną pracownię i

SKŁAD OBUWIA MĘZKIEGO.

Mianowicie wyrabia obuwia męskie wszelkiego rodzaju z wyborowych skór zagranicznych, jako to: z **hamburskiej skóry, z juchtu rosyjskiego i francuskiej skóry** cieleńcej itp.

po cenach bardzo umiarkowanych.

Zamówienia z prowincyi uskutecznia w najkrótszym czasie, ręcząc za trwałą i elegancką robotę.

Dziękując Szanownej Publiczności za dotychczasowe zaufanie, poleca się nadal łaskawym względom

A. Schwetlich.

ALEKSANDER GETRITZ

we Lwowie, Rynek l. 41

poleca swoją

INTROLIGATORSKĄ PRACOWNIĘ

zaopatrzoną we wszystkie maszyny,
które do prędkiego i pięknego wykonania robót są potrzebne, jako też
wielki dobór czcionek, winetów i różnych ozdób
ze skóry, brązu i drzewa.
Wszelkie oprawy po cenach nader przystępnych.

Ważne dla mieszkających na prowincyi

Na niżej wymienione dzieła posiadam w wielkiej ilości
ozdobnie wykonane okładki:

J. I. Kraszewski, powieści; okładka na dwa tomy z popiersiem autora w złocie. —
Kraśiński, Zaleski, Mickiewicz, Pisma. — Korzeniowski, Dzieła. — Pol, Dzieła. — Bro-
dziński, Pisma. — Szlosser, Dzieje powszechne. — Fredro Aleks. i Jan, Komedye. —
Słowacki, Pisma. — Syrokomla, Poezye. — Encyklopedia wiedzy ludzkiej, po-
wszechna i rolnictwa. — Konversations-Lexikon. — Pismo święte z ilustracyami
G. Dorégo. — Muzeum sztuki europejskiej. — Bluszcz. — Bazar. — Klosy. —
Wieniec. Tygodnik ilustrowany — Ueber Land und Meer. — Gartenlaube. — Haus-
freund. — Album Jana Matejki, Willanów. — Bajki Lafontena. — Jezus Chrystus
i na wszystkie inne, które z druku wychodzą.

MAGAZYN

towarów kolonialnych, owoców, herbaty,
lakoci, win, rumu, likierów i wód mineralnych

pod firmą

F. W. KRÓLIKOWSKI

we Lwowie, plac Maryacki l. 7.

Rozsyła towary kupione za gotówkę, najmniej 50 zlr.
wynosząc (nie rachując w to cukru), na koszt własny do
każdej stacyi kolei galicyjskich, dając tym sposobem moż-
ność zaopatrzenia się w towar tylko doborowej jakości,
po cenach czysto sklepowych nie rachuje bowiem w tym
razie opakowania.

i w świeże towary zaopatrzoney



MAGAZYN SCHAYERÓW

ULICA KAROLA LUDWIKA,

ma zaszczyt zawiadomić Szan. Publiczność, iż obok istniejącego składu płócien, towarów bławatnych i gotowej bielizny dla dam i mężczyzn, urządzonym został

SALON GOTOWYCH SUKIEN DAMSKICH

a zaopatrzywszy takowy w najnowsze modele i żurnale francuskie, polecamy ten nowy dział interesu naszego łaskawej życzliwości szanownych naszych odbiorców.

Wszelkie zamówienia z prowincyi uskuteczniamy jak najspieszniej. — Próbkę i cenniki na żądanie franco. — Ceny stałe.

Znaczenie poszerzoney

Cenniki na żądanie franco.

GALICYJSKI BANK KREDYTOWY

we Lwowie,
przy ulicy Wałowej pod l. 4,

wydaje w myśl § 7 statutów *)

ASYGNATY KASOWE

5-procentowe za 14-dniowem wypowiedzeniem

6	"	"	30	"	"
6 $\frac{1}{2}$	"	"	90	"	"

dalej przyjmuje

W K Ł A D K I

na książeczki oszczędności, począwszy od jednego zlr.
i procentuje takowe po 6 od sta.

Splaty aż do 200 zlr. bez wypowiedzenia.

DZIAŁ ZASTAWNICZY

daje zaliczki na
kosztowności, złote i srebrne przedmioty.

WYCIĄG Z PARAGRAFU 7 STATUTÓW:

*) Towarzystwo ma prawo załatwiać wszelkiego rodzaju interesa bankowe, finansowe, zaliczkowe, kredytowe, giełdowe i towarowe, na własny lub obcy rachunek, niemniej interesa komisowe i depozytowe; dyskontować weksle, asygnacye i obligi; udzielać zaliczki i kredyty na papiery państwowe, akcyje, obligacye, świadectwa składowe (*Warrants*), konosamenty i na efekta wszelkiego rodzaju, równie też i na zastawy ruchome i nieruchome i t. d.

J. C I R O K

przedtem

E. ZIEGLER

rękawicznik i bandażysta

we Lwowie, rynek l. 30

pod godłem: „RYCERZA“

poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju

Towarów rękawicznich

mianowicie:

wszelkie rodzaje damskich i męskich rękawiczek we wszystkich najnowszych barwach, amerykańskie jelonkowe pantalone, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby, czapki mundurowe i cywilne, szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumalastyczne. oraz rozmaite wyroby skórkowe

po stałych i umiarkowanych cenach.

Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się w najkrótszym czasie.

Pierwszy i największy

WIEDENSKI BAZAR

J. KÖNIGSBERGERA

utrzymuje dobrze zaopatrzony

skład towarów drobiazgowych norymberskich,

perfumeryi, galanterijnych towarów skórkowych
i tysiąc innych pożytecznych przedmiotów.

Główny skład dla Galicyi

we Lwowie *tylko* w Rynku l. 32.

Wyrób krajowy z fabryki Cementu
pod firmą:

W. Struszkiewicz J. Długoszowski

Stacya kolei Arc. Albr. Dolina

poleca wyrób ten krajowy równający się fabrykatom zagranicznym o 50% droższym, stwierdzony licznymi próbami publicznymi polecane przez znakomitości fachowe podchlebnymi świadectwami również zaszczycony medalem na podniesienie krajowego przemysłu

CEMENT PORTLAND

przyjmuje i wykonuje zamówienia na wszelkiego rodzaju roboty z Cementu: a mianowicie — wszelkie ozdoby architektowane **schody, żłoby, posadzki i chodniki betonowe, zbiorniki na wodę i gnojówkę, rury wszelkiego rodzaju do drenowania i wodociągów, pomniki, postumenta i t. d.**

Główny skład i zastępstwo
we Lwowie

u p. Jana Schumanna
plac Maryacki l. 9.

SKŁAD FUTER
B. SZARKIEWICZA

we Lwowie, ul. Wałowa Nr. 3.
(naprzeciw Galicyjskiego Banku kredytowego).

Poleca Szanownej Publiczności

SKŁAD FUTER

w najlepszych i najrozmaitszych gatunkach, jakie tylko w zakres tego handlu wchodzić mogą.

Wszelkie obstalunki tak w miejscu jak na prowincję z akuratrością, pospiechem i rzetelnością wykonuje.

Dziękując za dotychczasowe względy, poleca się i nadal Szanownej P. T. Publiczności.

SKULSKI I LEON

we Lwowie, ul. Karola Ludwika l. 1

polecają

Szanownej P. T. Publiczności swój

ZAKŁAD FRYZYERSKO-PERUKARSKI

zaopatrzoney w wszelkie

perfumerye i artykuły toaletowe

z najslynniejszych fabryk francuzkich i angielskich

Warkocze z prawdziwych włosów, w cenach od zlr. 3 i wyżej, loki, pukle i krepony z włosów po cenach niskich. — Wszelkie roboty z włosów, peruki i tupy na najdelikatniejszych sprężynach i zamkach, agafowe siatki do skóry ciała zupełnie podobne, całe ubiory z włosów i inne wyroby fryzyersko-perukarskie przyjmujemy, i po cenach najtańszych wykonujemy. — Salony do fryzowania, strzyżenia, czesania, golenia i farbowania włosów urządzone z wszelkimi dogodnościami dla Szanownej P. T. Publiczności — Szczególniejszą uwagę pozwalamy sobie zwrócić na wielki zapas tych jedynie farb do włosów, i wód do odmiładzania czyli nadania siwym włosom koloru naturalnego, o których nieszkodliwości i wielkiej skuteczności jesteśmy praktyką przekonani.

MAGAZYN TOWARÓW DROBIAZGOWYCH Józefa Bałlabana

we Lwowie, przy ulicy Karola Ludwika l. 3,
(obok magazynu Schayerów)

poleca łaskawym względem swój obficie zaopatrzoney skład
we wszelkie w zakres wchodzące drobiazgi, mianowicie:
przybory do krawiecczyny damskiej i męskiej,
do szycia, haftu i t. p.

Guziki do ubierania sukien zawsze w najnowszych fasonach.
Krawatki damskie i męskie, Perfumy angielskie, francuzkie
i wiedeńskie, woda kolońska prawdziwa, rekawiczki pragskie.
Na sezon jesienny i zimowy wyroby włóczkowe. Kwiaty, pióra,
wstażki, francuzkie i wiedeńskie.

➡ Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą nie
licząc żadnych kosztów za opakowanie.

ZYGMUNT WOJCIECHOWSKI

grawer i pieczętarz

wykonywa po najtańszych cenach i w najkrótszym czasie

HERBY, MONOGRAMY itp.

w kamieniu, na złocie, srebrze, stali, mosiądzu
i innych metalach,

SZTANCE i GUZIKI LIBERYJNE, PIECZĄTKI PAPIEROWE.

oraz

wszelkie roboty do farby i laku.

Lwów, ulica Kopernika l. 10.

J. R E C H E N

rękawicznik i bandażysta

przy ulicy Karola Ludwika we Lwowie, obok handlu pp. Schayerów,

F I L I A

przy ulicy Krakowskiej l. 6 m.

poleca swoje

w najlepsze gatunki obficie zaopatrzone składy

DAMSKICH i MĘZKICH RĘKAWICZEK

własnego wyrobu

także pragskie, francuzkie, głaçe i jeleniowe.

Wielki wybór

K R A W A T E K

z najpierwszych fabryk zagranicznych, tudzież szelek, kołnierzy-
ków, manszetów, perfumy yj, wreszcie bandaży i t. p.



po cenach najumiarkowańszych.



STANISŁAW PLATOWSKI

we Lwowie,

przy ulicy Teatralnej liczba 4

poleca swój powiększony

MAGAZYN I PRACOWNIE SUKIEN MĘSKICH

nowo zaopatrzony towarami zagranicznymi
i krajowymi w wielkim wyborze

obstalunki uskutecznia się jak najpункtualniej
i najnowszym krojem

po najumiarkowańszych cenach.

Próbki na żądanie przesyłam franco.

KAROL BLECHSCHMIDT

poleca szanownej Publiczności swój

SKŁAD OBUWIA MĘSKIEGO

we Lwowie,

ulica Akademicka Nr. 3.

Także można dostać w jego pracowni gotowego
obuwia męskiego wszelkiego gatunku, mianowicie:

z juchtu rosyjskiego cienkiego.

**Przyjmuje zamówienia na wszelkie obuwia
męskie po umiarkowanych cenach.**

Zamówienia zamiejscowe wypełniane będą podług życzeń
zapewniając spieszne oraz i dokładne uskutecznienie.

W. MARSZAŁKIEWICZ.

TOWARY KOLONIALNE

jako to:

C u k i e r

w głowach, w kostki i w mączce najlepszej jakości,

K A W Ę

perłową, gruboziarnistą Ceylon, Nelgherry, złotą
Jawę, Mokkę, Laguayrę i inne,

Czekoladę

francuzką, szwajcarską, pragską i wiedeńską

Herbatę

chińską i karawanową,

Rum z Jamajki, ananasowy i **Arak** z Goa,

W I N A

węgierskie, austriackie, reńskie, francuzkie
i hiszpańskie,

L i k w o r y

francuzkie, holenderskie, tryestyńskie i hiszpańskie,

Rozolisy

z fabryki Jego Excel. Alfreda hr. Potockiego w Łancucie,

Swiece stearynowe i woskowe,

Owoce południowe,

Séry, konserwy, Ryż, Oliwę nicejską,

Musztardy

francuzką, angielską i kremką i inne w ten zakres
wechodzące artykuły

poleca w najcelniejszych gatunkach i po cenach
najmierniejszych

H A N D E L

W. MARSZAŁKIEWICZA

we Lwowie, ulica Krakowska 1. 6.

R U M
ananasowy londyński.

P O R T E R
ANGIELSKI.

P I W O
karwińskie butelkowane.

W. MARSZAŁKIEWICZ.

PRACOWNIA i SKŁAD
SUKIEN MĘSKICH

cywilnych, wojskowych i dla chłopców

gustownie i modnie sporządzonych pod najprzystępniejszymi
warunkami poleca

JAKÓB MOLDAUER

ulica Halicka l. 23,
(obok handlu korzennego p. K. Bałabana).

Zamówienia z prowincyi uskutecznia się za nadesłaniem
miarki i zadatku jak najrzetelniej i najprędzej.

Przyjmuje się też obstalunki na roboty z dostar-
czonej od partyi materyi.

GŁÓWNY SKŁAD PŁÓCIEN

STOŁOWEJ BIELIZNY

i WYROBÓW POŃCZOSZKOWYCH

Cenniki franco.

Zamówienia z prowincyi

wykonują się
odwrotnie.

SPECYALNY

MAGAZYN

gotowej bielizny

dla dam i mężczyzn

oraz

kołnierzy, manszet, krawatek itp.

F. K. TOWARNICKI

pod Słoniem — rynek l. 32,

nowo założony handel

korzeni, win i delikatesów,

poleca swój dobrze assortowany w świeże towary zaopatrzony skład, zwracając szczególniejszą uwagę szanownej Publiczności na świeżą wyborną **Herbatę** i prawdziwy **Bremski Rum** z niewyrównanym zapachem.

Drożdże z fabryki Mosea Springera w Wiedniu otrzymuję codziennie świeże i polecam takowe jako najlepsze, przewyższające te dotychczas za dobre uważane z fabryki Adolfa Ignacego Mautnera i Syna.

Łaskawe zlecenia z prowincyi uskuteczniam jak najrzetelniej i przy odbiorze za złr. 50, odstawię takowe franco do ostatniej stacyi kolejowej nie licząc nie za opakowanie, z wyjątkiem do mokrego towaru potrzebne naczynia jakoto: słoiki, garnki lub beczutki po własnej cenie.

CZERNICKI & SPOŻARSKI

przedtem

GUSTAW WICHERT

rękawicznik i bandażysta

we Lwowie, rynek, liczba 28.

poleca łaskawym względom

swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju

TOWARÓW RĘKAWICZNICZYCH

mianowicie

amerykańskie jelonkowe pantalone we wszystkich najnowszych barwach, wszelkie rodzaje męskich i damskich rękawiczek, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby myśliwskie, czapki mundurowe i cywilne, szaliki, krawatki, szelki, sznurówki, bandaże, pończochy gumielastyczne i sznurowane

po stałych i umiarkowanych cenach.

Zamówienia z prowincyi uskutecznią się w najkrótszym czasie.

CYBULSKI & WEBER

we Lwowie

przy placu Maryackim Nr. 5 (Hotel Langa)

polecają swój obfity zapas

TOWARÓW ŻELAZNYCH, NORYMBERGSKICH, wyrobów kowalskich i ślusarskich

a mianowicie:

kompletne okucia do drzwi, okien, pieców i kuchni według własnych lub danych wzorów; gwoździe drutowe i kute do budowy, **Piece** żelazne systemu „Meidingera” i inne, do węgla, koksu i drzewa; **kuchnie** żelazne Angielskie przenośne i kucharki naftowe; angielskie **kosy**, **sierpy** i **noże** do sieczkarni, różnych systemów; Angielskie **piły** tartakowe, cyrkularne, traczne i poprzeczne; amerykańskie **widły** do gnoju i siana, **pompy** do studzien i gnojówek, **wszelkie narzędzia** dla rękodziel i fabryk; **wagi** deymalne, balance, ciężarki i miary metryczne urzęd. cechowane; **latarnie** gospodarskie naftowe i olejne.

Wielki wybór naczyń kuchennych, tac, samowarów i miednic rossyjskich, maszynek do kawy, lodów i **siekania mięsa**.

KRZYŻE I POMNIKI GROBOWE TRWAŁE ZŁOCONE.

Osie toczone, żelazo sztabowe, stal i blachę. Pługi poprawne a la Zugmayer i Ruchadła własnego wyrobu, sieczkarnie i siewniki ręczne.

Przyjmujemy wszelkie zamówienia na wyroby z Hut jakoto: **kreksztyny**, **balkony** i **sztachety** grobowe, **rury** wodociągowe i kloakowe. **Trawersy** do budowli, tryby i części składowe do maszyn i inne odlewy z żelaza i metalu, podług rysunku lub modeli.

SKŁAD I PRACOWNIA FUTER

znane z taniości i najlepszych towarów

St. JAEKEL i F. MROZIŃSKI

we Lwowie, przy ulicy Sobieskiego 1. 7

(dawniej Nowa) vis-a-vis handlu p. Kozłowskiego

Polecamy Szanownej P. T. Publiczności Magazyn nasz zaopatrzony najobficiej w najrozmaitsze i najlepsze gatunki futer, jakie tylko w zakres tego handlu wchodzić mogą, a mianowicie:

Posiadamy znaczne zapasy futer gotowych damskich i męskich tak do podróży jak do miasta.

Kaftany astrachańskie podszyte futerkiem podług najnowszych fasonów.

Garnitury damskie podług najgustowniejszych i najmodniejszych żurnalów. Wierzchy gotowe damskie jedwabne i wełniane do futer. Wierzchy gotowe do futer męskich i t. d.

Wszelkie obstalunki z prowincyi za nadestaniem dokładnej miary wykonujemy z całym pospiechem akuracją i sumiennością, dając każdemu z kupujących pod względem dobroci, trwałości i wykończenia zupełną gwarancję.

Futra do przechowania na lato przyjmujemy.

ADAMSKI & CZAPCZYŃSKI

MAGAZYN FUTER

we Lwowie,

plac Maryacki Nr. 3. ulica Halicka Nr. 1.
obok Hotelu George naprzeciw Katedry

Polecamy Szanownej P. T. Publiczności magazynu nasz zaopatrzony *najobficiej w najlepsze i najrozmaitsze gatunki futer gotowych*, a mianowicie: **Futra gotowe damskie i męskie** tak do podróży jak i do miasta. **Kaftany damskie aksamitne i szewiotowe** podszyte futerkiem w gęście najmodniejszemu, jak niemniej kaftany z baranków astrachanowych. **Wierzchy gotowe damskie aksamitne, jedwabne i wełniane** według kroju najnowszego. Wierzchy gotowe męskie z materii francuzkich jak również i krajowych.

Wszelkie obstalunki z prowineyi za nadesłaniem dokładnej miary wykonujemy z *całym pospiechem akuratacją i sumiennością*, dając każdemu z kupujących pod względem *dobroci trwałości i wykonczenia* zupełną gwarancję.

G. SCHAPIRA

ulica Sykstuska 1. 29. Lwów.

malarz szyldów i herbów

ma zaszczyt polecić się do wykonania robót malarskich itp.

SZYLDÓW NA SZKLE, DRZEWIE, BLASZE, PŁÓTNIE itp.

także **szyldów litografowanych na blasze**

szyldów metalowych tj. płyt z literami odrazu lanych,

liter lanych metalowych różnej wielkości i różnego gatunku,
napisy na nadgrobkach, tablice miejskie z nazwiskiem ulic,

I NUMERA DOMÓW

wszelkie pozłacane i lakierowanie krzyżów i pomników

tnądzież

lakierowanie brynek fasad, portalów i posadzek,
po najumiarkowańszej cenach i w jak najkrótszym czasie.

ZYGMUNT LASKOWSKI

we Lwowie w Hotelu Zorza

ma zaszczyt polecić szanownej Publicznosci

swoją nowo założoną

PRACOWNIE SURIEN MEKIKEN

które tak z materji krajowych jako też zagranicznych podług najnowszych wzorów mody paryskiej i londyńskiej po cenach jak najtańszych wyrabiać będzie.

Poleca się zatem łaskawym względom szanownej publiczności z tem zapewnieniem, iż staraniem jego będzie uzyskać przez usługę rzetelną i wyroby dobre, stałe zaufanie wszystkich Panów, którzy go zamówieniami swemi zaszczycać raczą

Główny skład zabawek dla dzieci.

MAGAZYN NOWOŚCI

HENRYKA MÜLLERA

róg ulicy Halickiej l. 6

poleca

WIELKI WYBÓR TOWARÓW GALANTERYJNYCH

i norymbersko-drobiazgowych.

wyroby z brązu drzewa i skóry, parasole jedwabne i wełniane, kalosze i płaszcze gumowe, przybory toaletowe jako szczotki, grzebienie, lusterka, gąbki, puszkki do pudru, rulony urządzone i próżne kufry, torby podróżne, albumy, portmonetki, nesesery grające i zwykłe, zaczęte roboty i do tego stosowne rzeźbione przedmioty. Polecam także wszelkie drobiazgi jakoto: nici, jedwab, igły, szpilki guziki w bardzo wielkim wyborze, oraz guziki liberyjne tuzin od 90 ct. do 2 złr. 50 ct., bawełna do szydełkowania, włóczki, także nowomodna włóczka Moher Deko po 18 ct. oraz wszelkie w zakres handlu wchodzące towary.

Łaskawe zlecenia załatwiam jak najsumienniejsz.

■ Cenniki na żądanie franko. ■

Perfumerie franc., angiel. oraz przybory toaletowe.

Wielki wybór przyborów do szycia i haftu.

Grand Assortiment des joujoux pour les enfent.

Już znany z taniaści, rzetelności i dobrych towarów,
H A N D E L
G. K. NOWICKIEGO

WE LWOWIE,
obok Hotelu warszawskiego
poleca

KAWY Ceylon, piękne, duże, **Mokke arabską** prawdziwą, i prawdziwą **Jawe złotą**, niemniej i tańsze gatunki, rękąc za smak czysty.

HERBATY chińskie i rossyjskie zjednały sobie już wziętość! Pół kilo złr. 1.60 ct., zł. 2, zł. 3, zł. 4.

WINA węgierskie, austriackie, styryjskie, reńskie, francuskie i deserowe, około 50 gatunków, butelka od 50 centów do złr. 6.

PALE ALE i PORTER
angielskie.

PIWA butelkowe: schwechackie, pilzneńskie, krasiczyńskie i Kisielki.

Wódki, Rozolisy i Likwory
z fabryk: Łancuckiej, Bielskiej, Tropawskiej i zagranicznych.

SERY, ementalski, cieszyński, Neuchatel, de Brie,

— **Bryndza liptawska.** —

Winogrona fcsławskie w swoim czasie.

 *Wszelkie artykuły kuchenne, wchodzące w skład handlu korzennego, wyborowe a najtaniej.*

Wody mineralne z zaręczeniem prawdziwości i świeżości sprzedaje w handlu i rozsyłam koleją lub pocztą, jak najstaranniej opakowane.

== Zamówienia od złr. 50, posyłam franco do każdej stacyi kolei galic. nie licząc również za opakowanie. Przesyłki pocztą za zaliczką uskuteczniam najsumiennie odwrótnie. Dziękując za dotychczasowe zaufanie i względy Szanownym P. T. kupującym tak w mieście jak i na prowincyi, polecam się takowym nadal.

Z poważaniem

Gustaw Kazimierz Nowicki.

JÓZEF TYMIŃSKI

zegarmistrz,

we Lwowie, ulica Trybunańska l. 16

poleca swój

SKŁAD ZEGARKÓW KIESZONKOWYCH

z genewskich i innych znakomitych fabryk.

WYBÓR NAJMODNIEJSZYCH

zegarów pendułowych, ściennych
szwarcwaldzkich

Każda sprzedaż i reperacya pod gwarancją roczną.

Przy kupnie nowych zegarków przyjmują się stare
w zamian za stosunkowo wysoką cenę.

Zamówienia i reperacye z prowincyi wykonują się w najkrótszym
czasie i po cenach umiarkowanych.

IGNACY FRIED

we Lwowie ul. Halicka l. 13,

poleca

swój dobrze zaopatrzony skład

druków i obrazów olejnych,

(także historycznych polskich),

imitacyi akwareli Hildebranda i Wernera i innych kopii
podług najznakomitszych mistrzów.

Poleca także

SKŁAD LUSTER ŚCIENNYCH

w bardzo pięknych ramach złotych i z drzewa orzechowego,

jako też:

karnisze do okien po zadziwiająco niskich cenach.

za spłatą ratami miesięcznymi, bez podwyższenia ceny.

Przyjmują się także obrazy stare do restauracyi i ramy do pozłocenia.

A. OPUCHLAK

plac katedralny l. 3. śródmieście, we Lwowie.

poleca swój wielki zapas bielizny gotowej męskiej i damskiej od 1 do 3 zlr., manszetów, prawdziwej bawełny Potendorfa, nici i jedwab w motkach i szpulkach do ręcznej i maszynowej roboty, jakoteż wszelkie przybory do szycia i t. p. oraz

Główny skład

złota płatkowego, różne gacuzkiego dla poztuników, in-

Utrzymuje przytem obficie za-nych różnych wiedeńskich i mów zwykłych od 1 do 12 zlr portmonais, haftów modorowa-

Wszelkie materiały dla in-skie, srebrne okucia na książ-stalowe. Wielki wybór złotych



tunki brązu i pulmentu fran-troligatorów i t. p.

opatrzone handel galanteryj-zagranicznych towarów, albu-krójacych od 3 do 15 zlr., nych, książek do modlenia, troligatorów, płótna angielskiego, posrebrzane, brązowe i ram na stopy na składzie.

poleca oraz swój główny skład

TRUMIEN KRUSZCOWYCH

z pierwszych fabryk wiedeńskich, co do kształtu i elegancji jako trwa-łości jeszcze dotychczas nie przewyższonych — oraz wszelkie przybory,

materace mchem morskim polstrowane, kapy, świece i t. p.

po cenach umiarkowanych.

FRYDERYK MALZACHER

WE LWOWIE,

ulica Teatralna l. 9, naprzeciw Katedry

poleca swoją

PRACOWNIE OBÓWIA DAMSKIEGO i MĘZKIEGO

po cenach najumiarkowańszych.

O. T. WINKLER

handel towarów kolonial

poleca

Masę do frotowania podłogi.

Przezemnie przed 16 laty wynaleziona, zjednała sobie jako najlepszy fabrykat, powszechne uznanie i pomimo najmocniejszych usiłowań, nawet przybliżająco podrobioną być nie mogła. Ma ona tę korzyść, że nadaje podłodze tak z miękkiego jak i z twardego drzewa, przy całkiem cienkiem nałożeniu, pięknie świecąca powierzchnię i że w tym względzie taniość, trwałość i elegancja się połączają. Masę do frotowania utrzymuję w kolorach: jasno i ciemno-żółtym, jasno i ciemno-mahoniowym, orzechowo-brunatnym, i dębowym, tudzież bezbarwną na jaworowe, modrzewiowe i inne piękne parkiety, którym tylko lustru nadać potrzeba. $\frac{5}{8}$ kilo czyli $1\frac{1}{4}$ tunta cłowego, wystarcza na pokój zwykłej wielkości i kosztuje 1 ft. cłowy = $\frac{1}{2}$ kilo w kolorach 60 ct.; zaś bezbarwnej 80 ct. i można takową za zaliczką pocztową wygodnie sprowadzić.

Masa do frotowania jest jedynie prawdziwą pod moją patentowaną etykietą i dlatego też mojej masy podrobienia (t. z. pasty) nietylko nietrwałe ale i nieużyteczne zwyczajne farby, które nie są nawet warte robotę zapuszczania, tym mniej kosztownych puszek blaszanych, w które bywają opakowane, aby takim blichtreim zwabić kupujących, gdy już i dosłowne powtarzanie anonsów mych, nadawanie przybranych nazw jak n. p. kanczukowa i t. p. jak również kupione sobie w zagranicy potwierdzenie jakości dobroci masy, nie odnoszą pożądaných skutków.

LAKIER DO ZAPUSZCZANIA PODŁÓG,

który w okamgnieniu schnie i wilgotną szmatą oczyszczać można; nadaje najpiękniejszy bezbarwny połysk, przedewszystkiem na parkietach. Jeżeli podłoga ma być kolorowo polakierowaną, zapuszcza się ją najpierw moją masą, po wyschnięciu wyszczotkowuje się, a następnie przeciąga się ją tymże lakierem. Skutek jest wyśmienity i długo trwały. 2 funty cłowe = 1 kilo kosztuje 2 zł. 20 ct. Niebezpieczeństwa powodowane przez zapalki drewniane spowodowały mnie do zawarcia z fabryką zagraniczną ugody, w skutek której

zapalki woskowe,

w rozmaitej długości i grubości w różnych ozdobnych i praktycznych pudełkach po tak przystępnych cenach dostarczam, że niemal używanie drewnianych zapalek zarzucić można, szczególnie rozważając, iż takie drzewko jeszcze tłące się odrzuca, przez co i podłoga w mieszkaniu się zanieczyszcza, a dla lekkich damskich sukni już w wielu wypadkach niebezpieczne i oślakane skutki sprowadziło.

Polecam zatem łaskawym względom te woskowe zapalki, które nawet wiatr nie zgasi. Jako drewniane zapalki można tylko

WE LWOWIE. nych, farb, win, herbat itp.

prawdziwe szwedzkie polecieć, których paczka (12 pudełek) po 12 centów sprzedaje, a które jedynie na powierzchni pudełeczka przez tarcie się zapali, w inny sposób zaś nigdy!

Lakier politurowy,

do lakierowania wszelkich przedmiotów drewnianych i do odświeżania mebli politurowanych, przeciągając je tym lakierem za pomocą pędzla. Wyschnięcie następuje po kilku minutach, a skutek jest świetny. 1 kilo tego lakieru kosztuje złr. 2 20 centów.

Mój proszek na owady

do gruntownego wytepienia wszelkich owadów, szczególnie po kuchniach się mnożących różnych rodzajów szwabów, karaluchów i t. p. jeżeli podług mego przepisu używany, **ręczę za skutek.** Flaszeczka po 18 ct.; na wagę 1 kilo 3 złr. 60 ct.

Korzeń mydlany i proszek do prania wełny,

z których mam zawsze wielki zapas, szczególnie panom chodownikom owiec w celu czyszczenia ich przed ostrzyganiem i prania wełny po najmiarukowańszej cenie.

„QUILAY KORA“

najnowszy środek do prania wszelkich materyi i wywabienia plam z tychże bez uszkodzenia materyi lub koloru.

Wodne i olejne farby

we wszystkich odeieniach, olejne farby najdelikatniej w najlepszym pokoście na maszynie roztarte tak gęsto jak i do nakładania rozrzedzone, polecam po najtańszych cenach. — Szczególniejszą przysługę robią owe farby po wsiach, gdyż każdy zwykły robotnik użyć je może nakładając pędzlem, które także na składzie utrzymuję. Obsta-lunki uskuteczniam natychmiast pocztą, koleją i furmanami i sposób użycia najchętniej udzielam; także nie mogę omieszczać wspomnąć, że wszystkie farby moje są **prawdziwe, czyste i trwałe**, oraz wolne od przymieszek kredy i łupku, co w zwykłych farbách, których funt kilka centów kosztuje, znaleźć można, (takie farby, które się w krótkim czasie łuszczą, a raczej nigdy nie ztwardnieją). Szczególnie polecam do lakierowania okien, drzwi, dachów i innych drzewnych przedmiotów moją zawsze trwale białą farbę cynkową — tudzież farby żółto-brunatną, czerwoną i zieloną w najprzedniejszej i prawdziwej jakości.

„KORIOSOT“

kauczukowy tłuszcz połyskujący, jest on najlepszym smarowidłem skór, czyni je nieprzemakalnymi, miękkimi, powszechnie

do smarowania uprząży, rzemieni, butów i trzewików, z najlepszym skutkiem. Do smarowania używa się małą szczoteczkę pędzel lub gąbkę.

PLUSKWIOM ŚMIERĆ! MÓŁOM ŚMIERĆ!

nowe tynktury ludziom i zwierzętom pacierzowym nie szkodliwe. Tynktury te złożone z roślin krajowych są najlepszym i stokroć sprawdzonym środkiem zaradczym przeciw pluskwiom jak również ochroną dla futer, towarów wełnianych i bawełnianych przed mółem. Flaszka kosztuje 18 ct.

O L I W A

prawdziwa niefałszowana do smarowania wszelkich delikatniejszych części maszyn. Olej maszynowy (Maschinenschmieröl) w odkwaszonym stanie, do smarowania locomobil, koszarek, żniwiarów itp. w każdej ilości zawsze po najumiarkowańszej cenie.

BALSAM ROŚLINNY dla WŁOSÓW

jedyny nieszkodliwy, najwyśmienitszy, najpewniejszy i sprawdzony środek do przywrócenia zsiwiałym włosom pierwotnej ich barwy, dla usunięcia łusek, dla wzmocnienia porostu włosów i do utrzymania dożywotnego pierwotnej ich barwy, dla wzmocnienia i oczyszczenia skóry na głowie z nieczystości, którą olejki tłuszcze i воск zostawiają, naturalnego połysku i zapobieżenia wypadnięciu włosów. Balsam ten robi użycie wszelkich olejków lub pomad zbyt cennym. Flaszka kosztuje 2 złr.

Proszek trawienia

najlepszy, do wzmocnienia osłabionego żołądka, przeciw słabościom trawienia i żołądkowym, zgagę i t. p. pudełka po 16, 26 i 40 ct., 1 kilo złr. 2, 20 ct.

Herbatę chińską,

którą utrzymuję na składzie w gatunkach: Pecco z białymi końcami tak zwany kwiat, Souchong i Congo zawsze w największym zapasie (Congo po 1 zł. 50 ct., 3 zł., 4 złt., Pecco po 2 zł., 3 zł. i 4 złr. Souchong po 2 zł., 2 zł. 50 ct. 3 zł. i 4 zł. za funt cłowy czyli $\frac{1}{2}$ kilo).

Sprowadzając herbatę z pierwszych źródeł i wsparty najdokładniejszą znajomością tego artykułu, co się przedewszystkiem do dobrego służenia tym towarami przyczynia, jestem w stanie najwybredniejszym żądaniom tak ze względu na gatunki i na cenę zadość uczynić, nie obawiając się konkurencji innych składów, bez uciekania się do sztucznych mieszanin i niewłaściwych nazw.

HERBATE KARAWANOWA

utrzymuję na składzie z pierwszego handlu herbatą w Kiachcie i sprzedaje po 2 zł. 50 ct.; 3, 4 i 6 zł. za ft. cłowy czyli $\frac{1}{2}$ kilo.

Wszystkie zamówienia z prowincji na towary korzenne, wino i wszelkie w zakres mego handlu wchodzące artykuły, farby itp. uskuteczniam za gotówkę lub pobraniem kolejowym albo pocztowym, po cenach jak zawsze najumiarkowańszych hurtownych i w najkrótszym czasie i ręczę za najlepszy i czysty towar.

TANIE WYDANIE PISMA ŚWIĘTEGO STARY I NOWY TESTAMENT

znajdujący się we Lwowie A. Reichard et Comp., ulica Wałowa Nr. 15 nowy,
w Krakowie u J. Nerstheimera, ulica Grodzka nr. 79,

po następujących cenach:

<i>Polska biblia</i>	8° w płótno (imitacya skóry) oprawna	zł. 1 et. —
" "	8° w skórę oprawna	" 1 " 15
" "	8° " brzegi złote	" 2 " 50
<i>Polski Testament</i>	32° w płótno oprawny	" — " 20
" "	12° " "	" — " 35
" "	32° " "	" — " 13
" "	12° } podług Wujka dla katolików	" — " 30
" "	32° " "	" — " 06
" części Now. Test.	32° " "	" 1 " 50
<i>Rosyjska biblia</i>	8° w skórę oprawna	od 40 et. do " 1 " 65
<i>Rosyjski Testament</i>	" "	od 12 et. do 30 et. " — " 40
<i>Rosyjskie psalmy</i>	" "	" — " 50
<i>Starostowińskie Test.</i>	24° w płótnie	" — " 30
" "	8° " "	" — " 6
" <i>Psalmy 16°</i>	" "	" — " 60
<i>Ruskie Ewangelie Łukasza i Jana</i>	" "	od 55 et. do " 9 " 40
<i>Niemieckie biblie</i>	" "	" 13 " "
" <i>Testam.</i>	" "	" 13 " "
" <i>biblie przez van Esh</i>	zł. 1, 2 zł. 50 et. 4 zł. 35 et. do 85 et.	} dla katolików
" <i>Test.</i>	" 13 et. do 1 zł.	
" <i>Kistemakera</i>	" "	od 75 et. do 2 zł.
<i>Hebrajskie biblie</i>	" "	zł. 2, 05 et. do 2 zł. 50 et.
<i>Hebrajsko-niemieckie biblie</i>	" "	zł. 3. — et.
" <i>żydowskie</i>	" "	złr. 1 50 do 2 zł.
" <i>polskie</i>	" "	" "

Także wydanie pisma świętego i nowego testamentu w innych językach po najtańszych cenach według katalogu, który gratis się dostarcza.

A. JONAS

we Lwowie,

ulica Krakowska Nr. 5 obok Restauracji „pod Gruszką”,

poleca obficie zaopatrzyć

SKŁAD PAPIERU I WSZELKIEGO POTRZEB do pisania i rysowania,

książek do rachunków, książek kupieckich do kopiowania listów, w polskim i niemieckim języku litografowane pełnomocnictwa, nakazy płatnicze i egzekucyjne, skargi w sprawach drobiazgowych, listy kolejne (*Frachtbriefe*) do przesyłania towarów zwykłych i pospiesznych i t. d.

Przyjmuje zamówienia na bilety wizytowe litografowane i szybko wyciskane (za 100 sztuk 50 et i wyżej), na odejści monogramów na papierze listowym i kopertach w jednym i w kilku kolorach.

Wszelkie zamówienia zamiejscowe skutecznie
po cenach umiarkowanych jak najrychlej.

A. Jonas.

J. EICHEL

zegarmistrz

we Lwowie ulica Jagiellońska liczba 4.

naprzeciw Galicyjskiego banku kredytowego

połeca swój wielki skład

ZEGARKOW KIESZONKOWYCH

ze sławnych genewskich i innych znakomitych fabryk, jakoteż zegarków wahadłowych z fabryk wiedeńskich, i ścien-nych szwarcwaldzkich, oraz przyjmuje wszelkie reperacye z roczną gwarancją. Każda sprzedaż pod gwarancją dwuroczną.

WALENTY BAUROWICZ.

poleca swój znany od lat 20

SKŁAD i PRACOWNIE

OBUWIA DAMSKIEGO

WE LWOWIE.

przy ulicy Kopernika (dawniej Szeroka) pod l. 4 n.

naprzeciw Apteki P. Mikolascha.

J. IHNATOWICZA

(magistra farmacyi)

pierwszy zakład chemiczno-kosmetyczny

I KUMYSOWY

we Lwowie

ulica Kopernika Nr. 3

poleca Szanownej Publiczności wypróbowanej dobroci co następuje:

KUMYS

przeciw katarom, kaszłom, chrypkom, niedokrewności, osłabieniu,
w zakażeniu krwi w skutek leczenia się merkuryszem itp.

SAKKIS al SAKKIS

BALSAM NA ZĘBY ROŚLINNO-ŻYWICZNY

uśmierza najgwałtowniejszy ból zębów, usuwa najboleśniejsze fluksje,
zapobiega tworzeniu się wrzodów na dziąsłach, wzmacnia dziąsła
i chroni zęby od psucia się; cena 1 złr. 20 ct.

ANTILENTILIA

W przeciągu 25 dni usuwa piegi, plamy wątrobowe, ostudy,
opalenia słoneczne, przywraca twarzy białość i nieporównaną
delikatność; cena 2 złr.

PŁYN na MOLE

i zaraźliwe miasmata, niezawodny, cena 60 ct.

Zakład wyrabia najprzedniejsze i najdelikatniejsze:
Pudra, wody aromatyczne, perfumy, nieszkodliwe a
nadzwyczajnej delikatności blansze, róże i wszelkie
środki upiększające, środki do farbowania włó-
sów, do wywabiania plam, pomady, kadzidla.
Atramenty różnego rodzaju. Czernidla i niezwyklej
dobroci smarowidla na buty.

Przyjmuje też suknie do wywabiania plam.

Zakład udziela z największą gotowością wszel-
kich informacji.

Z głębokim poważaniem

J. Ihnatowicz

magister farmacyi.

HANDEL KORALI ROMUALDA TURASIEWICZA

we Lwowie, przy ulicy Akademickiej l. 22

utrzymuje na składzie zawsze

KORALE FRANCUSKIE

w sznurkach i biczach, rznięte i neapolitańskie dla pań,

oraz wszelkie

wyroby z koralu (biżuterje)

które tak w całych garniturach, jako też pojedynczo:

brosze, kuleziki, branzolety, guziki itd.

sprzedaje po stałych i najumiarkowanych cenach.

MAGAZYN NOWOŚCI MARCIN MÜLLER

Lwów, ulica Halicka l. 14.

poleca

WIELKI SKŁAD.

Rękawiczek damskich i męskich, Krawatek, Kołnierzy i manszet, Chustek jedwabnych, Deszczochronów, Lasek i szpierutów, Torby podróżne i ręczne, Płaszczki angielskich gumowych, Kaloszy damskich, męskich i dziecięcych, Kaftaników jedwabnych i wełnianych, Szkarpetek bawełnianych i fild'ecosse, Pończoch damskich, Sznurowek francuzkich, Wachlarzy z kości słoniowej i szyldkretu, Biżuterji francuzkich, Wyroby z skóry, drzewa i brązu, Przyrządów toaletowych, Brzytw szwajcarskich i angielskich, Perfumeryj angielskich i francuzkich, Prawdziwą wodę kolońską, Wszelkie przybory do szycia i haftu, Zaczęte roboty, i kanwe, Włóczka w wszystkich gatunkach, Wielki wybór guzików do strojów damskich.



W. KACZANOWSKI

MAGAZYN NOWOŚCI

Lwów, hotel angielski.

Poleca łaskawym
względem

Szaliki damskie najwykwintniejsze w największym wyborze,
Krawaty meżkie Paryżkie i własnego wyrobu.

Rękawiczki z najpierwszych fabryk (Uszkodzone przy przymie-
rzaniu wymienia na nowe).

Bijonterę Paryżką; Brosze, Medaliony, Koleżyki, Guziki
do mankietów.

Kołnierzyki i Mankiety płóciennie dla Pań i Panów.

Gorsety i Gorseciki z fabryki à la Sirène.

Wachlarze, Wyroby skórzanę,

Perfumeryę francuzką i angielską.

Oryginalną Wodę kolońską,

Kałamarze magiczne poręcznej trwałości,

Papierki wyłącznie paryżkie w książeczkach i arkuszach.

— Towar znany z dobroci. —

Ceny stałe jak najumiarkowańsze.

JÓZEF SCHWARZ

fryzyer damski i męzki

przy ulicy Halickiej w domu P. Stillera (dawniej Szto ka)
pod 1. 21 miasto.

Poleca P. T. szanownej Publiczności swój najobfi-
ciej zaopatrzony skład najmodniejszych wyrobów
fryzyerskich jako też wielki wybór perfumeryi
zagranicznej, i wszelkich artykułów do wybornej
toalety damskiej i męzkiej; — ręcząc za gorliwą
usługę upraszam szanowną Publiczność
o łaskawe względy.

NAJWIEKSZY WYBÓR
obuwia dla dam, mężczyzn i dzieci

poleca

J. A. WODZIŃSKI

z najlepszych materyałów zagranicznych
po cenach umiarkowanych.

Zawiadamiam oraz Szanowną Publiczność, że istniejący od
lat kilku skład obuwia pod firmą F. Górską przy placu św.
Ducha został 20. czerwca 1877 zwinięty i przeniesiony pod
moją firmę Nr. 4 ulica Halicka obok handlu p. Strzyżowskiego
Wszelkie zamówienia będą wykonane w najkrótszym czasie
podług najnowszych fasonów, polecając się przeto względem
Szanownej Publiczności.

Z wysokim poważaniem

J. A. Wodziński.

H A N D E L

kościelnych sprzętów i paramentów

dla wszystkich obrządków katolickich

MICHAŁA DYMETA

we Lwowie w rynku

poleca swój pierwszy i obfity skład towarów służących do zaopatrzenia kościołów, a mianowicie: **Ornaty, dalmatyki, kapy, chorałowie, fany, Baldachimy, Monstrancje, kielichy, puszki, Archi, Cimborya, lichtarzy, pajaki, Ołtarzyki procesjonalne, Krzyże, berła brackie i t. p.**

zaś w szczególności poleca:

Rzeźby figuralne i ornamentalne, obrazy olejne na płótnie i blasze do największych rozmiarów, Dywany angielskie, krzyże żelazne nagrobkowe i pamiątkowe, Świecy kościelne metalowe od 70 do 130 centim. wysokie, używane teraz we wszystkich miastach Europy i Ameryki.

Cenniki rozsyłają się na żądanie. Na każde zapytanie odpowiedź odwrotną pocztą.

Wszystkie książki szkolne.

K. ŁUKASZEWICZ

Lwów ulica Halicka 1. 50

PIERWSZA POLSKA ANTYKWARNIA,

skład starożytności, nót, papieru

i przyborów do pisania.

Sprzedaje, kupuje, bierze w komis i zamienia: książki, noty, mapy, globusy, atlasy i t. d. we wszystkich językach, najstarszych i najnowszych wydań, porcelany, monety, obrazy, zbroje, sztychy, zegary i t. p. przytem skutecznie różne zlecenia wchodzące w zakres księgarni-antykwarni; uzupełnia i porządkuje Biblioteki prywatne i t. p.

Wielki skład książek i nót nowych wydań,

po niższych cenach.

Wszystkie książki szkolne.

ŁAZIENKI SW. ANNY

ulica Akademicka l. 10

otwarte w Maju b. r.

zostały świeżo urządzone

i znacznie powiększone

i zaopatrzone

w WANNY MARMUROWE

jakoteż odpowiednio do wymagań Szanownej
Publiczności z wszelkimi wygodami.

Abonament daje się cały i pół.

Zarząd kąpielowy.

Wyszczególniony
medalami
na wystawach!

J. SCHAPIRA

Wyszczególniony
medalami
na wystawach!

we Lwowie, ul. Kopernika l. 2.

Gisernia szyldów tablic metalowych z jednego odlewu. — Artystyczna pracownia szyldów i pism malowniczych. — Szyldy z blachy prasowane lub wyciskane dla asekuracyjnych i innych towarzystw. — Gisernia przedmiotów architektonicznych z cynku. — Fryzy, parapety, konsole, balustrady, schody, trelazy, akroterye, kapitole, rozety, listwy i wszelkie tego rodzaju roboty wykonuje się według rysunków jak najdokładniej. — Zakład rytowniczy i fabryka znaczków do pieczętowania, jakoteż pieczętek grawerowanych za pomocą maszyny (systemem angielskim). — Fabryka tablic kolejowych jako to: do oznaczenia pochyłości kolei, z nazwiskami stacji i rozmaitych lokalności w tychże, z liczbami strażnic i t. d. — Przedsiębiorstwo robót malarskich i lakierniczych. — Złocenia nadgrobków i pomników. — Fabryka tablic nadgrobkowych tak lanych, jakoteż pisanych, we wszystkich językach.

FABRYKA i KANTOR, ul. Kopernika gdzie e. k. urząd telegraf. l. 9.

Miejsce zamówień, ulica Kopernika l. 2.

ALEKSANDER MIECZYŚLAW ORŁOWSKI

zawiadamia, że swoją firmę zarejestrowaną,

DOM BANKOWO- I KOMISOWO-HANDLOWY

z dotychczasowego mieszkania swego przy ulicy Ormiańskiej l. 23, przeniósł

na ulicę Krakowską pod l. 14. I. piętro

i zajmuje się i nadal *dostarczaniem pożyczek prywatnych i bankowych na majątki ziemskie i realności, sprzedażą i wdzierżawieniem dóbr, zamianą dóbr na domy, sprzedażą lasów, materyałów leśnych, zboża w ziarnie, rzepaku, chmielu i roślin pastewnych.*

TOWARZYSTWO KREDYTOWE MIEJSKIE

WE LWOWIE,

udziela członkom swym
pożyczki hipoteczne, gminne i zaliczki,

wydaje

6% listy dłużne

które mają udział w dywidendzie z czystych zysków, a pokrycie prócz w poszczególnych pożyczkach w ich hipotekach, także w solidarnej odpowiedzialności członków Towarzystwa (dotychczas około 15000), sprzedaje takowe po notowanym kursie dziennym i wypłaca ich kupony, tak w biurze centralnym we Lwowie, jak i w biurach ajencyjnych okręgowych i powiatowych.

Przyjmuje WKŁADKI OSZCZĘDNOŚCI

w swych biurach od **jednego zlr.** począwszy na książeczki
i **marki** wkładowe

procentując je po 6% za 14-dniowem wypowiedzeniem

"	"	"	7%	"	30-	"	"
"	"	"	8%	"	60-	"	"

Biuro Towarzystwa we Lwowie ulica Wałowa l. 2.

Dyrekcya.

GŁÓWNY SKŁAD
PIWA MŁ. SZWECHACKIEGO
ANTONIEGO DREHERA

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 8

poleca

PIWO EXPORTOWE MARCOWE

znane i ulubione powszechnie jako piwo zawierające najwięcej ekstraktu i jako trwałe, chorym i rekonwalescentom przez znano-
mitości lekarskie polecane

w beczkach i butelkach

po najtańszych cenach przy najszybszej expedycji
w miejscu i na prowincję.

E. MENDROCHOWITZ

we Lwowie,

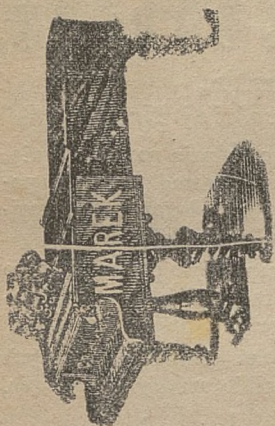
Rynek Nr. 163 w własnym domu.

GŁÓWNY SKŁAD
WÓD MINERALNYCH

dla Galicyi Bukowiny i Rossyi.

Od miesiąca Kwietnia począwszy, nadchodzą
co dwa tygodnie świeże przesyłki.

Gwarancya na 10 lat.



SKŁAD FORTEPIANÓW

LUDWIKA MARKA

we Lwowie, Plac św. Ducha 1. 10.

Wielki wybór fortepianów, pianin i organów z fabryk Wiedeńskich. Bełlińskich, Lipskich, Paryżskich i Amerykańskich

Fortepiany z fabryki Pleyela, Bösendorfera, Hellinga, Spangenbergera, Seifera i innych renomowanych firm. Organy Amerykańskie kościelne i sa onowe z fabryki

Estey & Comp.

Geny umiarkowane (znaczny rabat z cenników fabrycznych).

Największa i najtańsza wypożyczalnia.

Gwarancya na 10 lat.

MAGAZYN SPZĘTÓW KOŚCIELNYCH

pod firmą:

TADEUSZ UZIĘBŁO

we Lwowie, Rynek 1. 36, Isze piętro,

poleca w wielkim wyborze w ogóle do wszystkich usług zaopatrzenia kościołów w sprzęty oltarzowe, ornaty, bieliznę kościelną, chorągwie, obrazy Świętych olejne na płótnie i blasze, baldachiny, oltarzyki procesyjne, lichtarze itp.

Zamówienia łaskawe uskutecznią się z wszelką starannością i akuratanością.

Cenniki na żądanie gratis i franco.

MICHAŁ MICHAŁSKI

we Lwowie,
przy ulicy Mydlarskiej Nr. 9

przyjmuje zamówienia na rozmaitego rodzaju powozy, sanie, wozy i wózki, wykonuje takowe w własnej pracowni podług podanych wzorów najgustowniej, elegancko, w najkrótszym czasie i *po cenach umiarkowanych*.

Wszelkiego rodzaju odnowienia i reperacye powozów, jako to: odlakierowania, wybicia siodlarskie i kolodziejskie roboty wykonuje podług życzenia i *najakuratniej*.

Poleca swoją *kuźnię do kucia koni* podług najnowszych przepisów weterynaryi i inne wszelkie *roboty kowalskie*.

Łaudwienia z prowincyi uskutecznią się
jak najspieszniej.

M. STENGEŁ

we Lwowie, ulica Grodzickich 1. 2

SKŁAD PIWA i WINA

najtańszego z pierwszorzędných źródeł sprowadzonego.

P i w a

krajowe i zagraniczne

Butelka Kisielki	10 et.
" Piłzneńskiego . . .	20 "
" Bock	20 "
" Kulmbach	25 "
Okocimskie, Ołomunieckie, Słotwińskie itp.	

W I N A

węgierkie, austr., franc. i reńskie:	
$\frac{1}{1}$ butel. węg. zieleniaku	30 et.
$\frac{1}{2}$ " " "	20 "
$\frac{1}{1}$ " czer. Erlauera .	60 "
$\frac{1}{2}$ " " "	30 "
$\frac{1}{1}$ " wyst. Zielen. .	50 "
$\frac{1}{1}$ " Maślacz sta. słod.	1:50 "
$\frac{1}{1}$ " Tokajskiego stare.	2:50 "

Inne gatunki po umiarkowanych cenach.

Większym odbiorcom odpowiedni rabat.

Kaucya za butelkę 9 centów.

Zamówienia miejscowe i z prowincyi załatwia się jak *'najrychlej i najakuratniej*, odstawiając towar do dworca kolei *franco* nie licząc nic za opakowanie.

MAGAZYN
PAMSKI

KAMILA STRYZOWSKIEGO

Jedwab neapolitański,

BAWELNA

wszelkiego rodzaju,

N I C I
do maszyn i ręcznej roboty,

rogi do gorseto

podszewki do sukien

i wszelkie dodatki

dla krawców w największym
wyborze.

Cerata na meble i stoly.

JEDYNY SKŁAD
wyrobów szmuklerskich
frędzli, krepin, spieć i guzików.

frędzli, krepin, spięć i guzików.

we Lwowie, ulica Halicka 1. 4

poleca po najumiarkowanych cenach

swój nowo urządzony i kompletnie zaopatrzony skład we wszelkie roboty ręczne damskie na kanwie, również aplikacyą na suknie wykonane z najpiękniejszych fabryk francuskich i berlińskich.

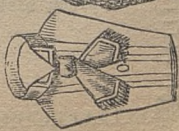
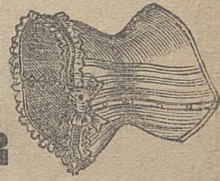
Łaniewskie zamówienia skutecznym
odwrotnie.

NAJWIĘKSZY WYBÓR
Point, Laces, Miniardis
z wzorkami do robót frywolitowych.

Włóczkę berlińska,
pele, fizozele, kordonki,
sznelki, złoto i bulion
do haftu.

PACIORKI METALOWE
i kryształowe.

Kanwę wełnianą,
niciansą również złotą
i srebrną.
dodatki do kwiatów.



A. LUFT

we Lwowie, plac Maryacki l. 9.

poleca swój

obficie zaopatrzony magazyn mebli

po cenach umiarkowanych

 o 10 procent niżej jak w innych magazynach.

Zamówienia z prowincyi uskutecznią się
w najkrótszym czasie.

F. KORDYS & J. KISIELEWSKI

magazyn i pracownia sukien męzkich

we Lwowie, przy ulicy Teatralnej l. 2

naprzeciw kamienicy Wgo Rońskiego.

Materje na sezon wiosenny i letni w wielkim wyborze sprowadzone z fabryk krajowych i z najlepiej renomowanych francuskich i angielskich, odznaczają się gustem, trwałością i cenami przystępnymi.

Zamówienia będą wykonane w najkrótszym czasie podług najnowszego kroju za cenę najumiarkowaną.

Ufni w wieloletnią praktykę naszą w zakładach pierwszorzędnych w kraju i za granicą, tuszymy, iż wszelkim wymaganiom w zawodzie naszym w zupełności zadość uczynimy — a rzetelną pracą zaskarbimy sobie wzięcie i poparcie Szan. Publiczności.

Z wysokim szacunkiem

F. Kordys & J. Kisielewski.

A. BRATKOWSKI i SYN

WE LWOWIE,

ulica Teatralna l. 9 naprzeciw katedry

polecają

SKŁAD i PRACOWNIE wyróbów blacharskich.

Przyjmują zamówienia na pokrycia dachów ognio-
trwałym materiałem, wykonują naprawy starych
dachów, jakoteż wszelkie w zakres blacharski
wchodzące nowe roboty i reparatory,

☞ po cenach umiarkowanych i w najkrótszym czasie. ☞

ZNANA OD DAWNA KSIĘGARNIA i ANTYKWARNIA ZELMANA IGŁA SYNÓW

we Lwowie, ulica Sykstuska l. 4 n.

poleca swój skład zaopatrzony w wielki wybór

KSIĄŻEK NOWYCH i STARYCH

polskich i w językach obcych do rzeczy polskich się odnoszących,
tudzież księzek szkolnych nowych i używanych.

Nabywa rozmaite książki w rozmaitych językach tak pojedynczo
jak i całe zbiory, wszelkie antyki po cenach dla sprzedających
jak najwyższych. Przyjmuje w komis i na zamianę wszelkie książki.

Nadmienia oraz, że posiada dzieła stare, rzadkie, po większej
części z handlu wyczerpane jakoto: *Herbarze, Kroniki, Statuta* itd.

== Katalogi rozdaje gratis. ==

WYŁĄCZNY HANDEL KORONEK BRACIA REITZNER

we Lwowie,

ulica Teatralna l. 8 naprzeciw głównego odwachu

polecają swój skład

rozmaitych czesko-góralskich wyrobów koronkowych i haftowych w najrozmaitszych gatunkach i cenach a mianowicie: barby czarne i białe, fanszony, chusteczki do nosa koronkowe, wstawki niciane, prawdziwe czarne koronki giupiurowe, koronki gospodarskie, haftowane obsadki, krawatki, garnitury kołnierzyki i mankiety w wielkim wyborze i po cenach bardzo tanich.

Specyalny skład lipskiej bielizny papierowej

BIĄŁEJ I KOŁOROWEJ

takiej doskonałości, że takową od *prawdziwej płóciennej bielizny* niepodobnem jest rozróżnić.

JÓZEF MACIULSKI

we Lwowie, ulica Sobieskiego l. 4

poleca Wysokiej Szlachcie i Szan. P. T. Publiczności swój

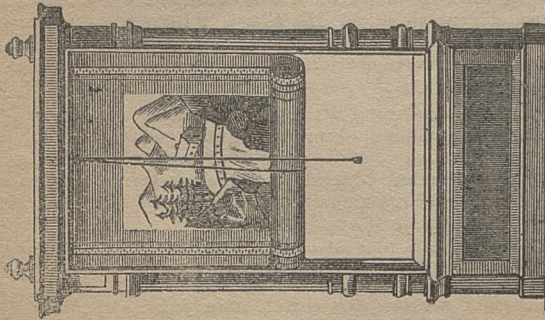
**magazyn i pracownię sukien
mężkich.**

Materye na sezon wiosenny i letni

sprowadzone z fabryk krajowych i zagranicznych najslawniejszych francuskich i angielskich, odznaczają się gustem, trwałością i najumiarkowańszemi cenami.

Zamówienia miejscowe i z prowincyi, wykonane będą starannie i elegancko w jak najkrótszym czasie i podług najnowszego kroju.

*Zarazem polecam skład gotowych ubiorów
w rozmaitych miarach.*



FABRYKA KRAJOWA

J. CHRISTOFA

we Lwowie, ulica Kopernika 1. 2.

poleca Szanownej P. T. Publiczności

story, rolety, żaluzje, ścianki hiszpańskie, grzмотochrony (konduktory), telegrafy elektryczne domowe, zasłony przed piece i kominiki jako też namioty ogrodowe z włókna drzewnego.

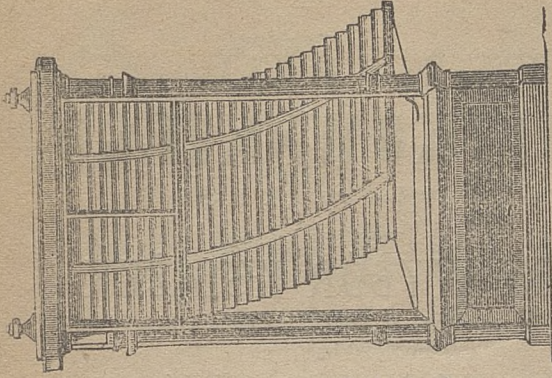
SKŁAD TAPET

w najnowszych deseniach, z fabryk francuskich, angielskich i niemieckich.

Ceny najtańsze i znaczny wybór

Zamówienia na prowincyi przyjmują Panowie: *R. Ludwiński* w Krakowie. *P. Niedzielski* w Bochni. *F. Leszczyński* w Tarnowie. *Bajan* w Jarosławiu. *Bayer i Lechicki* w Strypu. *S. Garan i St. Progdółski* w Nowym Sączu.

Przy zamówieniach stor i żaluzji należy podać dokładną miarę długości i szerokości światła.



KSIĘGARNIA J. MILIKOWSKIEGO

we Lwowie, rynek l. 34

poleca

WIELKI WYBÓR KSIĄŻEK

w języku polskim, niemieckim, francuskim
i angielskim;

dzieła naukowe, książki szkolne, książki w ozdobnych oprawach na podarunki, książki do na-
bożeństwa w oprawie zwyczajnej i przepyszej,
książki dla dzieci i młodzieży dorastającej, książki
popularne dla ludu i t. d.

MAPY, GLOBUSY i ATLASY.

JAN GÓRSKI HANDEL TOWAROW MI SZANVCH

we Lwowie,

przy placu Maryackim dom Hudetzta l. 9.

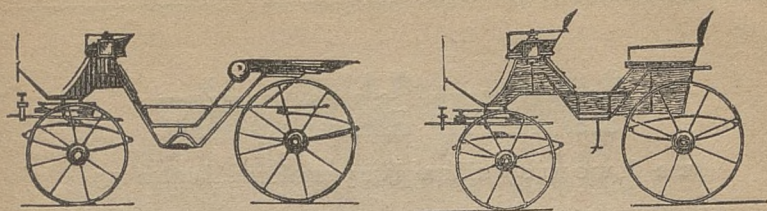
poleca

Wyroby wełniane

przeważnie z fabryk krajowych jakoto: *Sukna bernardyńskie, Baje, Sie-
raczki, Szale, Plaidy, Koldry* sławuckie i inne wełniane *Kapy, Koce,
derki, sukna i dywaniki* na posadzki. *Bundy i Płaszcz* z kapiszo-
nami do podróży, *Kurtki myśliwskie* i do gospodarstwa wiejskiego
Płaszcz gutaperchowe i prochowce płóciennne, *Baranki rossyjskie* na Fu-
tra i futra gotowe z takowych, *Buty sukienne* do polowania i podróży.
Pasy skórzane do maszyn i młocarń wszelkiego rozmiaru wyrobu wła-
snego jakoteż wiedeńskie, tudzież *pasy parciane i gutaperchowe*.
Skóry wszelkiego gatunku na obówie damskie i męskie tudzież ry-
marskie, siodlarskie, rękawicznice i introligatorskie, następnie *Kroje na
bóty z juchtu petersburgskiego* nieprzemakalne, *Kufry damskie
i męskie do podróży*.

ROSOLISY i LIKIERY. Rum, kolońska i lewandowa woda z fabryki lancuckiej. Wyroby
rękodzielnicze z fabryk krajowych, przyjmuje w komis lub na stały rachunek. Pośredniczy
w sprzedaży skór surowych, wełn, konieczyzny, nasion, traw i t. p.

Zamówienia w kraju i z zagranicy uskutecznia jak najrychlej,
po cenach statych i umiarkowanych.



WILHELM KLAMUT

l a k i e r n i k

we Lwowie, Chorażczyzna Nr. 16

przyjmuje i wykonuje **wszelkie restauracye powozów**;
utrzymuje na składzie **nowe i używane powozy**
i sprzedaje **po cenach umiarkowanych**.

Również przyjmuje zamówienia **na nowe powozy**
wszelkiego rodzaju i uskutecznia *spiesznie, starannie*
i po cenach **najumiarkowańszych**.

A. MAŃKOWSKI

we Lwowie, przy ulicy Halickiej l. 17, (n. 10 miasto)

poleca swój 31 lat istniejący

handel korzeni i delikatesów

obficie zaopatrzony najwyborniejszymi towarami
które stosownie do jakości sprzedaje
po cenach **najniższych**.

Utrzymuje wszelkie lepsze gatunki

LIKIERÓW i WÓDEK.

W I N A

*austriackie, czeskie, styryjskie, siedmiogrodzkie, węgierskie,
mozeelskie, reńskie, francuzkie, francuskie szampańskie, hiszpań-
skie, włoskie, greckie, z różnych wysp i z przylądku dobrej nadziei.*

Delikatesy i Ryby

najrozmaitsze: angielskie, francuzkie, niemieckie, włoskie i zamorskie.

HERBATE CHIŃSKA

przechowaną w oddzielnie urządzonym magazynie.

Ortopedyczny Zakład leczniczy

we Lwowie, ulica Kopernika liczba 13.

przyjmuje do leczenia ortopedycznego dzieci od 7—14 lat, które w skutek skrzywienia kości pancerzowej lub nieprawidłowego rozwoju szyi, łopatek, żeber, biodra, nogi itd., mniejsze lub większe odniosły zboczenia normalnych kształtów.

Dyrektor-lekarz mieszka w samym zakładzie, pensjonat chłopców zupełnie odosobniony od dziewcząt, opieka najtroskliwsza, wygody wszelkie, piękny park; przytem mogą wychowawcy zakładu wszystkie nauki pobierać.

Przy zakładzie znajduje się także szkoła gimnastyki, w której się odbywają ćwiczenia gimnastyczne, tak dla dziewcząt jak i dla chłopców, w godzinach poszkolnych.

Bliższych szczegółów udziela pisemnie lub ustnie

Mr. Edward Madeyski

spec. lekarz ortoped., prof. gimnastyki i dyrektor Zakładu,
ul. Kopernika 1 13.

SKŁAD KORZENNY KAROLA KLIMOWICZA

we Lwowie, ulica Wałowa Nr. 11

poleca się łaskawym względom

z doborowym towarem korzennym.

Wina z pierwszorzędných domów

HERBATA karawanowa, **RUM** bremski,

MIÓD stary flaszkowy,

WINOGRONA z Vöslau kuracyjne.

A. PAULO

malarz szyldów i lakiernik

we Lwowie,

róg ul. Chorążczyzna i Ślósarskiej Nr. 1¹/₄

poleca swoją pracownię malowania szyldów i napisów na drzewie, blasze, szkłe, płótnie i t. d., wyrabia napisy i litery metalowe z cynku lane różnej wielkości i jakości; przyjmuje lakierowanie drzwi i okien przy budowlach; wykonuje wszelkie wyłączenia i bronzowania — w jak najkrótszym czasie i po cenach najumiarkowańszych.



PORTLAND-CEMENT.

Cement ten używany do budowli rządowych, jak: koszar, szpitali, do salin, do wszystkich kolei galicyjskich, do budowli miejskich i kanałów, szczytający się uznaniem pierwszorzędnym inżynierów i budowniczych, otrzymuje co tydzień świeży i sprzedaje go po cenach fabrycznych.

August Schellenberg
we Lwowie.

HIPOLIT SAWRACKI

FABRYKANT POWOZÓW I LAKIERNIK

we Lwowie, ulica Sykstuska Nr. 19

przyjmuje zamówienia na powozy, karety, fajetony, wózki węgierskie, bryczki, wozy, sanie itp. i wykonuje takowe w własnej pracowni podług najnowszych modeli i fasonów na sposób paryski i wiedeński; tudzież reparacye i odnowienia takowych, jako to: odlakierowania, wybicia nowem suknem etc., jak najgustowniej i najtaniej.

Przyjmuje zamówienia z prowincyi na nowe rysory i inne potrzebne artykuły powozowe i odsyła takowe za pobraniem pocztowem.

Następnie wykonuje wszelkie roboty tak galanteryjne, jakoteż sklepowe i fabryczne, najtrwalszemi farbami i lakierami własnego wyrobu, podług wzorów zagranicznych i najnowszego gustu, po najumiarkowańszych cenach i w jak najkrótszym czasie.

Poleca również Szanownej Publiczności swój skład różnych farb olejnych tarych, pokostu, kitu pokostowego, lakierów własnego i zagranicznego wyrobu po cenach umiarkowanych.

Wszelkie zamówienia z prowincyi uskutecznia się w jak najkrótszym czasie.

ANTONI MÜLLER

we Lwowie,

przy ulicy Halickiej liczba 17,

poleca:

Cylindry najnowszej fasonu, Kapelusze składane (chapeau claque) atlasowe i tybetowe, Kapelusze filcowe najmodniejsze i w różnych kolorach. Kapelusze filcowe dla dzieci, Czapki sukienne, filcowe i barankowe, Czapki liberyjne po 1 zhr. 50 ct., Buty i papucze filcowe do polowania i miastowe, Buciki skórzane męskie (wewnątrz filcem wyłożone), Pantofle i pantofelki filcowe różnego rodzaju, Kamasze filcowe i skórzane męskie, Skarpetki filcowe i podeszwy zdrowia, Kaftaniki i spodnie trykotowe, Koszule flanelowe, Kamizelki włóczkowe do polowania, Pończochy myśliwskie i skarpetki wełniane, Ogrzewacze żołądka i pulsów, Koszule męskie białe i kolorowe, Kalesony płócienne, Kolnierzyki i mankiety, Spinki, szpilki do szalików, Łańcuszki, rękawiczki męskie, chusteczki jedwabne, szelki, pędy i rzemyki do pędów, kalosze, płaszcze gutaperehowe angielskie, parasole jedwabne i alpakowe, laski, kufry i torby podróżne.



Łaskawe zlecenia z prowincyi uskuteczniām odwrotną pocztą.

GALICYJSKI
zakład zastawniczy i kredytowy

we Lwowie, w gmachu teatralnym przy ulicy Teatralnej
udziela pożyczki na zastaw

- a) wyrobów ze złota, srebra i innych drogich kruszców.
b) towarów i innych przedmiotów nowych lub używanych.
c) papierów publicznych wartościowych.

Przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności
począwszy od 1 złr. do każdej wysokości i oprocento-
wuje takowe po 7 od sta.

Zwrot wkładek do 50 złr. uiszcza bez wypowiedzenia,

100 złr. z 3-dniowym wypowiedzeniem,

250 „ z 10- „ „

500 „ z 20- „ „

1000 „ z 30- „ „

Godziny biurowych czynności:

od 8 do 12 przed południem, od 3 do 5 po południu.

Dyrekcya.

KONCESYONOWANE
BIURO WYWIADOWCZE
JÓZEFA BIRKLE

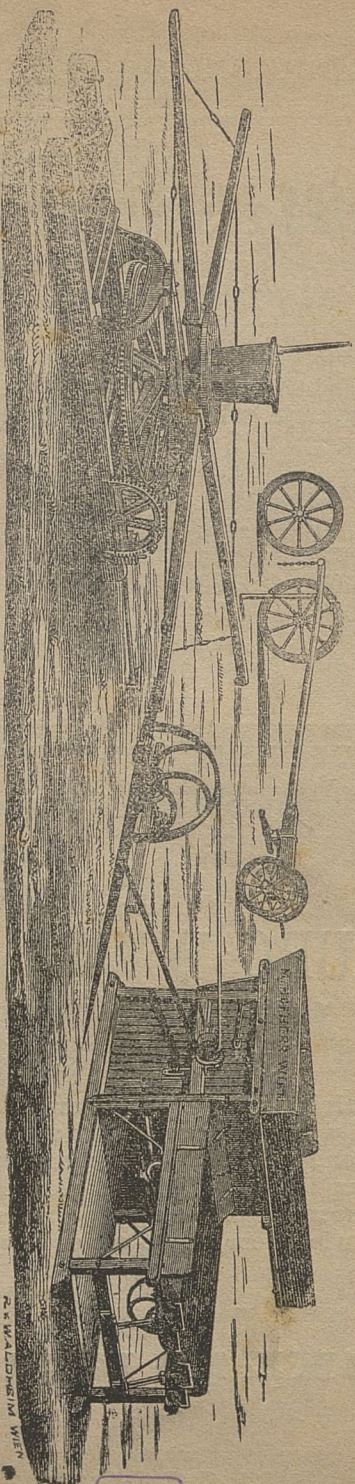
we Lwowie, rynek l. 40

pośredniczy przy wydzierżawieniu i sprzedaży real-
ności wiejskich i miejskich; w umieszczaniu nau-
czycieli, nauczycielek, bon, rzadców, ekonomów,
leśniczych, ogrodników, rzemieślników. Również
umieszcza wszelką służbę potrzebną w gospodarstwie
wiejskiem i w mieście. Wyjednywa wiza
paszportów.

Utrzymuje wyłącznie
SKŁAD HERBATY.

M. HOFFER A

4-ko-konny nowo patentowany przewoźny kłeret z młocarnią,
z wytężaczem do odejmowania do roboty ustawiony,



R. Hornsby'ego i Sýnów

inżeniér

nieprześcignione i trwałe lokomobile i parowe młocarnie, kosiarki i żniwiarki (Paragon i Springbalance).

Najnowsze amerykańskie kosiarko-żniwiarki Perles o dwóch kołach kombinowane.

M. Hofferra żniwiarki „Faworyta“ i kosiarki, tudzież najnowsze patentowane stałe i przewoźne kłeraty i młocarnie, tak rzeczone jako też do poruszania kłeratem, pod względem arcydoskonałej konstrukcyi, przez nikogo dotąd nieprześcignione, ile że wszystkie bez wyjątku upatentowane najlepsza trybna od r. 1858 w handlu będących maszyn, są wynalazku p. M. Hofferra. Grabarki amerykańskie i angielskie, z siedzeniem i bez tegoż. Prasy do siana. Baktery oryginalne młynki, cylindry francuskie do gatunkowania zboża i oddzielenia konkolu, najnowszego systemu z fabryki Mauge. Plusi do okopywania i plevienia kartofli i buraków wyrobu A. Burga i Syna, brony i t. p.

Wszelkie naprawy i ustawienia maszyn wykonują, jak najstaranniej i w najkrótszym czasie po cenach umiarkowanych. Zapasowe części do maszyn, remienie, o łyg i t. p., utrzymuje zawsze na składzie i dostarczają jak najniej. — Ilustrowane katalogi i cenniki rozsyłam na żądanie gratis.

Przy łaskawych odwiedzinach upraszam dla uniknięcia pomyłki, zwracać uwagę na numer 47 mego domu, gdzie mieszkam i skład mój utrzymuje. Kredyt i gwarancję udziela się.

J. WYSCHEERA. Skład maszyn rolniczych, Lwów, ul. Gródecka nr. 47¹/₄.



KANTOR WYMIANY

e. k. uprzyw.

galic. akcyjnego

BANKU HYPOTECZNEGO

kupuje i sprzedaje

wszystkie efekta i monety

pod warunkami najprzystępniejszymi.

6% LISTY HYPOTECZNE,

które

według prawa z dnia 1 lipca 1868 Dz. P. P. XXXIII. Nr. 93

i najw. post. z dnia 17 grudnia 1871,

mogą być użyte do lokowania

kapitałów funduszowych, pupilarnych, kaucyj małżeńskich wojskowych,
na kaucye służbowe i wadya

są w tym kantorze do nabycia.

 Wszystkie polecenia z prowincyi wykonuje się bezzwłocznie po kursie dziennym bez doliczenia prowizyi.

KSIEGARNIA

F. H. RICHTERA we LWOWIE

przy placu Maryackim, w hotelu Europejskim
dostarcza na zamówienie

wszelkich dzieł krajowej i zagranicznej literatury,
także w kraju i za granicą wychodzących
dzienników i pism peryodycznych
po najumiarkowańszych cenach.

Poleca swój skład klasyków polskich i niemieckich, najnowsze powieści polskie, niemieckie i francuskie, piękne książki dla młodzieży, kalendarze itp.

Wszelkie zamówienia skutecznie księgarnia w jak najkrótszym czasie, **nie licząc żadnych kosztów.**

Dzieła i pisma, zamawiane z miejsc poniżej wymienionych a mianowicie: — Borysław, Brzeżany, Bóbrka, Bukaczowce, Bursztyn, Chodorów, Czortków, Dawidkowce, Dobromil, Drohobycz, Gródek, Halicz, Jaworów, Jasło, Kołomyja, Kopyczyńce, Lubaczów, Monasterzyska, Mościska, Mosty wielkie, Niżniów, Przemysł, Rawa, Sanok, Sniatyn, Sokal, Sądowa Wisznia, Stryj, Szczerzec, Stanisławów, Tarnopol, Trembowla, Tłumacz, Tłuste, Turka, Tyśmienica, Zaleszczyki, Zbaraż, Żółkiew, Złoczów — **dostarczane będą bez wszelkich kosztów przez ustanowionych tamże zastępców tej księgarni.**

Wszelkich dzieł i pism, anonsowanych przez inne wydawnictwa lub księgarnie w kraju i za granicą, dostarcza po cenach nakładowych, nie licząc żadnych kosztów więcej.

CZYTELNIA

polska, francuska i niemiecka

F. H. Richtera we Lwowie.

Warunki prenumeraty:

Abonament może rozpoczynać się z każdym dniem. Książki w polskim, francuskim i niemieckim języku wybierać można podług upodobania. Opłata za czytanie w pojedynczym abonamencie wynosi miesięcznie 1 zł. w. a., która to należność ma być zgóry składana.

Każdy abonent składa 2 zł. w. a. tytułem kaucyi.

Książki mogą być mieniane codziennie od godziny 8 zrana do 7 wieczorem, wyjąwszy niedziele i dnie świąteczne.

Książki, któreby zostały uszkodzone, zbrukane lub pokreślone, musi odkupić pożyczający wraz z należąciami do tego tomami podług ceny sklepowej. Jak długo zatrzymanem będzie dzieło, tak długo trwa też abonament dalej.

Abonament dzienny: 5 centów od tomu na dzień. Kaucya stosunkowo do wartości książek.

Abonenci na prowincyi ponoszą koszt przesyłki pakietów i płać podług umowy.

Kto przez cały rok abonuje się w czytelni, otrzyma jako premię do wyboru książkę lub rycinę, wartości 2 złr. podług ceny sklepowej.

Uwaga. Kto w księgarni F. H. Richtera kupuje rocznie przynajmniej za 48 złr. książek (wyjąwszy dzienniki, przedmioty antykwarskie i dzieła nakładu rządowego), ma prawo użytkować przez ten czas z czytelni **bezpłatnie** (pojedynczy abonament). Powyższa kwota ma być składana albo naraz, albo w ratach miesięcznych po 4 złr. zgóry. Kaucya wynosi 3 złr.